

Bhinneka Tunggal Ika - Jedność w różnorodności

Indonezja – kraj kontrastów.

W końcu, po dobrych 2 latach, które upłynęły od wyjazdu do Tunezji, a ponadto dzięki mojej zmianie miejsca pracy, udaje się zaplanować kolejną daleką podróż do mniej znanych regionów Azji. W tym roku przyszedł czas na wyspiarską i wulkaniczną Indonezję.

Po raz pierwszy wyjazd został zaplanowany z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, bo pomimo, że podróż miała rozpocząć się z końcem czerwca, my kupiliśmy bilety już w listopadzie. No cóż w tym wypadku tak szybki termin zakupu biletów lotniczych wiązał się z kwestią finansową, czyli duuużo taniej.

No to w takim razie wyruszamy w podróż do Indonezji....

27.06.2008 (piątek)

Co to za dzień... od rana nerwowe pakowanie, tym bardziej, że Paweł jeszcze dzisiaj normalnie w pracy, natomiast ja do wczoraj też jeszcze biegałam do szkoły, bo nauczyciele tydzień po zakończeniu roku jeszcze sporo rzeczy mają do zrobienia. Na dodatek wczoraj okazało się, że zamiast wyjechać w sobotę, musimy ruszać już dzisiaj, gdyż transport do Wiednia nam się posypał.

Na dworzec w Krakowie zawożą nas Agnieszka z Robertem. Pociąg do Wiednia już stoi. Po chwili pojawia się Ania, która ku naszemu szczeremu zdziwieniu idzie obciążona tobołkami. Jej bagaż prezentuje się okazale – duży plecak na kółkach, plus dwie jakże nieporęczne torby na ramię. Ciekawe kiedy będzie miała ich dość. Pojawia się również Bartek ze swoją mamą i już jesteśmy w komplecie.

Pociąg rusza punktualnie o 22:25 obierając kierunek na Wiedeń skąd mamy wylot samolotu. Nasze linie są z Kataru – Qatar Airways i cieszą się dużą popularnością. Mają 5 gwiazdek wśród przewoźników i oferują bardzo wysoki standard nawet w klasie ekonomicznej, o czym będziemy mogli wkrótce się przekonać. Symbolem tej linii jest wymalowana na każdym samolocie podobizna Oryksa. Zdecydowaliśmy się właśnie na te linie, gdyż ich cena była prawie dwa razy niższa niż przelot do Indonezji z Polski, a ponadto do Wiednia jest z Krakowa raptem 500 km.

Jedziemy w kuszetkach przez całą noc a nad ranem dojeżdżamy do stolicy Austrii.

28.06.2008 (sobota)

Godzina 6:00 docieramy na dworzec Wiedeń – Południe. Teraz trzeba się jakoś stąd wydostać w stronę lotniska. Kombinując z tramwajami wsiadamy do Linii D, ale niestety jedziemy na gapę, bo jest wczesny poranek – kioski nieczynne, a w tramwaju automat przyjmuje tylko monety, a my mamy banknoty, więc siłą rzeczy biletu nie kupimy. Oprócz nas w tramwaju o dziwo jedzie jeszcze jeden Polak, który mówi nam gdzie mamy wysiąść, aby zmienić tramwaj na metro i dojechać nim do lotniska. Miasto jeszcze cały czas śpi. Co się dziwić skoro zaczął się weekend, a na dodatek w stolicy trwają ostatnie mecze półfinałowe Euro 2008. Kto w nocy szalał teraz śpi, a kto nie szalał, wcześniej opuścił miasto, aby oszczędzić sobie całego tego bałaganu.

Wysiadamy w Szottering, ale okazuje się, że nie jest to dobre miejsce, bo musimy teraz jeszcze podjechać na inną stację metra. Przejeżdżamy 2 stacje metra i lądujemy praktycznie w centrum Wiednia. Tutaj przy stacji metra poznajemy Polkę, która właśnie obok

proceedzi mały sklepik. Zamawiamy więc kawę, aby się obudzić. Stąd postanawiamy odwiedzić pobliski park i zjeść śniadanie, a następnie pospacerować po centrum i zabić trochę czas do odlotu samolotu.

Z Pawłem wędrujemy pod katedrę św. Stefana, pod która stoją fani Euro 2008 z kartami w poszukiwaniu biletów na dzisiejszy finałowy mecz Hiszpania kontra Niemcy. Zresztą dookoła widać, że w stolicy tego kraju odbywa się wielkie sportowe święto, świadczą o tym choćby wystawy sklepowe. Wszędzie dookoła elementy futbolu, łącznie z tym że napotkana przez nas cukiernia w wystawie ma tort w kształcie boiska. Na ulicach pojawia się coraz więcej osób.

Około 09:30 wsiadamy do metra, które zawozi nas prosto na międzynarodowe lotnisko. 25 minut jazdy i jesteśmy u celu. Do odlotu jeszcze i tak mamy sporo czasu, więc rozbijamy przysłowiowe obozowisko w jednej z lotniskowych restauracji, a czas umilamy sobie sząc austriackie piwo (tylko 3,2 Euro za pół litrową butelkę) oraz korzystając z bezprzewodowego Internetu umieszczamy pierwsze informacje na naszym podróżniczym blogu.

Gdzieś w okolicach 13:30 zbieramy się przy bramkach do odprawy paszportowej. Obsługa lotniska akurat zabrała kołki i taśmy linii z Arabii Saudyjskiej, a przed chwilą mogliśmy obserwować jak odprawiali się Saudyjczycy. Z tego co widzieliśmy tymi liniami do Arabii Saudyjskiej polecieć głównie Arabowie ubrani od stóp do głów w swoje białe, zwiewne szaty. Po zakończeniu odprawy saudyjskiej rozpoczęto ustawianie wszystkiego, co związane jest z liniami katarskimi. Po chwili rozpoczyna się odprawa naszego lotu Wiedeń – Doha w Katarze. Tutaj głównie przez odprawę przechodzą obcokrajowcy, nie da się nie zauważyć, że Doha to punkt przesiadkowy rzesz ludzi na cały świat. My oczywiście z racji tego, że jesteśmy jednymi z pierwszych od razu próbujemy dostać miejsca przy oknach.

Po oddaniu bagaży staję się lżejsza o 10 kilogramów. Tak w tym roku mój bagaż doszedł do perfekcji. Mało waży, a to co potrzebne w nim jest. Za to do 20 kg jeszcze sporo zostało, co oznacza, że za bardzo nie mam co się martwić, jak przywiozę z Indonezji wszystkie moje zdobycze. Cóż czas leci i stajemy się trochę głodni, więc zanim dostaniemy jakieś jedzenie w samolocie, coś przydałoby się przekąsić. Siadamy więc w kolejnej lotniskowej kawiarni i zajadamy się przepyszną zupą gulaszową w cenie 3,60 Euro. Ciekawa sprawa, że mimo iż to lotnisko ceny nie są wygórowane.

Przed 16:00 zaczynamy wsiadać do samolotu. Lecimy Airbusem 320 na około 170 osób. W samolocie głównie biali obcokrajowcy, Arabów dosłownie kilka osób. Przed nami ponad 5 godzin lotu do Dohy nad Zatoką Perską. Wylatujemy punktualnie o 16:30, czyli w Doha będziemy o 23:30 wraz z 1 godzinną różnicą w czasie.

Po kilku minutach lotu międzynarodowa obsługa samolotu (bo przecież bogaci Arabowie do takiej pracy się nie zniżają), zaczyna roznosić najpierw menu, które będzie obowiązywało podczas lotu. Można nawet sobie wybrać dania. Skoro jesteśmy w arabskim samolocie zajadamy się baraniną i już nie po arabsku pijamy to winem.

Odległość jaka nas dzieli z Wiednia do Dohy to dokładnie 3970km, tyle właśnie wyświetla się na monitorach w samolocie. Po drodze obserwuję trasę lotu, która prowadzi nad Turcją, następnie granicą pomiędzy Irakiem, a Iranem, i dalej przez cały Iran oraz Zatokę Perską do Kataru i jego stolicy Dohy. Katar – państwo położone we wschodniej części Półwyspu Arabskiego nad Zatoką Perską. Graniczy z Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi.

Katar to księstwo (emirat) . Według tymczasowej konstytucji z 1971 głową państwa jest emir (z panującego rodu As-Sani). Władzę wykonawczą sprawuje powoływany przez emira rząd z premierem. 35-osobowa Rada Doradcza jest organem konsultacyjnym rządu. Nie ma parlamentu ani partii politycznych.

Powierzchnia państwa jest nizinna (wysokość 50–100 m), pustynna (pustynia piaszczysto- kamienista), w części północno-wschodniej zabagniona. Klimat zwrotnikowy wybitnie suchy. Średnia temperatura miesięczna od 17°C w styczniu do 38–44°C w sierpniu. Średnia roczna suma opadów ok. 80 mm. Epizodyczne ulewne deszcze w okresie od grudnia do lutego. Brak wód lądowych (jezior). Odsolona woda morska stanowi podstawę zaopatrzenia ludności w wodę. Roślinność pustynna. Linia brzegowa dobrze rozwinięta. Liczne przybrzeżne rafy koralowe.

Kraj jest rządzony przez ród al-Thani, który jest u władzy nieustannie od XVIII wieku. W historii kraju tylko dwa razy był on pod zaborami: w latach 1872-1916 był on wcielony do Turcji, a w latach 1916-1971 był okupowany przez Wielką Brytanię. Od roku 1971 tym wewnętrznym stabilnym krajem znów rządzi ród al-Thani.

Katarowi najwięcej dochodów przynosi wydobywanie gazu ziemnego oraz ropy naftowej. Krajowy przemysł koncentruje się nie tylko na wydobywaniu tych surowców, ale i na ich przetwórstwie. Rozwija się ponadto hutnictwo żelaza i produkcja nawozów sztucznych. Użytki rolne stanowią 4,8% powierzchni kraju. Zastosowanie wysokiej techniki nawadniania pozwala na szeroką uprawę warzyw i owoców. Modernizowane jest przetwórstwo ryb. Pomimo to większość żywności musi być importowana. Katar jest także ważnym centrum bankowości.

Sieć drogowa jest doskonale rozwinięta, podobnie transport lądowy i lotniczy. Państwo zapewnia pomoc socjalną i bezpłatną naukę wszystkim mieszkańcom. Liczba miejsc w istniejących w Katarze szkołach wyższych jest ograniczona, znacząca część młodzieży studiuje za granicą. Ad-Dauha (arab. "wielkie drzewo"; poprzednia nazwa Al-Bida) - miasto w Azji leżące na wschodnim wybrzeżu półwyspu Katar, w Zatoce Perskiej, stolica i największe miasto Kataru. Mieszka tu 60% obywateli Kataru. W krajach anglosaskich miasto znane jest pod nazwą Doha. Przez wiele lat Ad-Dauha było ważnym portem, jednak płytkie wody i rafy koralowe powodowały, że w porcie nie mogły cumować duże jednostki. Miasto zostało zniszczone w 1867 w czasie wojny z Bahrajnem. W 1916 Brytyjczycy ustanowili je siedzibą swojego protektoratu. Gdy Katar uzyskał niepodległość, miasto zostało jego stolicą. Miasto wyraźnie zmieniło swój wygląd: zlikwidowano slumsy, wybudowano nowe budynki mieszkalne, zbudowano odsalarnię wody morskiej, która zaopatruje mieszkańców. Nowo wybudowany port morski jest zdolny przyjmować jednostki oceaniczne. W mieście znajduje się międzynarodowy port lotniczy Doha. Jak wspomina jeden z przewodników Doha to jedno z najnudniejszych stolic świata.

Łądujemy w Katarze punktualnie i z samolotu wysiadamy prosto na płytę lotniska. Uff, mimo nocy jest bardzo gorąco, wcześniej pilot podał, że temperatura wynosi około 35°C. Nie ma to jak zwrotnikowy upał. Miasta nocą nie widać, tylko wszędzie świecą się latarnie. Zużycie energii Arabów jak widać wcale nie martwi. Wszystko dookoła musi być oświetlone, łącznie z drogami poza miastem. Wsiadamy do autobusu, który dowozi nas do głównego terminala lotniska. Tłum ludzi idzie za wskazaniem stojącego w hali Araba, który kieruje wszystkich obcokrajowców na dalsze loty. W Doha tranzytem jest grubo ponad 90% lecących tu ludzi. Na telebimie wyświetlają się loty dosłownie na wszystkie kontynenty. Jest w czym wybierać. Na lotnisku mamy tylko godzinę czasu, starcza tylko na małą toaletę i zajrzenie do sklepu wolnocłowego, który zapewne odwiedzimy w drodze powrotnej z Indonezji. Po czym meldujemy się w kolejnym samolocie – tym ostatnim na naszej trasie czyli do indonezyjskiej stolicy Jakarty.

Na ekranach naszego samolotu A 330, w którym mieści się około 250 osób, znowu wyświetlają się informacje o trasie, a nawet o kierunku i odległości do Mekki – świętego miejsca wszystkich muzułmanów. Samolot jest dużo większy od tego poprzedniego – rzędy siedzeń 2x4x2. Mnie z Pawłem udaje się wcześniej zarezerwować takie 2 osobowe miejsce przy oknie. Jak wstanie dzień, będzie można coś zobaczyć.

29.06.2008 (niedziela)

Oczywiście mimo tego, że już jakiś czas temu minęła północ obsługa samolotu zaczyna krzątać się przy wózkach z jedzeniem. Dostajemy również specjalne nalepki, które naklejamy na siedzenia. Będą one informować obsługę, czy ktoś ma być np. budzony na posiłki, czy np. wtedy kiedy będzie jechał wózek z towarami wolnocłowymi. Po pierwszej w nocy zabieramy się za posiłek – mięsna rybna potrawka w kanapce. Dobrze, że to tylko taka przekąska. Trudno byłoby jeść porcję obiadowa w nocy.

Nocą nasz samolot przelatuje nad Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Omanem, Morzem Arabskim, Indiami, Zatoką Bengalską, Andamanami, Półwyspem Malajskim, gdzie na tym ostatnim mamy mieć międzylądowanie w Singapurze. To mój pierwszy taki długi i na dodatek nocny lot. Można trochę mieć przysłowiowego pietra, tym bardziej, że nocą porządnie samolotem rzucają turbulencje. Kiedy nastaje rano, nie można otworzyć zasuwek na okna, gdyż słońce tak jarzy, że nie da się patrzeć. Jest to nie do wytrzymania, więc mimo poranka cały samolot tonie w ciemnościach. Gdzieś koło 6:30 czasu Dohy (wg polskiego 5:30, a wg singapurskiego (9:30) zostajemy obudzeni na śniadanie. Poprzez te zmiany czasu i różne pory posiłków, już człowiek sam nie wie czy ma jeść czy nie. Jednak teraz wypadaloby coś przekąsić, bo nie wiadomo kiedy będzie następny ciepły posiłek. Na dzień dobry dostajemy makaron na ciepło z mięsem i kapustą, sałatkę owocową, jogurt, bułeczkę oraz ciastko francuskie. Po takiej mieszance wybuchowej od razu może człowieka przeczyścić. Najważniejsze, że smakuje.

W Singapurze lądujemy około 12:00 tamtejszego czasu. Singapur to miasto-państwo położone na południowym krańcu Półwyspu Malajskiego. Jego nazwa pochodzi od dwóch sanskryckich słów: singa (lew) i pura (miasto), stąd niekiedy stosowana nazwa Miasto Lwa.

Państwo Singapur położone jest na wyspie Singapur o powierzchni 572 km² wraz z grupą otaczających ją wysepek. Powierzchnia lądowa Singapuru ulega stałemu wzrostowi na skutek prac prowadzonych nad pozyskaniem lądu od morza. Są one również źródłem zatargu z sąsiednią Malezją. Z Półwyspem Malajskim wyspa Singapur połączona jest za pomocą nasypu (The Causeway) w północnej części wyspy oraz mostem Tuas Second Link w jej zachodniej części.

Singapur został wydzierżawiony w 1819 roku jako placówka handlowa od sultanatu Johor przez Kompanię Wschodnioindyjską. W 1826 roku Brytyjczycy kupili Singapur od sultana. Był odtąd wykorzystywany głównie jako brytyjska baza morska. Od 1867 stanowił część brytyjskich kolonii zwanych Straits Settlements. Po I wojnie światowej Singapur stał się najważniejszą brytyjską bazą wojskową na Dalekim Wschodzie. Zaprojektowany tak, aby mógł oprzeć się atakom morskim, w II 1942 został zdobyty przez Japończyków od strony lądu, a następnie był przez nich okupowany do września 1945 roku. W 1946 Singapur stał się oddzielną kolonią brytyjską, a pełną autonomię uzyskał w 1959. Na czele rządu stanął Lee Kuan Yew. W 1963 Singapur przystąpił do Federacji Malezji, ale już 1965 odłączył się, wnosząc oskarżenia o dyskryminację chińskich członków federacji. Niepodległa Republika Singapuru, należąca do brytyjskiej Wspólnoty Narodów, została utworzona w sierpniu 1965. W tym samym roku Singapur stał się członkiem ONZ.

Niestety Singapur oglądamy tylko z okien naszego samolotu, a właściwie głównie samo lotnisko, gdzie stoimy przez około godzinę. W tym czasie zmienia się część pasażerów, a także następuje wymiana załogi samolotu. Za oknem na płycie lotniska stoi jeden z największych samolotów świata, a jest ich na razie tylko kilka. W swojej podniebnej flocie ma go również Singapur, który otrzymał go jako pierwszy 15.10.2007r. Samolotem tym jest Airbus A380 potocznie nazwany SuperJumbo – dwupoziomowy, czterosilnikowy samolot pasażerski produkowany przez firmę Airbus. Dzięki temu, że górny pokład ciągnie się przez całą długość kadłuba, A380-800 mieści 555 osób przy podziale na trzy klasy lub nawet 853

przy konfiguracji całej maszyny do standardu klasy ekonomicznej i jest największym samolotem pasażerskim świata, wyprzedzając pod względem powierzchni drugiego na liście Boeinga 747-400 (Jumbo Jeta) o 50%.

Czas szybko umyka i już znowu lecimy. A skoro znowu lecimy, to zaraz coś dostaniemy do jedzenia. Nie mija zbyt dużo czasu i stewardessy roznoszą azjatycki obiad, czyli ryż, jakieś mięso, fasolka i na deser sałatka z azjatyckich owoców.

Z Singapuru do Jakarty niedaleko i po około 2,5 godzinie lotu lądujemy w stolicy Indonezji. Oczywiście linie Qatar Airways czynią to z punktualnością praktycznie co do minuty. Samolot na płycie ląduje o 16:30 tutejszego czasu, czyli jest pięć godzin później niż w Polsce.

Obsługa lotniska Skuarno – Hatta wita nas z uśmiechem na twarzy, gdy dowiaduje się, że jesteśmy z Polski. Wszystko przez to, iż właśnie kończy się Euro 2008, a Indonezyjczycy jako wielbienie piłki nożnej widzieli, jak grała polska drużyna na tych mistrzostwach.

Powoli przechodzimy przez okienka przyjmujące zagranicznych turystów. Rozglądamy się po lotnisku. Jest dość orientalnie – dach budynku w ciekawym azjatyckim kształcie, wszędzie dookoła mnóstwo kolorowych kwiatów, no i wystrój azjatycki.

Za chwilę dojdziemy do wyjścia, gdzie ma na nas czekać ojciec Marsi., a właściwie Marsianus, który jest indonezyjskim misjonarzem. Kilka lat temu Marsi studiował w Polsce teologię, a później był wikarym w parafii Królowej Apostołów w Rybniku, mieście z którego pochodzi Paweł. Obecnie przebywa w Jakarcie, a pochodzi z wyspy Flores - największego skupiska katolików w Indonezji. Kiedy przebywał w Rybniku Paweł i jego rodzina spotykali się przy różnych okazjach, czasami opowiadał o Indonezji. Kiedy już wiedzieliśmy, że wybieramy się w jego strony Paweł użył wszelkich starań, aby odnowić z Marsim kontakt. Udało się przez ojca Piotra - innego indonezyjskiego misjonarza, który obecnie przebywa w Rybniku. Paweł dostał numer komórki od Marsiego, napisał smsa i... Marsi odpisał. Po polsku oczywiście, jeszcze nie zapomniał języka którym posługiwał się kilka lat.

Wychodzimy, macha do nas Marsi. Okazuje się, że przyjechał tutaj ze swoimi dwoma kuzynami – nauczycielem angielskiego i wojskowym. Wychodzimy z budynku Indonezja wita nas ciepłem i dość mocnym wiatrem. Mamy pierwszą atrakcję, bo do centrum stolicy zawiozą nas wojskowym busem, który przypomina raczej grata niż wojskowe auto. Marsi mimo już kilkuletniego pobytu w swoim kraju, śmiga w języku polskim aż miło. Przez całą drogę toczy się rozmowa o naszych planach, mijamy przedmieścia Jakarty, które pozostawiają wiele do życzenia – taki azjatycki slums.

Indonezja to czwarte po Chinach, Indiach i Pakistanie, najludniejsze państwo świata, które stanowi niespotykaną chyba nigdzie mozaikę ludzi i ich kultur. Nazwa Indonezja wywodzi się z dwóch greckich słów: Indos - "indyjski" i nesos - "wyspa". Mało który kraj może poszczycić się równie długą historią oraz wielokulturowością jak Indonezja. Pochodzące ze starożytności hindusko-jawajskie świątynie na Bali sąsiadują z nowoczesnymi kurortami turystycznymi, z kolei na Papui czas zatrzymał się gdzieś w epoce kamienia, a dla kontrastu na Jawie mamy doczynienia z monstrualną i tętniącą życiem stolicą tego kraju Dżakartą.

Indonezja ma swoje narodowe hasło, które brzmi: "Bhinneka Tunggal Ika" czyli "Jedność w różnorodności" i przekłada się ono w 100% na to czym jest ten kraj, jej mieszkańcy, kultura i środowisko przyrodnicze. Wyspy zamieszkiwane są przez blisko 220 milionów ludzi, które można podzielić na tysiące grup etnicznych, które posługują się ponad 200 różnorodnymi językami. To co ich łączy to język urzędowy Bahasa Indonesia, który został stworzony na podstawie języka malajskiego. Umiejętność władania językiem bahasa niestety nie zapewni nam możliwości dogadania się ze wszystkimi mieszkańcami, zwłaszcza tych odległych rejonów wysp, gdzie ludność mówi głównie językami etnicznymi.

Co ciekawe 90% mieszkańców wysp stanowią muzułmanie, co czyni ten kraj największym krajem muzułmańskim na świecie, ale nie należy on do zbyt ortodoksyjnych państw pod tym względem. Ponadto stosunkowo dużo jest tu chrześcijan, a także hinduistów i buddystów. Każda z wymienionych wyżej religii przeplata się jednak z lokalnymi i wielowiekowymi wierzeniami animistycznymi.

Pod względem ludności Indonezja dzieli się na Azjatów zamieszkujących zachodnią część wysp, a także na Malajów na wschodzie. Jednak na przestrzeni wieków i tradycji morskich kontaktów handlowych z rdzennymi mieszkańcami wysp zasymilowało się wielu Hindusów, Arabów, jak i Europejczyków.

Rozmieszczenie ludności na wyspach Indonezji jest bardzo zróżnicowane. Okazuje się, że 120 mln zamieszkuje takie wyspy jak Jawa i Bali (co stanowi około 7% powierzchni tego kraju), co przekłada się na to, iż średnia gęstość zaludnienia przekracza tu w chwili obecnej 800 os/km², a zatem po Japonii jest to drugi na świecie obszar o największym zaludnieniu. Natomiast takie wyspy jak Papua, Sumatra czy Borneo, są zaludnione w bardzo niewielkim stopniu bo tylko 4os/km². Stąd też władze kraju prowadzą politykę przesiedlania ludności z Jawy w inne odleglejsze rejony, co niestety prowadzi do konfliktów.

Tuż po ostatniej epoce lodowcowej, czyli około 10 tysięcy lat temu na terenie dzisiejszej Indonezji pojawiły się pierwsze wioski, udomowiono zwierzęta, udoskonalono metody obróbki narzędzi i uprawy ziemi. Pierwsi rolnicy w Indonezji przypuszczalnie uprawiali nie ryż, ale pochrzyn (tzw. jams). Ryż pojawił się dopiero w ostatnich stuleciach, podczas gdy bulwy pochrzynu do dziś są podstawą pożywienia na wielu wschodnich wyspach.

5 tysięcy lat temu w Indonezji prawdopodobnie istniała epoka brązu. Wtedy to powstały najpiękniejsze ceremonialne goni i topory.

Od II wieku n.e. W Azji Południowo-Wschodniej zaczęły pojawiać się wyrafinowane cywilizacje, których kosmologia, literatura, architektura czerpały z wzorców indyjskich. Pamiątką po tych królestwach jest choćby Prambanan. Pod koniec VII wieku strategiczne cieśniny Malakka i Sundajska znalazły się pod kontrolą buddyjskiego królestwa Palembang. Tak narodziło się na Sumatrze imperium Śriwidżaja, które władało tym regionem 600 lat. Większość tego państwa stanowili żeglarze, którzy regularnie statkami pływali do Indii i Chin.

Buddyjskie i hinduistyczne rody panujące w środkowej Jawie bezustannie ze sobą rywalizowały, aż w końcu dynastia buddyjska zmusiła do uległości hinduistyczną dynastie Sandżaja.

W X wieku wschodniojawańskie królestwo było na tyle silne, że zaatakowało Śriwidżaję z Sumatry i okupowało ją przez dwa lata. Wkrótce potem potężna flota śriwidżajska w rewanżu zniszczyła wrogą stolicę, zabito króla, a wrogie państwo rozpadło się. Dopiero bratanek zabitego hinduskiego króla po kilkunastu latach zdołał je odbudować. Pod rządami kolejnych władców Jawa rozkwitała, dzięki handlowi morskemu. Jawajczycy słynęli wówczas jako znakomici żeglarze morscy.

W 1222 roku zapoczątkowana została nowa dynastia Singasari. Władcy z tego rodu podbili Sumatrę i państwo Śriwaradżja i przejęli kontrolę nad szlakami handlowymi w tym regionie.

W 1294 roku Widżaja zakłada stolicę nowego państwa Majapahit, które było pierwszym państwem obejmującym cały archipelag wysp indonezyjskich. Kraj upada podczas rządów jego wnuka, co prowadzi do wojny domowej na początku XV wieku. Pod koniec XV wieku kraj zostaje podbity przez nowe państwo islamskie Demak, a cała hindusko-jawańska arystokracja przeniosła się na wyspę Bali.

Pierwsi osadnicy holenderscy przybyli na Jawę i Sumatrę na przełomie XVI i XVII w. W następnych latach zapoczątkowali oni systematyczną kolonizację wysp indonezyjskich. W

1602 powstała holenderska Kompania Wschodnioindyjska, która rozwijała się i czerpała zyski z eksploatacji bogactw naturalnych wysp Archipelagu Malajskiego. Holendrzy stopniowo poszerzali swój stan posiadania w tym regionie świata. Z indonezyjskich wysp nie należała do nich jedynie północna część Borneo oraz wschodnia część wyspy Timor.

Tendencje niepodległościowe Indonezyjczyków dały znać o sobie w początkach XX w., znacznie przybierając na sile w okresie II wojny światowej i okupacji wysp przez Japonię. W ich wyniku proklamowano w sierpniu 1945 niepodległość Indonezji. Holandia oficjalnie uznała suwerenność swojej byłej kolonii w 1949. W 1954 Indonezja wystąpiła z unii personalnej z Holandią. W maju 1963 przyłączono do Indonezji ostatni skrawek posiadłości holenderskich w tym regionie - Irian Zachodni, położony w zachodniej części Nowej Gwinei.

W 1966 władzę w kraju przejął generał Suharto wprowadzając system rządów autorytarnych. Pomimo niezaprzeczalnych sukcesów gospodarczych kierowanego przez niego rządu, w kraju rośnie opór przeciwko nepotyzmowi rządzącego prezydenta i stosowanym przez niego metodom. W listopadzie 1991 wojska indonezyjskie dokonały masakry demonstrantów domagających się niepodległości dla anektowanego przez Indonezję Timoru Wschodniego. Według szacunków organizacji ochrony praw człowieka od 1975 wojska indonezyjskie zabiły na Timorze Wschodnim ok. 200 tys. ludzi.

W maju 1994 Indonezja po raz pierwszy wyraziła zgodę na bezpośrednie rozmowy z ruchem niepodległościowym Wschodniego Timoru (Fretilin). Objęta konfliktem wyspa jest zamknięta dla turystyki zagranicznej i inwestycji zagranicznych. W 1998 na kolejną siódmą z rzędu pięcioletnią kadencję prezydencką został wybrany Suharto. Wyboru dokonało Ludowe Zgromadzenie Doradcze bez formalnego głosowania, przez aklamację. Połowę członków Zgromadzenia mianował sam prezydent, pozostali należą w większości do prezydenckiej partii Golkar. W tym samym roku ustąpił ze stanowiska na skutek nieustających protestów społecznych. Jego następcą został Bucharaddin Jusuf Habibie.

5 V 1999 Indonezja i Portugalia podpisały porozumienie przyznające Timorowi Wschodniemu prawo do samostanowienia. Od tej pory Timor znajdował się pod administracją ONZ. 30 sierpnia 2001 odbyły się pierwsze w historii Timoru Wschodniego wybory parlamentarne. W maju 2002 oficjalnie ogłoszono niepodległość Timoru Wschodniego.

20 X 1999 nowym prezydentem Indonezji został Abdurrahman Wahid. 23 VII 2001 Doradcze Zgromadzenie Ludowe odwołało prezydenta Abdurrahmana Wahida, zarzucając mu niekompetencję i korupcję. Na jego miejsce powołano dotychczasową wiceprezydent Megawati Sukarnoputri.

W roku 2002 rząd indonezyjski podpisał porozumienie pokojowe z Ruchem Wolnego Aceh (GAM), kończące wojnę domową w północnej Sumatrze. W zamachu islamskich terrorystów dokonany w październiku tego roku na Bali śmierć poniosło 190 osób. 2003 Indonezja uchyliła się od wymierzenia sprawiedliwości oskarżonym o zbrodnie przeciwko ludzkości popełnione w związku z referendum secesyjnym Timoru Wschodniego w 1999. W połowie roku złamano ustalenia zawieszenie broni i wznowiono walkę o niepodległość Aceh, w prowincji wprowadzono stan wojenny, rozpoczęła się kolejna ofensywa, której celem jest ostateczne rozprawienie się z separatystyczną partyzantką GAM.

2004r. to rok, w którym po raz pierwszy w historii przeprowadzono bezpośrednie wybory prezydenckie, w których zwyciężył Susilo Bambang. Część wyspy Nowa Gwinea, która weszła w skład Indonezji jako prowincja Irian Zachodni.

Na podstawie konstytucji z 1945, Indonezja jest republiką. Funkcje głowy państwa i szefa rządu sprawuje prezydent, wybierany na 5 lat w głosowaniu powszechnym (do 2002 prezydent wybierany był przez Doradcze Zgromadzenie Ludowe, posiadające również uprawnienia w zakresie procedury impeachmentu oraz wprowadzania zmian do konstytucji).

Parlament – Rada Reprezentantów składa się z 400 deputowanych wyłonionych w wyborach powszechnych i 38 mianowanych przez prezydenta. Kadencja parlamentu trwa 5 lat.

Ze względu na wysoki poziom wzrostu gospodarczego, Indonezja zaliczana jest do grupy azjatyckich tygrysów. Indonezja jest krajem raczej rolniczym, odgrywającym ważną rolę w gospodarce światowej jako dostawca kauczuku, kakao (w czwórce największych producentów na świecie), pieprzu, chininy. Jest też ogromnym producentem ropy, cyny. Gospodarka rolno-plantacyjna daje około 60% dochodu narodowego. Trudny teren do zagospodarowania daje Indonezji niecałe 15% powierzchni kraju. Głównymi uprawami są ryż, drzewo kauczukowe, herbata, tytoń, różne egzotyczne przyprawy, palma oleista itp.

Tak więc jesteśmy na pierwszej naszej wyspie Indonezji - Jawie, która wchodzi w skład archipelagu Wielkich Wysp Sundajskich. Powierzchnia 126,5 tys. km², 112,2 mln mieszkańców (60% ogółu ludności Indonezji). Najgęściej zaludniona, należy do najlepiej rozwiniętych gospodarczo regionów kraju.

Wnętrze wyspy górzyste z rozległymi obniżeniami tektonicznymi. Najwyższymi szczytami Jawy są aktywne wulkany Semeru (3676 m n.p.m.) i Slamet (3428 m n.p.m.). Północne wybrzeża wyspy nizinne. Jawa pozostaje pod wpływem klimatu równikowego, wybitnie wilgotnego. Naturalną szatę roślinną tworzą wilgotne lasy równikowe, porastające 1/5 część Jawy.

Dojeżdżamy busem do centrum stolicy na ulicę Jalan Jaksa. To tutaj zatrzymują się w lokalnych hotelikach wszystkie obcokrajowcy. Wybieramy skromny, ale tani hotelik Bloem Steen. Bierzymy szybki prysznic, bo po tylu godzinach lotu nam się należy. Marsi wraz z kuzynami czeka na nas. Wsiadamy znowu do busa i jedziemy najpierw wymienić pieniądze. Tutaj możemy poczuć się milionerami. Indonezyjczycy mają niestety dość duże nominały, a ceny w tysiącach, więc gdy wymieniamy sporą ilość dolarów otrzymujemy bardzo grube pliki indonezyjskich rupii w milionach. Marsi proponuje, abyśmy zakupili kartę sim do telefonu komórkowego, bo rozmowy są tutaj bardzo tanie, a może nam się to przydać podczas podróży. Za równowartość 1 dolara można wysłać z indonezyjskiej sieci 15 smsów do Polski!!! Zresztą najmniejsza kwota jaką można doładować komórkę to 10 000Rp, czyli około 1 dolar. Marsi pomaga nam wybrać odpowiednią, a zarazem najbardziej popularną sieć telefonii komórkowej w Indonezji – SIMPATI. W końcu przychodzi czas, aby zaopatrzyć się w bilety na następny dzień do Jogjakarty. No i tu zaczynają się pierwsze problemy. Jedziemy wojskowym busem na dworzec kolejowy Gambir. Tam kłębią się przy kasach tłumy ludzi. Okazuje się, że jest jakieś wolne i ludzie masowo wyjeżdżają i biletów na jutro po prostu brak, ba na cały najbliższy tydzień nie ma ani jednego biletu. Nasi przyjaciele Indonezyjczycy próbują nam pomóc, wożą nas od przysłowiowego Annasza do Kajfasza, cały czas gdzieś dzwonią. Wieczór już zapadł, a my biletów nie mamy. W końcu po półtorej godziny bezowocnego jeżdżenia o dzwonienu, postanawiamy wrócić na naszą uliczkę. Wchodzimy do pierwszej agencji turystycznej i... po 5 minutach mamy bilety na przejazd busem do Jogjakarty na jutrzejszy wieczór. Hmm... mamy pierwsze zetknięcie się z mentalnością Indonezyjczyków – pomoc za wszelką cenę, nie ważne czy wiedzą jak się za to zabrać czy nie. Grunt to pomagać.

W Jakarcie około 18:00 zrobiło się totalnie ciemno, to tak jakby ktoś wyłączył światło i to dość nagle. Widać, że jesteśmy w okolicach równika, bo dzień trwa tutaj około 12 godzin, czyli od 6 do 18. Zresztą to moje pierwsze zetknięcie się z równikiem w życiu i pierwszy raz jestem też na półkuli południowej.

Po szczęśliwym zakupie biletów zapraszamy naszych indonezyjskich znajomych na obiad i piwo do restauracyjki w pobliżu naszego hoteliku. Pierwszą potrawę, którą jemy to nic innego jak „nasi goreng”, czyli smażony ryż z jakimś mięsem i warzywami. Podczas naszego obiadu i degustacji jedynego tutejszego piwa Bintang (co oznacza gwiazdę), zresztą i tak produkowanego przez międzynarodowy koncern Pilsner, możemy obserwować myszkę, która

raz po raz wyskakuje ze szpary w podłodze i biega dookoła stolików. Jakby tego było mało, to cały czas tną nas komary, oby tylko te bez malarii. Marsi przekonuje nas, że koniecznie musimy będąc na Flores odwiedzić jego mamę i brata, który uprawia goździki, kawę i wanilię. Nie ma możliwości abyśmy nie odwiedzili jego rodziny. Tak ma być i koniec. Na zakończenie spotkania z Marsim, wymieniamy się numerami telefonów, a Marsi dostaje od nas kilka koszulek i obrazek z Matką Boską Częstochowską, o które prosił zanim wyjechaliśmy z Polski.

Wracamy wypaść się w normalnym łóżku po długiej podróży. Pokoik hotelowy bardzo skromniutki, bez okna. Nie ma też łazienki, więc trzeba korzystać ze wspólnej na korytarzu. Przez całą noc jest gorąco i duszno w pokoju, a ja mam wrażenie, że cały czas mnie coś żre.

30.06.2008 (poniedziałek)

Uff nie ma to jak pospać w normalnym łóżku, nawet mimo doskwierającej duchoty, z która nie może sobie poradzić kręcący się u sufitu wiatraczek. Wstajemy o godzinie 8 rano. Poranne wstawanie i mycie umiła nam biegający po korytarzu z szaleńcza prędkością dużych rozmiarów karaluch. Próbuje za wszelką cenę dostać się do któregoś z pokoi. Trzeba pilnować, aby zamykać drzwi bo inaczej spryciarz niechybnie zagości w naszym pokoju.

Po szybkim wrzuceniu czegoś na ząb ruszamy zobaczyć stolicę Indonezji.

Jakarta - dawniej: Batawia – stolica i największe miasto Indonezji, 9,0 mln mieszkańców. Miasto jest położone w południowo-zachodniej części państwa, w północno-zachodniej części wyspy Jawa. Miasto zostało założone na początku XVI w. Jako port Sunda Kelapa, obsługujący handel korzeniami. W miarę rozwoju zyskowego handlu morskiego z kupcami indyjskimi, chińskimi i arabskimi, miejscowość rozrosła się w ruchliwy nadmorski port. W 1527 r. miasto znalazło się pod kontrolą sultanatu Bantam (wówczas zmieniono jego nazwę na Djakartę, czyli miasto zwycięstwa). Pod koniec XVI w. na Jawie pojawili się Holendrzy. W 1619 r. Holendrzy pod dowództwem Pieterszooona Coena zdobyli miasto i założyli na jego terenie twierdzę Batawia (od plemienia Batawów, holenderskich przodków), która stała się główną siedzibą holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i kolonii holenderskiej Indii Wschodnich. Silne trzęsienie ziemi zniszczyło miasto w 1699 r. Po kilku latach w rękach brytyjskich w 1814 r. Batawia powróciła w ręce Holendrów. W okresie 1942-1945 miasto znajdowało się pod okupacją wojsk japońskich. Po II wojnie światowej mimo ogłoszenia niepodległości, miasto zostało zajęte przez Holandię. Dopiero w 1949 r. miasto powróciło do niepodległej Indonezji i stało się jej stolicą. W 1950 r. zmieniono nazwę stolicy na Jakartę.

Jakarta to stolica czwartego pod względem liczby mieszkańców państwa na świecie. Niektórzy jej nienawidzą, inni ubóstwiają. Indonezyjczycy nazywają ją Wielkim Durianem, nawiązując w ten sposób do nazwy królewskiego owocu Azji, która jednak Europejczykom niewiele mówi. Jakarta jest więc jak durian i przyciąga wszystkie skojarzenia, jakie się z nim wiążą. Durian ma twardą, najeżoną kolcami skorupę, która zniechęca, by zajrzeć do środka, ale wewnątrz kryje się pyszny kremowy miąższ. Podobnie jest z Jakartą - jest to skarb, który nie zachwyca przy pierwszym spotkaniu, miłość od pierwszego wejrzenia jest niemożliwa. Można jednak nauczyć się ją kochać do tego stopnia, że stajemy się od niej zależni, jak od narkotyku, tak silnego, jak zapach duriana.

Jakarta to jedna z najbardziej zanieczyszczonych, głośnych, wyczerpujących, biednych, brudnych, duszących metropolii świata. Pozornie nie ma tu nic, co mogłoby przyciągnąć turystów. Nie znajdziemy tu także perełek architektury, takich jak Wielki Pałac w Bangkoku, fascynującej kultury, jak w Singapurze, czy wyraźnych śladów historii, jak w Pekinie. Dżakarta to po prostu olbrzymia stolica rozwijającego się kraju. Gdy przystaniemy w

niekończących się korkach ulicznych, zobaczymy wielkie aleje tego ogromnego miasta oświetlonego tysiącem świateł, bo zmierzch zapada tu o godzinie 18. Po opuszczeniu klimatyzowanej taksówki czujemy falę gorąca i wilgoć pachnącą goździkami. To właśnie Jawa... Jakarta emanuje kontrastami. Wielkie bogactwo sąsiaduje tu z biedą. Nowoczesne drapacze chmur patrzą z góry na port Sunda Kelapa, w którym czas się zatrzymał. Kapiące od luksusu wielkie hotele przystosowały się do brudu rynsztoków i dzielnic przemysłowych. Nadal wiele dzieci od najmłodszych lat żebrze i sypia na ulicy. Dwa kroki dalej wielkie centra handlowe, pełne luksusowych butików, wyrastają jak grzyby po deszczu...

Nasze pierwsze kroki kierujemy na plac „Merdeka”, co oznacza „Wolność”. Oto dawny jakarcki plac musztr i parad wojsk kolonialnych, obecnie miejsce tryumfu nad okupantami stacjonującymi tu do sierpnia 1949 roku. Olbrzymie połacie trawników okalające stutrzydziestosiędmietrowy Tugu Monas – narodowy monument, symbol niepodległości. Wieża zwieńczona u szczytu ponad czterestotonnowym wyobrażeniem płomienia, pokrytym z zewnątrz 35 kilogramami złota. Marmurowy obelisk określany przez niektórych „ostatnią erekcją Sukarno”... Tak, czy inaczej, stanowi doskonały punkt widokowy, który nam niestety nie jest dane oglądać, gdyż, jak napisane jest w przewodniku zamknięty w ostatni poniedziałek miesiąca. Pech chce, że właśnie jest ostatni poniedziałek czerwca. Musimy zadowolić się widokiem drapaczy chmur od dołu.

Z placu Merdeka idziemy do neogotyckiej, katolickiej katedry Mariackiej z 1901 roku zwanej popularnie „Gereja”. Trafiamy akurat na koniec jakiejś ceremonii, której przewodniczy biskup. Nie jesteśmy w niej długo, bo po mimo uruchomionych wiatraczków na kolumnach kościoła, jest tu strasznie duszno.

Naprzeciwko katedry znajduje się meczet Istiqlal wybudowany w latach 60-tych. Hasło jedność w różnorodności sprawdza się tutaj idealnie. Dwa miejsca spotkań różnych religii, na dodatek tak odmiennych znajdują się obok siebie. Przebieramy się w wypożyczone dżelabije i ruszamy na zwiedzanie. Meczet Istiqlal, to największy meczet a Azji Południowo – Wschodniej, wzniesiony na miejscu dawnej holenderskiej twierdzy. Hala meczetu jest przepastna, kolumny podpierające kopule i dach mają chyba z 5 m średnicy. Podczas zgromadzenia w meczecie może przebywać jednocześnie nawet 120 tysięcy wiernych. Z ciekawostek, to w centralnym miejscu nad mirabem znajduje się elektroniczny zegar wskazujący czas. Jakoś dziwnie wygląda w tym miejscu. Druga ciekawa rzecz to na centralnym placu meczetu znajduje się lokalny element buddyjski – ogromny bęben.

Indonezja jest największym krajem muzułmańskim na świecie, jednakże nie jest to islam ortodoksyjny. Nie jest to państwo oparte na islamie jak większość krajów muzułmańskich.

Islam do Indonezji sprowadzili w XIV wieku kupcy muzułmańscy, którzy dotarli tutaj przypuszczalnie z terenów dzisiejszego stanu Gudżarat w Indiach. Nowa religia rozpowszechniła się bardzo szybko na całym obszarze, z wyjątkiem Bali, które pozostało ostoją hinduizmu. Stąd islam rozprzestrzenił się na wyspach Indonezji drogą pokojowej ekspansji gospodarczej, szlakami handlowymi na wschód. Przejście na islam nie oznaczało dla Indonezyjczyków jedynie zmiany wiary, a wiązały się z tym także bardzo wymierne korzyści materialne. Islamscy kupcy coraz wyraźniej dominowali w tej części świata.

Islam na dobre zadomowił się w Indonezji w XV wieku, kiedy to władca Malakki po powrocie z długiego pobytu w Chinach postanowił zostać muzułmaninem. Przechodząc na islam, władca zabezpieczył się przed zagrożeniem ze strony Syjamu, a jednocześnie mógł brać udział w wymianie handlowej z przedsiębiorczymi kupcami świata muzułmańskiego. w XV wieku Malakka podporządkowała sobie wszystkie porty handlowe zachodniej części archipelagu, w tym i Jawy, gdzie pod zwierzchnictwem wielkich hindusko-jawajskich królestw odbywał się handel ryżem, przyprawami, złotem, tkaninami. Jednakże w 1400 r. królestwa Jawy zaczęły upadać i władcy szukając sposobu na to by ocalić sobie niezależność i

zapewnić dalsze zyski z handlu związali się poprzez mieszane małżeństwa z rodami muzułmańskimi. Stąd z czasem Jawa stała się wyspą muzułmańską. w ciągu XVI wieku islam dalej się rozszerzał po wyspach malajskich, aż na wyspy przybyli Portugalczycy, którzy wywrócili do góry nogami cały istniejący system sojuszy polityczno-gospodarczych panujących w tym regionie. na wyspach zaczęli dominować pod względem handlu Europejczycy - Portugalczycy i Holendrzy. Do dziś najbardziej muzułmańskim regionem jest prowincja Aceh na Sumatrze.

Na pozostałe wyspy islam docierał sporadycznie. W XVI i XVII wieku odleglejsze wyspy zostały podbite przez Europejczyków i poddane chrześcijaństwu. Z kolei na innych wyspach muzułmanów ubiegli jezuicy misjonarze, którzy wraz z przybyłymi holenderskimi kalwinami stworzyli tam bastiony chrześcijaństwa np. Flores.

Pierwotną religią mieszkańców wysp malajskich był animizm – czyli oddawanie czci wszelkim istotom żywym oraz twórcom przyrody nieożywionej. Religię tę nadal praktykuje się na odleglejszych wyspach archipelagu i łączy swobodnie z innymi religiami świata. Jej podstawą jest wiara w to iż we wszystkich drzewach, rzekach, górach, zwierzętach i nawet zwykłych przedmiotach mieszkają duchy. Stąd też mieszkańcy bardzo często kultuwują tradycję składania ofiar w formie jedzenia bóstwom i duchom, czym mogą sobie wyprosić bezpieczną przeprawę, udane żniwa, czy też obfitych połowów. Bardzo częstym miejscem zamieszkiwanym przez duchy są wulkany Indonezji, którym również składa się ofiary. Zazwyczaj w każdej osadzie mieszka medium zwane dukum, które cieszy się wysokim statusem społecznym, i pełni funkcje pośrednika między światem duchów, a światem ludzi.

Chociaż statystyka mówi, iż około 90% ludności Indonezji to muzułmanie, to w rzeczywistości tradycyjne wierzenia animistyczne mają wciąż bardzo duży wpływ na życie ludzi tego regionu. Bycie muzułmaninem, chrześcijaninem, hinduistą nie przekreśla znaczenia wiary w moc duchów no i skuteczność rytuałów w ich ugłaskiwaniu. Toteż wszystkie religie przejawiają cechy tradycyjnych pradawnych wierzeń ludów Indonezji, co nadaje niesamowity koloryt kulturze tego kraju.

Chodzimy sobie z przewodnikiem boso po meczecie. Nasze stopy od tego chodzenia robią się czarne. Na koniec przewodnik prowadzi nas do miejsca gdzie każdy może sobie obmyć swoje stopy. Muzułmanie czynią to jako rytuał wchodząc do meczetu.

Później trafiamy na plac, na którym stoi muskularny olbrzym zrzucający kajdany. Figura jest pomnikiem Wolności Irianu Zachodniego. Pomnik stanął w 1963 roku na polecenie Sukarno, który w ten sposób zaznaczył aneksję zachodniej części Nowej Gwinei.

Wsiadamy w powszechna tutaj taksówkę Blue Bird. Jak sama nazwa wskazuje jest błękitna. Tą taksówką jedziemy do Koty. Za przejazd, jak głosi napis w taxi płaci się wg wskazań licznika nie mniej jednak niż 25 000 Rp. Dojeżdżamy do Koty – starego miasta, które kiedyś stanowiło ważne centrum starej Batawii. Swoje kroki kierujemy do starej Cafe Batavia, znajdującej się w starym kolonialnym XIX-wiecznym budynku. Podobno jest to jeden z najstarszych budynków Jakarcie, a poza tym jedna z najlepszych kolonialnych restauracji na świecie. W takim razie nie pozostaje nic innego jak to sprawdzić. Wchodzimy do środka. Miejsce wydaje się ekskluzywne, ponadto efekt potęguje XIX wieczny wystrój. Czas tutaj zatrzymał się w miejscu. Dookoła mnóstwo zdjęć i obrazów, nawet w toaletach, stare meble, obicia, nawet menu prezentowane jest na tylnej części ramy obrazu. Kelnerzy dwoją się koło nas i troją. Ceny wysokie jak na Indonezję, ale o dziwo dla nas przy tak korzystnym kursie, wydają się przystępne. Ciekawe ile kosztowałby obiad w takiej restauracji w Polsce. Chyba za bardzo nie byłoby nas stać na taki luksus. Dobrze jest jednak podróżować po tanich krajach. Na obiad zajadamy się kurczakiem z orzeszkami nerkowca oraz kurczakiem w słodkim i lepkiem sosie cytrynowym. Wyśmienite.

Z Cafe Batavia idziemy prosto do portu, o którym wcześniej wspominałam. Port ten był początkiem istnienia dzisiejszej Jakarty. Wzdłuż nabrzeża stoją w szeregu dzioby statków,

które stanowią jedną z ostatnich na świecie żaglowych flot handlowych. Rozładunek majestatycznych drewnianych szkunerów pinisi – zbudowanych przez parających się żeglarstwem Bugisów z południowego Celebsu (Sulawesi) – tchnie atmosferą dawno minionej epoki. Wszędzie stoją statki z Borneo i Celebesu, gdzie trwa rozładunek i załadunek towarów. Z wysp trafiają tu głównie owoce, przyprawy itp., natomiast na wyspy płyną telewizory.

Z portu ponownie jedziemy niebieską taksówką do naszego hoteliku na Jalan Jaksu. Jednak zanim do niego wchodzimy najpierw zaliczamy pobliską restauracyjkę, gdzie poznaję kolejną tutejszą potrawę – czyli gado-gado, czyli totalne warzywne misz-masz z jajem na twardo lub sadzonym, posypane prażynkami i polane sosem z orzeszków. Dobre na krótką metę. Indonezyjczycy zresztą mówią, jeśli coś jest wymieszane np. rodzina pochodzi z różnych stron Indonezji to jest właśnie takie gado-gado. Siedząc w restauracyjce okazuje się, że Bartek gdzieś zgubił swój telefon. Na nic zdają się jego poszukiwania. Zapewne zaginął w restauracji, a co bardziej prawdopodobne w drodze powrotnej w taksówce.

Po kolacji wracamy do hotelu. Szybki prysznic, zabranie plecaków i przed 19:00 stawiamy się przed agencją gdzie kupiliśmy bilety do Yogyakarta. Bus pojawia się punktualnie, co w Azji jest sporym zaskoczeniem. Jedziemy w busie między innymi z dwoma Francuzami. Zapadła już ciemność, więc przez okna oglądamy oświetloną Jakartę. Przejedźdżamy przez dzielnice handlowe, gdzie dostrzegam nawet Carrefoura i Makro. Jedziemy i jedziemy, a stolica jakby nie miała swojego końca. Bus kluczy po okolicach miasta. W pewnym momencie dojeżdżamy pod przypadkowy dom, nasz kierowca wysiada, a jego miejsce zastępuje inny. Jedziemy dalej, zbaczamy do wsi, gdzie zabieramy matkę z dwojgiem dzieci i... po godzinie podjeżdżamy znowu pod ten sam dom, gdzie nastąpiła wcześniej zamiana kierowców. Ponownie się zamieniają i jedziemy dalej. Samochód wręcz pruje przez Jawę. Kierowca strasznie jedzie, a droga nie najlepsza momentami i wpada we wszystkie dziury. Ponadto dla naszego kierowcy nie ma rzeczy niemożliwych, skoro za duży sznur samochodów przed nami i on nie może nabrać prędkości, no to wyprzedza poboczem na trzeciego. Makabryczna jazda, aż trudno spać. Widać, że jesteśmy w jednym z najbardziej zaludnionych regionów świata. Mimo tego, że już ciemna noc ruch samochodowy przez wyspę niesamowity. Sznur samochodów ciągnie się jeden za drugim, choć droga szeroka, wszystko wypełnione autami. Swoja szaleńcza jazdę nasz kierowca przerywa około 22:30, bo to czas aby coś zjeść w przydrożnym barze, a potem dalej w drogę do samego rana.

01.07.2008 (wtorek)

Trzęsie nami już wiele godzin. Dokładnie o 6:15 kierowca zarządził przerwę na śniadanie, ale niestety skorzystał z niego tylko on sam. Pani z dwojgiem dzieci gdzieś po drodze wysiadła, nawet nie wiem kiedy. Kiedy tak o świecie przemierzaliśmy Jawę, mijaliśmy wioski w gajach palmowych skąpane jeszcze w porannej mgle. Jednak pomiędzy tymi palmami, wśród wiejskich chat od wczesnych godzin porannych kwitnie już życie. Otwarte są małe sklepiki, warsztaciki, a na polach ryżowych pasą się moje ulubione zwierzęta Azji, czyli bawoły wodne. Ponadto ubrane w szkolne mundurki – białe bluzki i brązowe spodnie lub spódniczki - jadą do szkoły dzieci na rowerach. O której oni zaczynają tutaj szkołę?

Hmm w Yogyakarta mieliśmy być o 7 rano, ale ta godzina już dawno minęła, a my dalej jedziemy i jedziemy. Wypatruję więc słynnego wulkanu Merapi, który powinien górować w okolicach Yogyakarta, ale też nic z tego. Gunung Merapi - czynny wulkan w środkowej części Jawy w Indonezji; zaliczany do stratowulkanów. Leży w bardzo gęsto zaludnionej okolicy, w pobliżu dużego miasta Yogyakarta. Szacuje się, że ten jeden z najbardziej aktywnych wulkanów w Indonezji wyemitował największą ilość materiału piroklastycznego ze wszystkich wulkanów na świecie. Pierwsza zanotowana erupcja miała

miejsce w 1548 r. Częste lawiny piroklastyczne pociągające za sobą dziesiątki ofiar śmiertelnych (ostatnio w 1979 r. i w listopadzie 1994 r.). Ciągłe stanowi duże zagrożenie, intensywnie monitorowany. Wzmoczona aktywność wulkanu w połowie maja 2006 roku zagroziła ponad 34 tys. ludzi, z których wielu zostało ewakuowanych w obawie przed skutkami spodziewanego w niedługim czasie kolejnego groźnego wybuchu.

Nie pozostaje nic innego jak próbować jeszcze choć trochę się zdrzemnąć, choć dalej jest to trudno, gdyż nasz kierowca mimo całonocnej jazdy nie stracił ani trochę werwy i jedzie jak szalony. Jedzie głównie środkiem drogi, gdyż wszędzie jadą wspomniane już wcześniej rowery.

Koło godziny 10 nareszcie wjeżdżamy do Jogjakarty, choć dalej nie widzę wulkanu Merapi. Kierowca zawozi nas do dzielnicy tanich lokalnych hotelików, gdzie zaraz na ulicy przejmują nas miejscowi i prowadzą do jakiegoś hotelu.

Yogjakarta to miasto w Indonezji w środkowej części Jawy u podnóża wulkanu Merapi, zwane potocznie Yogya.

Miasto położone w najżyźniejszym rejonie Jawy; uprawa trzciny cukrowej, ryżu, tytoniu; przemysł włókienniczy, spożywczy, skórzany, farmaceutyczny; ważny ośrodek sztuki jawajskiej (batiki, maski, wyroby ze srebra, balet, teatr); siedziba wielu wyższych uczelni, najbardziej znane to Universitas Gadjah Mada (zał. 1949) i Universitas Islam Indonesia (zał. 1945). Do 1755 r. miasto należało do sultanatu Mataram, po jego podziale powstał m.in. sultanat Jogjakarta, który później stał się protektoratem holenderskim. W czasie II wojny światowej pod okupacją japońską, w latach 1946-1950 pełniło czasowo funkcję stolicy Indonezji, gdyż Batawia była okupowana przez Holandię. 27 maja 2006 miasto ucierpiało w wyniku trzęsienia ziemi o sile 6,2 stopnia w skali Richtera.

Yogya to także dawna stolica Indonezji liczy około 600 tys. mieszkańców. Jest o wiele piękniejszym miastem niż Dżakarta, pełna zabytków i świątyń. Atrakcją stanowi Kraton-pałac sultana zbudowany w 1755-56. Kraton stanowi przykład klasycznej architektury jawajskiego dworu cesarskiego. Oprócz pałacu warto też odwiedzić Sambisari - hinduistyczną świątynię poświęconą bogu Siwa, ptasi targ i znajdujące się w pobliżu monumentalne świątynie buddyjskie - Borobudur i Prambanan. Oprócz świątyń koniecznie trzeba odwiedzić jedną z wielu wytwórni batiku.

Klucząc wśród zaułków Yogji zostajemy doprowadzeni do hoteliku Sakura, nocleg ze śniadaniem tylko 10\$ za 2 osoby. Oczywiście nam szkoda czasu, więc bierzemy szybki prysznic, który ma nas orzeźwić po nocy spędzonej w busie, idziemy do agencji turystycznej sprawdzić jak dostać się do najciekawszych miejsc w tej okolicy. Przed wyjściem zostawimy obsłudze hoteliku do uprania parę naszych rzeczy.

W agencji okazuje się, że najlepiej załatwić wszystko u nich – przejazd plus bilety wstępu. Po chwili targowania wykupujemy na jutro wycieczkę do Borobudur i Prambanan.

Mając załatwiony jutrzejszy dzień w końcu przydałoby się zjeść jakieś śniadanie. Niedaleko naszego hoteliku znajdujemy restauracyjkę o nazwie SUPERMAN, więc postanawiamy tam zajrzeć. Menu wygląda całkiem dobrze - zamawiamy mięsko w sosie z mleka kokosowego oraz jawajską kawę. Podczas śniadania dyskutujemy na temat wyjazdu na 3 dni pod wulkan Bromo i Ijen. Porównujemy ceny z przewodnika i tego co proponuje nam owa agencja turystyczna. W sumie finansowo wychodzi niewiele więcej, toteż postanawiamy skorzystać również i z tej oferty. Po śniadaniu wracamy więc do agencji załatwić ten wyjazd.

Dalej swoje kroki kierujemy pod pałac sultana – Keraton. Położony jest w samym centrum miasta. Zgodnie z tradycyjną kosmogonią, władca Jogjakarty jest dosłownie pępkiem świata, niczym kotwica utrzymuje w miejscu cały doczesny padół i komunikuje się z mistycznym światem potężnych bóstw. Keraton zatem to nie tylko stolica królestwa, ale także ośrodek całego wszechświata. W pałacu mieszka sultan z rodziną oraz przechowywane są rodzinne regalia. Kompleks obejmuje komnaty ceremonialne oraz pomieszczenia

przeznaczone do prywatnych medytacji, okazała salę tronową, kilka pawilonów do przyjmowania gości i urządzania przedstawień, meczet, rozległy królewski ogród, stajnie, koszary, odlewnię uzbrojenia i amunicji oraz dwa place defiladowe. Wszystko to rozmieszczono w starannie rozplanowanym kompleksie pałacowym, z wąskimi alejkami i masywnymi bramami.. Cały kompleks otoczony jest murem, z każdej strony mierzącym około 2 km długości. Budowa pałacu rozpoczęta w 1755 r. Trwała prawie 40 lat. Od tego czasu do dzisiaj pałac niewiele się zmienił. Dzisiaj tylko wewnętrzna część należy do Keratonu, natomiast labirynt zaułków, meczet, czy place wtopiły się w miasto. Nadal jednak stoją długie odcinki muru, a liczne rezydencje w jego obrębie pozostają własnością królewskiej rodziny i są przez nią zamieszkiwane.

Część obiektów w ogóle nie jest dostępna do zwiedzania, inna część tylko do godziny 13, a jeszcze inną można zwiedzać cały czas. Przez to, że przychodzimy w okolicy godziny 13, jesteśmy zmuszeni do obejrzenia tylko niewielkiej części pałacu.

Z pałacu jedziemy becakami, czyli rowerowymi rykszami do niby to rządowej galerii batik. Trudno dowiedzieć się, co jest rządowe, a co nie, a każdy sklepikarz zapewnia, że tylko jego batik jest oryginalny, inni mają podróbki.

Ale cóż to jest batik? Indonezja jest słynna z tkaniny zwanej batik. Jest to tkanina bawełniana, pokryta zróżnicowanym dwu- lub wielobarwnym wzorem. Proces tworzenia batiku polega na rozrysowaniu wzorów na materiale przy pomocy płynnego wosku, a następnie nadaniu odpowiednich kolorów poprzez zanurzenie w barwnikach. Wzory uzyskuje się dzięki temu, że barwnik zmienia kolor tkaniny jedynie w miejscach nie pokrytych woskiem. Następnie wosk jest usuwany. Proces nakładania, barwienia i usuwania wosku jest powtarzany kilkakrotnie, dzięki czemu uzyskuje się skomplikowane i niepowtarzalne wzory. Do aplikacji wosku służy narzędzie zwane tjanting (bambus połączony z lejkami) oraz tjap (mosiężne stemple). Tjanting jest metodą starszą i bardziej cenioną niż technika tjap. Poza tym wzór wychodzi z 2 stron tkaniny. Będąc w galerii batiku mamy okazję przyjrzeć się, jak powstaje i oczywiście nie zostajemy z niej wypuszczeni z pustymi rękoma. Jak to zawsze bywa w takich miejscach zostajemy namówieni na kupno. Wraz z Pawłem zakupujemy dwie sztuki za przyzwoitą cenę około 4\$ za sztukę – jeden to rajske ptaki, a drugi to bawół wodny z Indonezyjczykiem na polu ryżowy.

Po zakupie szybko się z tego miejsca ewakuujemy, aby nie chciano nam wcisnąć jeszcze czegoś, albo zaprowadzić do innej rządowej galerii batik. Trafiamy znowu do restauracyjki, tym razem wpadamy na coś do picia. Tym razem próbuję świeżego soku z arbuza z dodatkiem syropu z trzciny cukrowej. Przepyszne.

Tutaj rozdzielamy się na trochę. Ja i Ania idziemy połączyć się z Pawłem z Bartkiem jadą na lotnisko zobaczyć czy da się kupić bilety lotnicze na odleglejsze wyspy, które mamy w planach zobaczyć. Wszystkie napotkane agencje mają odmienne informacje, więc lepiej pojechać i sprawdzić u źródła.

Wraz z Anią zaczęłyśmy na handlowej uliczce Yogjy – Jalan Malioboro - najpierw porównywać ceny towarów, a potem zakupiłam sukienkę i torebkę. Na targowej ulicy jest wszystko, od ciuchów, przez torebki, klapki, bransoletki, buty itp. Oczywiście napotkany Indonezyjczyk zaciągnął nas do swojej galerii batiku, mówiąc że niby uczestniczy w festiwalu 25 artystów... Próbuje nam wcisnąć kolejne obrazy z batiku, ale my już przecież kupiliśmy. Ostatecznie kończy się na tym, że wypijamy herbatkę no i trzeba jakoś się z tego miejsca ulotnić. Uff pod pretekstem, że nasi mężowie na nas czekają udaje nam się stamtąd wyjść.

Pędzimy pod pałac sułtana, bo tam jesteśmy umówione z Pawłem i Bartkiem. Mają zakupione bilety, choć trochę inaczej niż wcześniej planowaliśmy, ale grunt że w końcu są. Wraz z Pawłem i Bartkiem ruszamy na wieczorne zwiedzanie ptasiego targu. Oczywiście, znowu się trochę spóźniamy i możemy już oglądać tylko niedobitki targu – gołębie czy inne małe kolorowe ptaszki. Stąd idziemy na mury starego pałacu, wśród których dzieci urządziły

sobie mecz piłki nożnej. Zabawne, bo bramki wyznaczone są za pomocą klapków bramkarza. Przy zachodzącym słońcu w końcu nad miastem w oddali pojawił się wulkan Merapi.

Po magicznym zachodzie słońca nad Jogjakartą, zobaczeniu sułtańskich basenów, wróciliśmy w pobliże naszego hoteliku, gdzie w restauracji zasiedliśmy na kolację – nasi goreng, czyli smażony ryż z warzywami i jakimiś resztkami kurczaka. Oczywiście do tego świeży sok z ananasa.

Teraz mogę iść spać, bo jutro wstajemy bardzo wcześnie.

02.07.2008 (środa)

Rety pobudka o 4:30 nad ranem. Jeszcze ciemno. Źle mi się wstaje mam wrażenie, tak jakbym została porządnie zdzielona czymś ciężkim w głowę. Co mi się stało? Ano wczoraj przed pójściem spać zażyłam tabletkę antymalaryczną arechin. I jak widać jeszcze ostro działa, bo mam zawroty głowy i w ogóle dziwny odlot. Masakra.

O 5 rano wyjeżdżamy z hoteliku. Dalej czarna noc. W busie jest kilkoro obcokrajowców oraz nasz przewodnik z agencji turystycznej. Jedziemy najpierw do Borobudur na wschód słońca. Gdzieś w oddali majaczy dymiący Merapi. Dojeżdżamy około 6 rano, już dnieje, więc szybko pędzimy pod świątynię żeby zobaczyć wschód słońca wśród buddyjskich stup.

Wielka świątynia buddyjska Borobudur na Jawie ma niezwykłą konstrukcję, a jej układ oraz program religijny, filozoficzny i dydaktyczny zawarty w dekoracji stanowi rezultat przemyśleń uczonych, kapłanów i mnichów. Cały zespół jest w zasadzie gigantyczną stupą, największą świątynią buddyjską na świecie.

Borobudur leży na płaskowyżu Kedu, 42 km na północny zachód od Jogjakarty. Badania historyczne, archeologiczne oraz analiza formy architektonicznej pozwoliły ustalić, że wzniesiono go na początku IX w. n.e., za panowania potężnej dynastii Sjailendrow. Prawdopodobną datą ukończenia budowy jest 824 r. n.e. Największą buddyjską świątynią na świecie stawiano przez około 75 lat, w czasie, gdy w Indiach, pod naporem hinduizmu, buddyzm upadał. Tylko około dwustu lat spełniała ona funkcje religijne. W 1006 r. n.e. wybuch wulkanu Merapi wstrząsnął budowlą, na którą spadł deszcz popiołów i tufu. Kiedy ośrodek władzy ostatecznie przesunął się do wschodniej Jawy, sanktuarium zostało opuszczone i w niedługim czasie porosła je tropikalna dżungla, niszcząc i rozsadzając denne mury.

Borobudur został ponownie odkryty w 1835 r., kiedy wojska brytyjskie zajęły Jawę. W 1900 r. niegdyś majestatyczne sanktuarium przypominało składowisko gruzu. Rozmiar zniszczeń pobudził holenderskie władze kolonialne do podjęcia natychmiastowej akcji ratunkowej. W latach 1907-1911 dokonano rekonstrukcji świątyni. Prace, którymi kierował młody, niezwykle uzdolniony inżynier Theodoor van Erp, przekroczyły swoimi rozmiarami wszelkie znane dotąd przedsięwzięcia konserwatorskie, wytyczając na długie lata ich standardy. Holenderski naukowiec, podchodzący z wielkim szacunkiem do prawdy historycznej, dążył do najwierniejszej rekonstrukcji kompleksu. Jak się okazało Borobudur było podatną na zniszczenie warstwa kamiennych bloków spoczywających na naturalnym kopcu ziemnym. Przesączająca się przez tę warstwę woda wymywała miękki fundament, a na powierzchni zabytku wytracały się sole mineralne. Pod ich wpływem oraz pod działaniem słońca, wiatru i deszczu, zabytek niszczał, zatracając swoje pierwotne piękno. Szeroko zakrojonych planów prawdziwej restauracji nigdy nie zrealizowano, gdyż przeszkodziły w tym obie wojny światowe, a także zapaść gospodarcza.

W 1911 r. prace zostały zakończone. Naprawiono rynny, żeby uchronić zabytek przed zalaniem wodą, a także dokonano renowacji reliefów, balustrad, schodów i ozdobnych nisz.

Odbudowano trzy górne piętra świątyni. Najbardziej trwałym wkładem T. van Erpa w rozwój nauki stała się bogata dokumentacja fotograficzna, która przez długie lata pozwalała śledzić postępujący proces niszczenia kompleksu. W latach 70. i 80. XX w. konieczne stało się podjęcie systematycznych prac restauratorskich, w których pod egidą UNESCO uczestniczyli przedstawiciele 27 narodów.

Borobudur jest wielkim osiągnięciem architektury buddyjskiej nie tylko z powodu rozmiarów, ale też dzięki jednolitości swego przesłania. Budowniczo wie sanktuarium zamierzali wzniesić na Jawie wierną kopię legendarnej góry Meru - gigantycznego szczytu, stanowiącego w mitologii braministycznej i kosmologii indyjskiej oś świata.

Sanktuarium Borobudur to sztuczne wzgórze w formie olbrzymiej stupy z ośmiu nałożonych na siebie tarasów z szarego, bardzo twardego trachitu, które stoją na monumentalnym, kwadratowym cokole. Pięć dolnych kondygnacji symbolizuje świat ziemski (materialny), a trzy koliste górne odpowiadają królestwu ducha.

Pielgrzym, wspinając się po stopniach świątyni, przechodzi od świata materialnego do duchowego. Na kolistych kondygnacjach rozmieszczono 72 małe stupy w kształcie ażurowych, kamiennych dzwonów. Mieszczą one posągi medytującego Buddy. Na szczycie sanktuarium jest usytuowana główna budowla kultowa - stupa o średnicy 15 m, do której prowadzą schody. Symbolizuje ona cel ostatecznej nirwany - duchową wolność lub niebo.

Borobudur widziane z lotu ptaka tworzy mandalę, czyli geometryczny kształt wspomagający medytację. Borobudur jest symbolem podróży duchowej. Oryginalne Borobudur miało 10 poziomów, z których każdy przynależał do jednego z trzech podziałów wszechświata według buddyzmu mahajana - niższych sfer ludzkiego życia - świata pożądania, średniej sfery - czystej formy oraz wyższej sfery czystego ducha, uwolnionego od formy. Najniższa galeria płaskorzeźb, obecnie zakryta przedstawia przyjemności tego świata oraz potępienie, które czeka grzeszników w zaświatach. Następne pięć poziomów to taras procesyjny i cztery koncentryczne galerie. Środkowe kondygnacje są poświęcone wydarzeniom z życia Buddy (rozpoczynają się od jego oświecenia pod drzewem figowym Bo). Na górnych piętrach przedstawiono tematy filozoficzne z metafizycznych pism Mahajany. Aby wejść na wyższy poziom, pielgrzymi muszą obejść każdy taras poruszając się zawsze w lewo, ponieważ pójście w odwrotnym kierunku oznacza zwrócenie się ku złu. W niszach nad galeriami umiejscowiono 432 kamienne posągi Buddy, z których każdy wykonuje jeden z pięciu gestów, zwanych mudrami, bądź przywołując ziemię na świadka, bądź wyrażając miłosierdzie, medytację, niezłomność lub rozum. Ponad kwadratowymi galeriami trzy okrągłe tarasy dźwigają 72 ażurowe miniaturowe stupy - unikat w sztuce buddyjskiej. Większość z nich zawieją figurę Buddy medytującego. Dwa posągi pozostawiono bez zakrycia, by spoglądały na pobliskie góry Menoreh, w których szereg pagórków i wzniesień podobno przedstawia Gunadharmę, czyli boskiego architekta tej świątyni. Owe trzy tarasy to stopnie przejściowe, wiodące na najwyższy poziom - dziesiąty, czyli niematerialną sferę czystego ducha, której odzwierciedlenie jest potężna, wieńcząca cały kompleks stupa.

Po kompleksie wałęsamy się przez prawie 2 godziny. Przepiękne miejsce. Wrażenie na nas robi wschód słońca, a także zatopione we mgle okoliczne lasy deszczowe. Wyjdą przepiękne zdjęcia. Ja niestety cierpię na dość znaczne zawroty głowy, ale jakoś daję sobie radę. Raz na jakiś czas nie mogę złapać prostej linii po której powinnam się poruszać. W świątyni coraz więcej zagranicznych turystów oraz Indonezyjczyków. Najlepsze są wycieczki młodych Indonezyjczyków, którzy co chwile fotografują się z obcokrajowcami. Nas to również spotyka.

Wychodząc z kompleksu zostajemy z Pawłem zatrzymani przez lokalnego sprzedawcę, który tak długo nas zaczepia, aż w końcu za niewielkie pieniądze (cenę

ostatecznie zbijamy z 70 000 do 30 000Rp) kupujemy buddyjską figurkę stupy oraz hinduistyczną figurkę słonia.

Po dwóch godzinach spotykamy się przed kompleksem świątynnym na śniadaniu, które serwuje lokalna restauracyjka, oczywiście w cenie naszego wyjazdu. Zjadamy więc tost z dżemem, jajko, sałatkę owocową i rozbudzamy się jawańską kawą.

Z Borobudur jedziemy jeszcze pod dwie inne świątynie. Jedną z nich to Candi Mendut. Podstawę i oba boki schodów zdobią moralistyczne sceny z opowieści ludowych, z których wiele dotyczy zwierząt. Na ścianach przedsionka widnieją drzewa z pieniędzmi. W Mendut znajdują się trzy z najwspanialszych buddyjskich posagów na świecie: siedzący Budda Sakajamuni – majestatyczna 3 metrowa figura, a po jej lewej i prawej stronie 2,5 metrowe figury bóstw symbolizujących unicestwienie zła oraz miłosierdzie i współczucie. Środkowy posąg symbolizuje pierwsze kazanie Buddy w Parku Jeleni koło Waranasi w Indiach. Przy świątyni znajduje się też olbrzymie drzewo banianowe. Takiego drzewa nigdy w życiu jeszcze nie widziałam. Legenda mówi, że Budda odpoczywał pod drzewem banianowym wkrótce po doznaniu oświecenia. Niezwykłe drzewo banianowe to najstarsza roślina na Ziemi posadzona przez człowieka i wegetująca do dziś. Rośnie w świątyni Sri Maha Bodhi w Anuradhapurze - starożytnej stolicy Sri Lanki. Zostało zasadzone około 288 roku przed naszą erą przez córkę hinduskiego króla Aśoka, jednego z pierwszych ważnych wyznawców buddyzmu.

Banian to inaczej figowiec bengalski (*Ficus benghalensis*), który charakteryzuje się niezwyklejmi właściwościami. Od jego gałęzi odchodzą w dół pionowe pędy, tak zwane korzenie przybyszowe, które wrastają w ziemię i zakorzeniają się. Z czasem stają się one dodatkowymi pniami. Dzięki nim drzewo może się rozrastać w nieskończoność, osiągać gigantyczne rozmiary korony - aż do ponad dwóch hektarów - i żyć wiecznie.

Czas teraz na małą odmianę. Jedziemy do kolejnego zespołu świątyń, ale tym razem związanych z hinduizmem. Wchodzimy do Prambanan.

Świątynia Prambanan, uważana za jedną z najpiękniejszych świątyń hinduistycznych, powstała w IX w. Ma kształt wysokiej piramidy, którą zdobią posągi Buddy i liczne płaskorzeźby. Cały zespół świątynny liczył pierwotnie 232 obiekty architektoniczne, mieszczące się na trzech dziedzińcach, otoczonych murami. Ok. 1600 zespół uległ zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi. W latach 50. XX w. rozpoczęto rekonstrukcję głównych świątyń. Najlepiej znany jest kompleks Lara Djonggranag, zwany również Tjandi Prambanan (Świątynia Prambanan), wzniesiony przez Dhaksę, króla Mendang-Mataram, na początku X w. ku czci boga Śiwy.

Wzniesiona na planie czterech czworokątów, otoczonych czterema murami z czterema obszernymi bramami, jest największą w Indonezji świątynią Śiwy. Lara Jongrang - Smukła Dziewica, to nazwa nadana przez okolicznych mieszkańców ogromnemu, znajdującemu się w świątyni posagowi żony Śiwy - bogini Durdze.

W pobliżu świątyni Śiwy wznoszą się mniejsze świątynie poświęcone Wisznu i Brahmie - wszystkie dekorowane są reliefami przedstawiającymi sceny z Ramajany, jednego z największych eposów hinduizmu. Styl architektoniczny Borobudur łączy cechy charakterystyczne dla północnoindyjskich świątyń wieżowych z elementami zapożyczonymi z buddyjskiej stupy. Poza murem środkowego dziedzińca znajdują się cztery zespoły mniejszych świątyń.

Prace renowacyjne w kompleksie zostały przerwane przez tragiczne trzęsienie ziemi, które nawiedziło ten rejon w maju 2006 roku. Pochłonęło blisko 6 tysięcy ofiar i poważnie uszkodziło cały kompleks. W roku 2007 kompleksu nie można było zwiedzać, natomiast w tym roku już tak, ale rzeczywiście jest on bardzo zniszczony. Dookoła świątyń znajduje się park z drzewami, które u nas w Polsce jako miniaturki, można kupić w kwiaciarniach w doniczkach.

Wracamy do Yogjy. Rozdzielamy się. Paweł z Bartkiem jeszcze raz jadą na lotnisko, aby zapłacić za wczoraj kupione bilety, Ania idzie do hotelu spać, a ja z kolei znikam w kafejce internetowej. Przy okazji zaglądam na Jalan Malioboro i oczywiście napotykam na gościa od batików, który wczoraj próbował mi i Ani coś sprzedać. Bardzo dobrze sobie nas zapamiętał i nawet zaczął wypytywać, gdzie podziela się druga Ania. Po całym dniu zwiedzania, poszłam do Supermena na małe conieco, czyli na sok ananasowy z limonką. Oczywiście nie dane mi jest wypić soku w spokoju. Przysiada się Indonezyjczyk, który wiedział dokładnie w którym hoteliku mieszkam, że jadłam tu wczoraj śniadanie ze znajomymi, a obiad w innej restauracji. Normalnie KGB.

Po szybkim wypiciu soku, wracam do hoteliku. Po chwili pojawiają się też Paweł z Bartkiem i już wszyscy razem idziemy na obiad. Tym razem czas na Cap Cay – czyli kawałki kurczaka, krewetki, warzywa, grzyby, a do tego oczywiście świeży sok z różnych owoców.

Po obiedzie idziemy poszwędać się po okolicy i zakupić parę pamiątek np. bardzo ładne szkatułki. Kiedy tak sobie chodzimy, obserwujemy przystanki autobusowe. Są tutaj inne niż gdziekolwiek do tej pory widziałam. Ich inność polega na tym, iż są na pewnej wysokości. Nie wsiada się do nich z chodnika tylko ze specjalnej budki, do której wchodzi się po zakupieniu biletu u kontrolera, który siedzi w tej budce. Napotykamy również na McDonalda, bo globalizacja musi przecież być i tutaj. Zjadam lody McFlur, które w Polsce kosztują około 5 zł, a tutaj dokładnie 5 razy mniej.

Wieczorem na 20:00 idziemy na teatr lalek – cieni. W tym kraju, szczególną rolę w rozwoju teatru odegrały wyspy Jawa i Bali. Teatr jest tu połączeniem dramatu, tańca, muzyki. W X w. na Jawie powstała najpiękniejsza i najświetniejsza forma widowiskowa Azji Południowo-Wschodniej: teatr cieni, tzw. wayang występujący w kilku odmianach (termin oznacza także w ogóle sztukę teatralną). Najbardziej popularny jest wayang purwa – teatr płaskich, skórzanych lalek i teatr cieni równocześnie, gdyż publiczność siedzi po obu stronach ustawionego na środku widowni ekranu.

Jest to najświetniejsza forma widowiskowa w Azji Płd.-Wsch.; powstała w X w. na Jawie (związana z przedhinduistycznym kultem przodków), rozpowszechniona na całym Archipelagu Malajskim. Główne wątki i postaci czerpie obecnie z mitów wedyjskich. Wayang purwa (wayang = cień, widowisko; purwa = starożytny) do dziś zachował funkcję pośrednika między człowiekiem a światem pozazmysłowym; inne formy wayang zaczęły pełnić funkcje rozrywkowe; wayang kulit (kulit = skóra) to odmiana lalkowego teatru cieni, figurki wykonane z perforowanej bawolej skóry naciągniętej na szkielet z rogu lub drewna (twarz ukazana z profilu, tułów w półbrocie) z ruchomymi barkami i łokciami, poruszonymi 2 drewnianymi pałeczkami, każde wycięcie, kolor, ornament itd. - jest od dawna skodyfikowane i ma określone znaczenie symboliczne. Mistrzem ceremonii jest dalang - narrator, dyrygent muzyków (a niekiedy akompaniator, uderzający stopami w instrumenty perkusyjne) i animator lalek, których w spektaklu występować powinno 144. Przedstawienia ukazują epizody z Ramajany i Mahabharaty ułożone w cykle. Mężczyźni siedzą za dalangiem, kobiety - przed ekranem (widzą tylko cienie). Wayang gedok - młodsza odmiana opowiadająca wydarzenia z okresu podboju Jawy przez islam, wayang golek - obecnie najpopularniejsza odmiana wayang, z pełnoplastycznymi lalkami (golek = wypukły), odgrywana jest bez ekranu, drewniane - kunsztownie rzeźbione figurki ubrane są we wspinałe szaty, pod którymi ukryta jest ręka animatora; wayang kelitik (kelitik = drobny) - drewniane, ale płaskie figurki ze skórzanymi rękami; wayang wong (człowiek) to teatr żywego aktora, oparty głównie na akrobatycznych tańcach. We wszystkich odmianach w. istotną funkcję pełni muzyka wykonywana przez gamelan (zespół instrumentów perkusyjnych, uzupełnianych szarpanymi i dętymi).

Ciekawe widowisko, choć gamelan jest bardzo głośny. Cienie robią wrażenie, choć najpierw zasiadamy od strony zespołu, a dopiero później przesiadamy się za ekran gdzie

można podziwiać cienie w całej krasie. Szkoda tylko, że historia, którą opowiadana jest tylko w języku indonezyjskim. Dobrze, że jest chociaż angielskie streszczenie. A więc...

Ramajana to drugi ze słynnych eposów indyjskich. Dzieło prawie dziesięciokrotnie krótsze od opowieści o losach Pandawów i Kaurawów, czyli Mahabharaty. Uważane za stworzone czy raczej skomponowane przez jednego autora o imieniu Walmiki i zapisane w 24 tysiącach słok czyli 32-zgłoskowych dwuwierszy. Prawdopodobnie, że Walmiki, jeśli istniał, był autorem ostatecznego kształtu tego dzieła, bowiem daty, które podawane są jako czas jego powstawania to okres od II w. p.n.e. do II w.n.e. Dzieło powstawało zatem i było tworzone, podobnie jak inne eposy, w tradycji ustnej, a dopiero później skodyfikowane. Ramajana w swej obecnej postaci składa się z 7 ksiąg. Opisane są w nich losy przede wszystkim bohaterskiego Ramy, władcy indyjskiego i jego żony Sity, ale także jego ojca Daśarathy wraz z żonami Sumitrą, Kajkeji i Kauśalją, jego braci Lakszmany i Śatrughny oraz Bharaty, demona Rawany, władcy małej Sugriwy i wodza armii małpiej Hanumana oraz wielu, wielu innych bohaterów, mędrców, królów i postaci świata półbogów, bogów i demonów. Jak to zwykle bywa w eposach indyjskich światy realne ludzkie i zwierzęce przeplatają się z bohaterami ze sfer niebiańskich czy demonicznych. Rama i Sita, główni bohaterowie Ramajany, to od czasu ich opisanie aż do dziś indyjscy bohaterowie - wzory, Rama ideał doskonałego władcy, Sita - wzór dobrej żony. Ale to też bohaterowie, wcielenia bogów – Rama to bóg Wisznu, a Sita to jego boska małżonka Lakszmi. Ramajana opowiada historię życia króla Ramy. Rozpoczyna się opisem jego dzieciństwa, by następnie przekazać opis jego młodości, intryg wokół odziedziczenia przez niego należnego mu tronu, dalej jego wygnania, w którym towarzyszy mu wierna żona i brat Lakszmana. Księga trzecia, leśna to opis przebywania głównych bohaterów w leśnych ustroniach, gdzie doświadczają oni niewygód i licznych przygód, między innymi Rama walczy z najrozmaitszymi wrogimi istotami. Tutaj zawiązuje się też intryga, w której wyniku Sita zostaje uprowadzona na Lanę przez demona Rawanę. To staje się powodem wyprawy Ramy na Lanę, której to wyprawy celem ma być ostatecznie odbicie uprowadzonej małżonki. W tej wyprawie Ramie pomagają z wielkim oddaniem małpy. One to budują most na Lanę, walczą i dzięki ich podstępowi wyprawa kończy się sukcesem.

Fajnie było zobaczyć taki inny niespotykany w Polsce teatr.

W drodze powrotnej do hotelu, zjadamy ze straganu sate, czyli mięso nadziane na patyczki i smażone na ogniu z dymem. Faj. Zamiast mięsa dostaliśmy chyba sama skórę. Trzeba więc iść gdzie indziej aby zabić ten smak. Niedaleko trzeba szukać, bo przecież jest i Superman. Zamawiam więc tutejsze gado-gado ala Superman. Dostaję cały talerz warzyw poukładanych w kupki: ziemniaki, marchew, ogórki, pomidory, kapusta, soja, fasolka, a także ryż, gotowane jajko, tofu, trochę mięsa i w miseczce sos z orzeszków. Nie wspominając już o całej górze prażyniek na moim talerzu. Ta potrawa to prawdziwy misz-masz. Tym razem na kurczaka już się nie chce porwać, bo tutaj ta potrawa wygląda inaczej niż np. w Chinach. Zamawiając w Indonezji kurczaka w 99% przypadków nie dość że otrzymuje się w całym jednym kawałku, to jeszcze praktycznie same kości. Najlepiej jak najbardziej zatuszowane, czyli dobrze obtoczone w mące i usmażone.

Do hoteliku docieramy około 23. Czas iść spać, bo dzień już dla nas trwa 19 godzin. Przyda się trochę odsapnąć, na dodatek przed jutrzejszą podróżą w kierunku wschodnich obrzeży Jawy.

03.07.2008 (czwartek)

Pobudka koło 8 rano.. Szybkie pakowanie i hotelowe śniadanie – czyli można jawańska kawa i tosty z czekoladą.

Tuż przed 9 wychodzimy pod pobliskie biuro turystyczne, które zapewnia nam wyjazd na 3 dniowy wypad pod wulkany. W oczekiwaniu na transport wypatruje przepięknie kolorowa papugę, jak mówi jej właściciel jest z Irian Jaya. Jest niesamowita wydaje z siebie dźwięki niczym kot.

Wsiadamy do busa wraz z trzema Francuzami i 1 Niemcem. Jedziemy przez chwilę po Yogjy, a tu nagle okazuje się, że musimy się zatrzymać, bo złapaliśmy kaptura. Kierowca wymienia koło, po czym dla odmiany auto nie chce ruszyć, więc trzeba je popchać trochę. Zapala. Jedziemy, ale jakoś strasznie nami trzęsie. Ostatecznie po prawie całogodzinnej jeździe uliczkami Yogjy wracamy z powrotem pod agencję. Kierowca znika i po chwili pojawia się, oznajmiając, że jedziemy jednak dalej. Chociaż po pewnym czasie zatrzymujemy się przy jakimś budynku, gdzie jeszcze raz wymieniamy nasze koło. Uff, teraz jest wszystko w jak najlepszym porządku, możemy jechać dalej bez obaw. No to wyjeżdżamy w dalszą drogę z ponad godzinnym opóźnieniem, a należy tu dodać, że wraz z nami wyjeżdżał jeszcze jeden bus. Nasz kierowca jedzie jak oszalał – środkiem, poboczem, przeciwnym pasem, byleby szybciej do przodu. Wszyscy ustępują mu na drodze miejsca na dodatek trąbiąc. Aż dziw, iż nie mamy jakiegoś wypadku, albo stłuczki. Jedziemy często na zderzenie czołowe, ale kierowcy jakoś za każdym razem w ostatniej chwili udaje się wjechać na swój pas. Masakra. Ruch znowu na drodze makabryczny, choć nie każdy jedzie tak szaleńczo jak kierowca naszego busa. W okolicach godziny 14 wszyscy są wymordowani i głodni. Na szczęście kierowca mówi, że o 14:30 będzie przerwa. Dojeżdżamy do „baru” przy drodze, a tam jak widać niedawno przyjechał bus, który wyjechał z Yogjy godzinę przed nami. Nasz szalony kierowca w swojej szaleńczej jeździe zdarzył nadrobić godzinę i dogonić drugiego busa na trasie. Zjadamy obiad – nasi campur – czyli ryż z warzywami i jakimiś prawie niewidocznymi kawałkami mięsa. Na drogę w barze kupujemy sobie bananowe chipsy, bo nie wiadomo kiedy dojedziemy, a nie daj Boże jeszcze zgłodniejemy.

Ruszamy w dalszą trasę. Droga wiedzie przez równinę Jawy, od czasu do czasu wyłania się w oddali góra wulkaniczna. Wzdłuż drogi ciągną się liczne zabudowania i sklepiki z owocami, jedzeniem. Mijamy po drodze uroczystości weselne, jeden kondukt pogrzebowy. We wsiach na rozłożonych przy drodze płachtach susza się zboża, cebula. Cały czas mijamy, a to plantacje trzciny cukrowej, innym razem ryżu, czy też wszelakich drzew owocowych, a na nich całe rzesze pracujących Indonezyjczyków.

Jadąc tak cały dzień można obserwować to, co zmienia się za oknem. Mieszkańcy Indonezji prawie wszyscy mają ogromne anteny satelitarne, skierowane prawie pionowo w górę, z racji strefy równikowej. Co ciekawe wszystkie anteny są ażurowe, chyba po to, żeby w porze deszczowej w tych talerzach nie zbierała się woda deszczowa. Kiedy mija się kolejne wioski można zobaczyć, że w każdej z nich jest kilka boisk do piłki nożnej i gra tam sporo ludzi. Indonezyjczycy kochają futbol, o czym mieliśmy już okazję przekonać się na lotnisku w Jakarcie. Wracając jeszcze do indonezyjskich dróg. Większość ma po dwa-trzy pasy, ale nie ma wcale na nich namalowanych linii. Toteż wszystkie pojazdy wykonują niesamowity slalom, byle szybciej i dalej do przodu. Najlepiej mają kierowcy motorów. Zawsze się precyzyjnie i są najszybciej z przodu, wymijając wszystko co się da.

Zapada zmierzch i coraz mniej widać za oknem. Droga zaczyna się już nam dłużyć nie miłośniernie, a końca nie widać. Koło 21 dojeżdżamy do tutejszej agencji turystycznej. Nasz niezmordowany w jeździe kierowca wysiada. W ciągu 12 godzin jazdy miał tylko jedną przerwę. Na jego miejsce wsiada inny kierowca i jedziemy dalej. Po kilkunastu minutach jazdy samochód zatrzymuje się na drodze, bo kierowca czyta otrzymanego smsa, a potem na niego odpowiada, inne samochody muszą go omijać. Za chwilę nasz samochód zawraca, zatrzymuje się na jednym ze straganów, gdzie kierowca zostawia owe feralne koło do naprawy. Uff dalej już jedziemy bez niespodzianek. Po niespełna godzinie jazdy drogą cały czas wijącą się pod górę, gdzie nie było żywego ducha, a domy miejscowej ludności tonęły w

egipskich ciemnościach, gdzie nawet nie minął nas żaden samochodu (!!!) docieramy do hoteliku Yoshi. Tutaj zostajemy we czwórkę wysadzeni, a 3 Francuzów i Niemiec jadą do kolejnego hoteliku. Jesteśmy trochę zdziwieni, bo mieliśmy być zakwaterowani w tym hotelu do którego wysłano resztę obcokrajowców z busa. Natomiast hotel Yoshi w ofercie biura turystycznego był dwa razy droższy. Może obsługa się pomyliła i tutaj mieli być wysadzeni Francuzi i Niemiec? W każdym razie nie dociekamy, o co chodzi. Najwyżej każą nam się przenieść. Obsługa hotelu opatulona w puchowe kurtki, na głowie czapki. Bartek sprawdza ile stopni jest na dworze – całe 15!!! Jak widać dla Indonezyjczyków, taka temperatura to już prawie Syberia. Kwaterujemy się z domkach. Nasz pokój, a właściwie apartamencik ma 1 salonik, z którego schodkami do góry idzie się do sypialni. Po zrzuceniu rzeczy idziemy zamówić kolację. Zamawiam mie goreng ayam, czyli smażony makaron z kurczakiem. Prawie usypiamy w oczekiwaniu na kolację. Niby miała być za 5 minut, a czekamy i czekamy. Dobrze że restauracyjka jest fajna, trochę przypomina schronisko górskie, ale to ma tutejsze indonezyjskie elementy wystroju. Obiad w końcu jednak się pojawił, ale przez długie czekanie z restauracji wychodzimy około 23:00. Pędzimy do łazienki zlokalizowanej przy restauracji, gdzie można wykąpać się o dziwo w ciepłej wodzie, a potem szybko do domku spać. Wybija północ, ale jakoś nie chce się spać, za oknem słychać świerszcze, piejące koguty(?), miauczące w niebogłosy koty. Trzeba w końcu zasnąć, bo o 3;30 mamy pobudkę i jedziemy na Bromo....

04.07.2008 (piątek)

3:08 nad ranem!!! Jakiś gość nas budzi okrzykami przed czasem, zabierając nam z naszego i tak już krótkiego snu całe 22 minuty. Co za pech. Przed 4 rano pojawia się w restauracji. Na przebudzenie się jawańska kawa i w pudełku suchy prowiant, na który składa się woda, chleb tostowy, marmolada, miód i batonik.

Zostajemy zapakowani do jeepa wraz z dwoma Francuzami. Na dworze czarna noc jeszcze, toteż nie widać, gdzie jedziemy, ani co mijamy. Jedno jest pewne jedziemy cały czas w górę i po dość znacznych wertepach. Z różnych stron widać kolejne oświetlone jeepy i busiki, które ciągną z turystami w kierunku słynnych wulkanów. Po godzinie jazdy docieramy do miejsca, gdzie trzeba zostawić swój pojazd i koniecznie zapamiętać gdzie stoi i jaki ma numer, bo w tym miejscu stoją już dziesiątki podobnych jeepów. Na niebie jeszcze gwiazdy w pełni świecą swoim blaskiem, a my przy temperaturze 12 stopni i dość silnym wietrze idziemy na szczyt, gdzie znajduje się punkt widokowy na równinę, nad którą górują wulkany. Najpierw ubieramy nasze cieplejsze rzeczy, kurtki przeciwdeszczowe i można wytrzymać, choć w hoteliku proponowano nam puchowe kurtki, a to trochę lekka przesada.

Mija właśnie 5 rano, niebo zaczyna bardzo powoli od wschodu nabierać barw. Tłum ludzi czeka na malowniczy wschód słońca. My oczywiście wraz z tym tłumem, ale mimo moich szczerych chęci od strony gdzie ma wzejść słońce wulkanów nie widać. Coś tu jest nie tak. Na dodatek na razie ciężko robić jakieś zdjęcie, bo w powietrzu targany wiatrem lata wulkaniczny pył, który może nam zamordować aparat. Zaczynamy szukać wulkanów. Są! Tylko z innej strony tegoż punktu widokowego. Zajmujemy więc tutaj strategiczne miejsce do fotografowania i czekamy, aż wyjdzie słońce i rozświetli wulkaniczne góry. Wulkany powoli wyłaniają się z ciemności, ale tłum turystów fotografuje głównie wschód słońca, po czym wraca do jeepów. Tylko część ludzi zostaje i podziwia wulkany w coraz to innym zestawie kolorów. Jest niesamowicie. W tym miejscu mógłby powstać z innej planety. Przed nami kilka wulkanów, ale dwa są najważniejsze. Najbliżej widoczny jest Bromo - czynny wulkan we wschodniej części Jawy w Indonezji; zaliczany do stratowulkanów. Wysokość 2329 m n.p.m.; średnica krateru ok. 700 m. Położony wewnątrz wielkiej kaldery Tengger o średnicy

16 km, której wiek szacowany jest na 820 tys.lat. Jest najmłodszym z pięciu leżących w jej wnętrzu wulkanów; wznosi się na wysokość 133 metrów ponad jej powierzchnią. Bardzo aktywny, w czasie ostatniej silnej erupcji 8 czerwca 2004 zginęły 2 osoby. Wulkan Bromo jest świętą górą, szczególnie dla okolicznych mieszkańców, ale także mieszkańców Jawy. W drugiej połowie maja organizowane są procesje pielgrzymkowe na krawędź krateru, podczas których wrzuca się do niego dary w postaci owoców, kwiatów oraz małych, a niekiedy i dużych zwierząt gospodarskich.

Z kolei bardziej w tyle widoczny jest Semeru – największy obecnie wulkan Indonezji, który regularnie co 20 minut wypływa z krateru chmurę dymu. Jest to jeden z najbardziej aktywnych wulkanów w tym rejonie. Od 1818 roku miało miejsce 55 poważnych erupcji tego wulkanu. Od 1967 roku do dziś wulkan jest w stanie bardzo wysokiej aktywności.

Do najbardziej znanych wulkanów Indonezji należy Krakatau i jego erupcja z 1883 roku. Już od 1878 roku odczuwano coraz częstsze i silniejsze trzęsienia ziemi w rejonie zatoki, zachodniej Jawy i wschodniej Sumatry. 1 września 1880 silne trzęsienie ziemi uszkodziło latarnię morską "First Point" na zachodnim brzegu Jawy. 20 maja 1883 rozpoczęła się erupcja z krateru Perbuwatan. Drobnny popiół i para oraz gazy wydobywały się z stale w ciągu kolejnych trzech miesięcy. W tym czasie otworzyło się kilkanaście, stale aktywnych, ujść gazów w obrębie wulkanu. Do tego czasu erupcja powtarzała się cyklicznie. Po okresie aktywności wulkan zamierał. W tym czasie woda morska przedostawała się szczelinami i pęknięciami w głąb wulkanu i była źródłem pary. 11 sierpnia gwałtowna erupcja uniosła chmurę popiołu i gazów z krateru Perbuwatan i Danan, a także z wielu nowopowstałych otworów i szczelin.

27 sierpnia 1883 roku doszło do jednej z największych odnotowanych erupcji wulkanu w dziejach ludzkości. Huk było słychać z odległości 3200 km. Potężna erupcja rozpoczęła się 26 sierpnia o godzinie 12:53. W nocy wybuchy słyszane były z odległości 4325 km. Słup dymu, popiołu i gazów osiągnął 27 km wysokości. Pokłady statków znajdujących się w Cieśninie Sundajskiej były zasypywane popiołem, pyłem oraz kawałkami pumeksu o średnicy około 10 cm. 27 sierpnia nastąpiły kolejne erupcje. Każda z nich spowodowała katastrofalne fale tsunami.

Niewyobrażalna eksplozja Krakatau spowodowała najgłośniejszy i odnotowany rekord odległości przebyty przez dźwięk. Fala uderzeniowa jaka powstała przy eksplozji przemieszczała się z prędkością ponad 1100 km/h. Szacuje się, że poziom natężenia dźwięku w odległości 160 km od epicentrum wynosił ponad 180 decybeli! 2/3 wyspy zniknęło z powierzchni ziemi. Fala tsunami (wysokości do 40 metrów i prędkość ponad 700 km/h) zmyła miejscowe wioski na pobliskim lądzie i obiegła połowę planety, zanim zupełnie zanikła. Statki u wybrzeży Południowej Afryki zachybotwały się w efekcie tsunami wywołanego erupcją. Fala sejsmiczna obiegła Ziemię 7 razy. Zginęło 36 417 ludzi – 32 tys. wskutek tsunami, a 4 000 od popiołów. Gazy uwolnione do atmosfery sprawiły, że mniej więcej przez 3 lata Słońce widziane z Ziemi miało zabarwienie zielone, a Księżyc niebieskie.

Po wybuchu Krakatau w 1883 roku pozostały trzy wyspy, z czego na jednej pozostał aktywny wulkan. W latach 20. XX wieku w tym miejscu wyłoniła się aktywna do dziś góra wulkaniczna (ok. 320 m wysokości) nosząca nazwę Anak Krakatau ("Dziecko Krakatau"). Stożek wulkanu wciąż rośnie w tempie ok. 5,1 m rocznie. Obecnie ma wysokość porównywalną z dawnym Krakatau. Zranił do tej pory 4 osoby i zabił 1 osobę. Ustanowiono zakaz zbliżania się do wulkanu w promieniu 3 km.

Na Ziemi jest ponad półtora tysiąca wulkanów. Co roku wybucha około czterdzieści z nich. Największe skupiska wulkanów na świecie znajdują się w Indonezji. Cały obszar charakteryzuje się dużą aktywnością sejsmiczną i wulkaniczną. Wulkany są związane z tzw. „wokółpacyficznym pierścieniem ognia”, czyli powstają na styku i w miejscu ścierania się ze sobą płyt litosfery. W Indonezji znajduje się ponad 330 wulkanów, z tego około 130

czynnych. Erupcje wulkanów indonezyjskich są bardzo gwałtowne. Wulkany wyrzucają ogromne ilości popiołów i gazów, stając się ogromnym zagrożeniem dla ludności gęsto zasiedlającej żywe wulkaniczne ziemie.

Dla przypomnienia: Co to jest wulkan?

Wulkan jest miejscem na powierzchni Ziemi, z którego wydobywają się (bądź też wydobywały się kiedyś) produkty wulkaniczne. Wulkany powstają wtedy, gdy nastąpi wylom w skorupie ziemskiej i zacznie z niego wypływać magma w postaci lawy lub materiał skalny zostanie wyrzucony w powietrze. Każda erupcja wulkaniczna spowodowana jest przez gwałtownie rozszerzające się gazy zawarte w magmie. Wulkany występują jako pojedyncze wzniesienia lub tworzą górskie kompleksy wulkaniczne.

Kształt i rozmiary wulkanu zależą od ilości i jakości wyrzucanych z głębi Ziemi materiałów, a także od sposobu ich wydobywania się. rodzaje:

- wulkany wylewne(lawowe) - dostarczają tylko ciekłej lawy, która wydostaje się z krateru bez większej eksplozji. Kształt takiego wulkanu zależy od charakteru lawy; przy wydobywaniu się lawy o małej lepkości (lawy zasadowej) powstają wulkany tarczowe, które tworzą płaskie góry o łagodnie (do 80) nachylonych stokach (do największych wulkanów tarczowych należy Mauna Loa na Hawajach); przy wydobywaniu się lawy lepkiej (kwaśnej) następuje jej spiętrzenie, powstają tzw. kopuły lawowe (np. Lassen Peak w Ameryce Północnej)

- wulkany eksplozyjne - gwałtownie wyrzucają gazy i materiały piroklastyczne(głównie popioły) bez wylewu lawy, wulkany te (zw. też tufowymi) mają kształt stożka oraz rozległy i głęboki krater

- wulkany mieszane - stratowulkany, w przypadku których erupcje gazów i materiałów piroklastycznych występują na przemian lub jednocześnie z wylewami lawy; wulkany takie mają kształt stożka, są zbudowane z naprzemianległych warstw tufów i pokryw lub potoków lawowych; w ich partiach szczytowych powstają często wielkie zagłębienia, zw. kalderami.

Wulkany można też podzielić na podstawie aktywności: czynne – stale lub sporadycznie objawiające swoją działalność (np. Wezuwiusz, Etna, Stromboli), drzemiące – ich działalność obserwowano w czasach historycznych (np. Fudzi, Tambora), wygasłe – ich działalność nie została zaobserwowana w czasach historycznych (np. stożki wulkaniczne w Niemczech i Polsce).

Głęboko pod ziemią, gromadzi się magma, tworząc ogniska magmowe. Płynna magma topi otaczające skały i wciąż zwiększa swoje ciśnienie. Jednocześnie kieruje się w górę tworząc przewód wulkaniczny (czyli kanał zwany też kominem), którym produkty erupcji wydostają się na powierzchnię. Kanał ten przy powierzchni rozszerza się lejkowato, tworząc krater. Od komina głównego odchodzą czasem kanały boczne tworząc na zboczu stożka krateru poboczne(zwane też pasożytniczymi). Stożek z kolei jest właśnie wzniesieniem powstałym na skutek wylewu z wnętrza Ziemi bardzo dużej ilości magmy. To co z niego "wylatuje" to tzw. produkty erupcji. Dzielimy je na ciekłe, stałe i gazowe. Magma znajdująca się w głębi skorupy ziemskiej jest gorącą masą, zdolną do płynięcia i wznoszenia się ku powierzchni Ziemi. Magma, która wydobywa się z wnętrza Ziemi nosi nazwę lawy. Najczęściej jest to główny produkt wybuchu wulkanu. Lawa osiąga temperaturę od 1000oC do 1400oC i krzepnie w 600-700oC tworząc skały magmowe, np.: bazalt. Innym ciekłym produktem jest błoto wulkaniczne, które powstaje przez zmieszanie popiołów i pary wodnej.

Do produktów stałych należą: popioły wulkaniczne - czyli bardzo drobne okruchy lawy i skał wyrwanych z podłoża wulkanu; lapille - są to drobne kawałki lawy wielkości grochu lub orzecha włoskiego, bomby wulkaniczne - to duże bryły skał lub zastygniętej w powietrzu lawy pyły, piaski, siarka itp. Gazowe produkty erupcji nazywane są ekshalacjami. Rozróżniamy trzy rodzaje ekshalacji: fumarole - są one bardzo gorące, osiągają od 200 do nawet 1000oC, złożone są głównie z pary wodnej z domieszką tlenu węgla, fluoru i chloru ;

solfatary - ich temperatura to około 100-200oC, a skład: głównie para wodna oraz dwutlenek węgla i siarkowodor; mofety - są stosunkowo chłodne, bo poniżej 100oC ekshalacje są złożone głównie z dwutlenku węgla.

Wulkany czynne występują z reguły tam, gdzie nad ogniskiem magmowym występują szczeliny i spękania w skorupie ziemskiej i wiąże się z granicami wielkich płyt litosfery. Płyty kontynentalne, zbliżają się do siebie lub oddalają. Jeśli się oddalają to przestrzeń między nimi wypełnia magma, gotowa utworzyć nowy wulkan. Jeśli płyty zbliżają się i zaczynają trzeć o siebie, to moment tarcia jest odczuwany jako trzęsienie ziemi. Tam gdzie jedna płyta wsunie się pod drugą, powstanie idealne miejsce dla nowego wulkanu. Płyta położona niżej zaczyna się topić, powstaje gorąca magma, która w końcu przebija się przez płytę przykrywającą i powstaje nowy wulkan na ziemi lub wyspa wulkaniczna na oceanie. Tak właśnie dzieje się w Pierścieniu Ognia - łańcuchu wulkanów, rozmieszczonego dookoła Oceanu Spokojnego od Andów w Ameryce Południowej, przez Wulkany Ameryki Środkowej, Góry Kaskadowe i Aleuckie w Ameryce Północnej, przez Kamczatkę i Wyspy Kurylskie, Japonię, Mariany, po Filipiny, Indonezję, Papuę Nową Gwineę, Wyspy Tonga i Nową Zelandię. Są to strefy subdukcji, gdzie płyta pacyficzna podsuwa się pod płyty kontynentalne: euroazjatycką, indoaustralijską i amerykańską. Zachodzą tam głównie wylewy law kwaśnych, a dominujące typy wulkanów to wulkany eksplozywne i stratowulkany.

Krajobraz dookoła nas niczym z księżycy, dymiące wulkany, w dole wielki krater, a w nim kilka mniejszych stożków wulkanicznych. Przepiękny widok, że zapominam o otaczającym zimnie. Około 6 kończymy oglądanie tego widoku, schodzimy poszukać naszego jeepa i jedziemy pod Bromo. Jednak zanim tam dotrzemy przejeżdżamy przez morze czarnego piasku wulkanicznego, który oczywiście trafia do mojego woreczka, jako taki geograficzny łup.

W końcu dojeżdżamy pod Bromo. Jeepy zostają w oddaleniu, a my drepczemy, najpierw po piaszczystej równinie starego krateru pokrytej z rzadka skałami wulkanicznymi i bombami, a potem po 260 schodkach prowadzących na krawędź krateru. Niektórzy docierają do schodów na małych konikach. I tak po 30 minutach dreptania jesteśmy u celu. Krater Bromo pojawia nam się w pełnej krasie. Piękny widok. We wnętrzu spora rozpadlina, z której zije siarkowodorowy dym o zapachu zgnitych jajek. A fuj! Długo nie da się wytrzymać w tym zapachu, toteż wracamy na dół.

Wracamy jeepem do hoteliku, tam szybko się pakujemy, a w restauracji pora też na szybki posiłek. Zjadam makaron z warzywami, a Paweł naleśnika z bananem. Oczywiście tak samo jak wczoraj jedzenie ma być za 5 minut, ale pojawia się po 25...

O 9:30 opuszczamy hotel i jedziemy do Prombolingo. Dzisiaj jedziemy za dnia, więc możemy zobaczyć co nas minęło gdy dojeżdżaliśmy tutaj nocą. Wszystkie górskie zbocza, pokryte żyznym pyłem wulkanicznym zajęte są pod pola uprawne. Co ciekawe głównie uprawia się na takiej ziemi cebulę (!!!), kapustę i kukurydzę.

W Prombolingo zostajemy wysadzeni w tzw. „punkcie zbiorczym”, gdzie turyści z różnych wycieczek przemieszczani są dalej. Tutaj następuje zmiana kierunków i busików. Część osób jedzie stąd do Bromo, inni na Bali, czy do Yogjy, albo tak jak my do Ijen.

O 11:45 bus zabiera nas oraz 4 osobowa rodzinę Niemców. Jednak owi Niemcy nie chcą nim jechać, bo twierdza, że jechali nim wczoraj i się zepsuł. Indonezyjczycy zamieniają nam busa, a tamtego wcisną komu innemu. W między czasie dowiadujemy się, że w Surabaji przez którą wczoraj przejeżdżaliśmy, dzisiaj rano doszło do wybuchu gazu. Całe miasto jest zablokowane.

W końcu dokładnie w południe wyjeżdżamy w kierunku Ijen, czyli dalej na wschód Jawy. Ciekawe ile czasu zajmie nam dzisiejsza jazda. Jadać z Prombolingo da się zauważyć, że jest tu dużo muzułmanów, chociaż zamiast chodzić w dżelabijach, noszą koszule i spódnice zrobione z chust. To że są muzułmanami bardziej widać po charakterystycznym

nakryciu głowy. Jedziemy dalej przez obszary plantacji trzciny cukrowej, której wydaje mi się z każdym przejechanym kilometrem jest coraz więcej i więcej. Na polach ludzie, którzy pracują przy zbiorze trzciny. Co jakiś czas pojawiają się moje uwielbiane bawoły wodne. Jednak jest ich mało, co widać również po ilości mięsa podczas obiadu.

Po 2 godzinach jazdy docieramy do przydrożnego baru. Kierowca zarządza przerwę na obiad. Przerwa trwa długo, bo przed nami zatrzymuje się tu kilka innych busików. Toteż zamiast 30 minut spędzamy w tym miejscu 1 godzinę i 15 minut. Zgroza, jakie marnotrawstwo czasu. Na dodatek bar posiada tak obskurną toaletę, że trzeba chwile zastanawiać się, czy warto z niej skorzystać. Typ naszego starego wychodka, na dodatek pokryty niezliczoną ilością pajęczyn.

Wyjeżdżając już z baru natykamy się na hasające w pobliżu małpki. Dalej zatrzymujemy się na pięć minut, aby obejrzeć czarną plażę, stateczki rybackie, oraz ciągnące się wzdłuż wybrzeża lasy namorzynowe.

Jedziemy i jedziemy, pola ryżu na przemian z polami trzciny cukrowej. Zresztą w każdej restauracji dostaje się do kawy, czy herbaty ciemny cukier właśnie z trzciny. Powoli słońce zaczyna zachodzić, a my jedziemy. Wjeżdżamy w górzysty teren, co jakiś czas w oddali widać wulkany. Droga przed nami wąska, przed każdym zakretem kierowca trąbi dając znak jadącym z na przeciwka, że ktoś tutaj jedzie. To takie UWAGA. Dość niebezpiecznie, bo co chwilę z góry zjeżdża kolejna ciężarówka załadowana drewnem, czy owocami, albo wypełniona po brzegi ludźmi wracającymi z pracy na plantacji. Jadą do domów przed zachodem słońca. Poza tym przy drodze co chwilę stoją inni czekający na potencjalny transport.

Ciekawy rejon przez który jedziemy. Za oknem pojawiła się plantacja drzewa iglastego. Każde drzewo jest charakterystycznie ponacinane i na końcu nacięcia jest miseczka, do której skapuje żywica.

Im wyżej wjeżdżamy w teren górski, tym coraz bardziej robi się mrocznie. Las gęstnieje, jest coraz wyższy, pojawiają się kłęczka, kwiaty, często gęstwina nie do pokonania. Rośliny przypominają nasze gwiazdy betlejemskie, tylko nie takie małe jak przedświąteczne doniczki, ale tutaj przybierają rozmiary krzewów czy nawet średnich drzew. Ponadto dookoła pojawiają się ogromne paprocie, a większość drzew posiada korzenie podporowe. Słychać krzyki ptaków. Czyżby to był deszczowy las równikowy? Busik daje sobie dzielnie radę, chociaż często drogi nie ma, albo nachylenie jest bardzo duże, a on dalej ciągnie do przodu, byleby dotarł na miejsce. Zapada w końcu ciemność, a teraz las robi się czarny i jakiś taki złowrogi, ale na szczęście dojeżdżamy w okolice Bondowoso, gdzie mamy załatwiony z agencji turystycznej nocleg. Jest już 19:00, czas aby się zakwaterować i coś zjeść.

Dostajemy pokoje, w naszym mieszkaniu mały gekonik, który swoją siedzibę ma w pokoju pod lustrem. Gekony to fajne zwierzątka i na dodatek pożyteczne. Tak sobie pomyślałam, że mogłyby być przydatne mojemu tacie, który zawsze wpuszcza stada komarów do pokoju. Gekon z robactwem na suficie szybko sobie poradzi, bo znika ono w jego żołądku. Taki to spryciarz. Najbardziej lubi siedzieć na suficie przy lampie, bo tam ciągnie najwięcej robaków. Wyżerka, aż miło.

A teraz parę słów o gekonach. Skóra cienka i delikatna pokryta małymi ziarnistymi łuskami. Na skórze występują rogowe twory. Głowa i oczy duże. Gatunki dzienne mają źrenice okrągłe, a nocne pionowe. Powieki u większości gatunków zrośnięte, przez co muszą czyścić oczy językiem. Ogon długi, w przekroju okrągły, często walcowaty. Większość zjada wylinkę. Posiadają pod palcami włoskowate przylgi, które umożliwiają im sprawne chodzenie po pionowych ścianach, suficach, szybach. Są jedynymi jaszczurkami mającymi zdolność wydawania donośnych głosów. Największy gekon *Rhacodactylus leachianus* z Nowej Kaledonii ma do 50 cm długości i 800 g masy ciała. Najmniejszy to gekon krągłopalcowy (*Sphaerodactylus elegans*): ma długość 3,5 cm i waży tylko 2 g. Gekony lubią suche

środowiska, lasy, skaliste pustynie, często zamieszkują w pobliżu ludzkich siedzib. Żywią się głównie dużymi owadami, większe gatunki są drapieżnikami polującymi na małe kręgowce - ptaki i gryzonie. Dorosłe gekony często zjadają mniejszych przedstawicieli swojego gatunku. Gekony dzielą się na nocne (pionowe źrenice) i dzienne (okrągłe źrenice). Dzielne gekony, jak nazwa tłumaczy, prowadzą dzienny tryb życia i zazwyczaj są bardziej barwne od nocnych. Gekony najliczniej występują w strefie zwrotnikowej i podzwrotnikowej. Ameryka Północna i Środkowa, Ameryka Południowa, Afryka, Madagaskar, Półwysep Arabski, południowa Azja, Australia, Archipelag Malajski, Nowa Zelandia, Europa (7 gatunków). U gekonów ogon spełnia wiele funkcji. Przede wszystkim jest pomocniczym narządem ruchu istotnym przy balansowaniu ciałem podczas wykonywania skoków. U wielu gekonów stał się on rezerwuarem tłuszczu. Gekon fałdoskóry posiada na ogonie specjalne fałdy. Fałdy te pomagają w lepszym przyleganiu do podłoża, w wykonywaniu lotu ślizgowego podczas skoku, a także do lepszego maskowania. Gekony mają zdolność odrzucania ogona, co ratuje im często życie. Oderwany wijący się ogon odwraca uwagę napastnika, a gekon w tym czasie zdoła umknąć i ukryć się. Odrzucona przez zwierzę część ciała jest regenerowana jednak nigdy już nie jest podobna do pierwowzoru. Ich najbardziej charakterystyczną cechą jest zdolność przylegania do powierzchni. Nie każdy gekon posiada tę możliwość. Na spodniej części spłaszczonych palców istnieją specjalne twory (lamelle). Są to nachodzące na siebie blaszki pokryte milionami mikroskopijnych wyrostków skórnych. Jeden wyrostek jest wielkości około 10 do 100 mikrometrów. Na ich palcach jest wiele milionów takich wyrostków. Specjalny mechanizm układu krwionośnego w kończynach gekona umożliwia mu sterowanie przyczepnością. Wystarczy, że unosi lub opuszcza palce. Dorosły gekon potrafi utrzymać całą wagę ciała jednym palcem. Zaczepiony wszystkimi palcami jest w stanie unieść ciężar wagi ludzkiego noworodka. Gekony potrafią zmieniać ubarwienie. Nie jest to zmiana jak u kameleona, a jedynie zmiana z jasnej na ciemniejszą. Kiedy gekon jest zaciekawiony lub oddaje się zwiedzaniu obcego terenu jaśnieje. Kiedy jest zaniepokojony lub ma zły stan zdrowia przybiera ciemniejszą barwę. Dzieje się tak, ponieważ posiadają specjalne komórki w skórze, które rozszerzają lub kurczą się na polecenie układu nerwowego gekona. Takie same komórki występują w skórze mątwy, pozwalając jej całkowicie zlewać się kamuflażem z otoczeniem. Dużo szybciej i efektywniej niż robią to gekony.

Po zaprzyjaźnieniu się z gekonem, odkrywamy, że w łazience jest ciepła woda. Jak miło. Ludzie oczywiście znowu poubierani, bo niby jest zimno, gdyż jesteśmy znowu trochę wyżej niż zazwyczaj. Ponadto rejon słynie z plantacji kawy, więc można jej pić w hotelu do woli, nic za nią nie płacąc.

Idziemy do restauracji na kolację. Zamawiam ayam goreng, czyli pieczonego kurczaka, ale zamiast dania dostaję dosłownie dwa kawałki upieczonego kurczaka, bez żadnego ryżu ani sałatki. Potrawy moich współtowarzyszy wyglądają równie biednie jak moja, co w sumie tłumaczy niskie ceny dań w tej restauracji.

Po owej kolacji wraz z Pawłem udaję się do fabryki przetwarzającej świeże ziarna kawy – arabiki. Owa przetwórnica znajduje się zaraz za murem naszego hotelu. Kobieta z hotelu otworzyła nam drzwiczki i... już byliśmy w innym świecie. Mimo późnej pory w fabryce panuje jeszcze ruch. Na samej górze stoi ciężarówka, z której wyładowywana jest świeżo zebrana kawa w czerwonych łupkach. Kawa ta trafia z ciężarówek do kadzi, w których się rozmiękczają czerwone skórki, następnie przechodzi przez prasę, gdzie zostają już tylko białe ziarenka. Dwa ziarenka z każdego owocu kawy. Dalej rurami i kanałami kawa zostaje przetransportowana do basenów, gdzie poddawana jest przez 36 godzin procesom fermentacji, a stąd już jest suszona na palcu przed fabryką. Pod plandekami kawa suszy się conajmniej przez 18 dni. Jest kremowa w lekkiej łupce-osłonce. Im dłuższy proces suszenia na słońcu, tym ziarno staje się coraz bardziej podobne do ziarna kukurydzy. Indonezyjczyk, który nas wprowadza po tej fabryce, mówi strasznie łamanym angielskim, większości musimy

się z Pawłem raczej domyślać. Każde ziarno ma swoją klasę od pierwszej do czwartej. Ta najlepsza czyli klasa pierwsza jest eksportowana na rynek światowy, a to gorsza zostaje w Indonezji do użytku codziennego. Najważniejszy w kawie jest proces prażenia, który nadaje jej zapachu i aromatu. Przed tym procesem kawa jest ziarnem, raczej mało zachęcającym. Kiedy wylupać ziarno z czerwonej łupki, jest ono dość oślizgłe. A ja chodząc po fabryce zbieram do kieszeni różne etapy, na których jest w danym momencie ziarno. Ciekawostka jest to, że kawy w fabryce się nie praży, za granicę wysyłana jest tylko w wysuszonej formie.

Holenderska kolonia Jawa stała się w 1687 roku pierwszym miejscem uprawy kawy poza światem arabskim. Aby zapewnić sobie monopol w handlu kawą, władcy jemeńscy zabronili wywozu jej roślin. Wywozić można było tylko palone lub gotowane ziarna, które nie nadawały się do uprawy. Za kradzież roślin groziły wysokie kary. Tym sposobem żaden inny kraj przez długie lata nie mógł uprawiać kawy. Dopiero w 1618 roku pewnemu holenderskiemu handlarzowi udało się wywieźć kilka pożądanых roślin kawy. Wkrótce potem botanikom w holenderskiej kolonii Jawa udało się wyhodować pierwsze sadzonki kawy, i to z dużym sukcesem. Na pulchnym podłożu wulkanicznym, w wilgotnym klimacie wyspy krzewy kawowe rosły wyśmienicie i tak powstała pierwsza zamorska plantacja kawy na świecie. W ten sposób Holendrzy przełamali trwający przez stulecia monopol Arabów na dostawę kawy. Niestety dwa wieki później plantacje zostały spustoszone przez zarazę. W konsekwencji wysoki poziom upraw nigdy nie został w pełni odbudowany. Obecnie tylko 20% kawy jawajskiej to wysokogatunkowa arabika, której walory przypominają dawne czasy. Jej wyjątkowy, lekko "wędzony" smak i zapach sprawił że jest ona do dzisiaj ulubionym napojem Holendrów. Kawa dojrzewająca na Jawie ma subtelny aromat, stosunkowo niską kwaskowość i gładki, przyjemnie zrównoważony smak. Jej kwaskowość jest nieco większa niż kawy z Sumatry i Sulawesi. To samo dotyczy ostrzejszych akcentów smakowych.

Ciekawą kawą jest kopi luwak. Jeden z najdroższych i najbardziej ekskluzywnych rodzajów kawy pochodzący z południowo-wschodniej Azji. Powstaje z ziaren przetworzonych przez dziko żyjące zwierzę z rodziny łaszowatych nazywane łaskunem. Na wyspach Indonezji zwane jest ono luwakiem, a słowem kopi określa się kawę. Luwak zamieszkuje tropikalne lasy Indonezji, można go spotkać na Jawie, Sulawesi i Sumatrze. Jest on wielkim smakoszem wiśni kawy, wybiera tylko najbardziej dojrzałe, najdorodniejsze owoce kawowca, które zjada podczas swoich nocnych łowów. Mięsz owoców kawy zostaje strawiony, natomiast samo ziarno po lekkim nadtrawieniu i fermentacji przechodzi przez przewód pokarmowy i jest wydalane. Dzięki temu procesowi ziarna pozbawiane są goryczy, a kawa zyskuje nowy, niepowtarzalny smak i aromat. Ziarna zbierane są ręcznie przez pracowników plantacji, następnie płukane, czyszczone i suszone. Po upaleniu i zaparzeniu napój charakteryzuje się bogatym i aksamitnym smakiem z wyraźną nutą czekolady i karmelu, a także gęstym jak syrop naparem. Produkcja Kopi Luwak jest niewielka (300 - 400 kilogramów rocznie), ponieważ zależna jest od wielkości populacji zwierząt. Wysoka cena, ze względu na nietypową i pracochłonną metodę pozyskiwania surowca, czyni tę kawę jednym z najrzadszych i najbardziej pożądanых napojów na świecie.

Po obejrzeniu całego procesu, wręczeniu małego bonusu finansowego oprowadzającemu Indonezyjczykowi, magicznymi drzwiczkami wracamy do hotelu. Paweł stwierdził, że wracamy niczym Alicja z krainy czarów. Dwa inne światy rozgraniczają małe drzwiczki w murze. Zaraz po powrocie kupujemy w hotelu paczkę miejscowej kawy jawajskiej.

No i czas iść spać, bo dochodzi godzina 22:00, a my na nogach jesteśmy kolejny dzień z rzędu przez 19 godzin. A niestety jutro po raz kolejny mamy nastawiony budzik na 3:30. ciekawe jak długo wytrzymamy takie zabójcze tempo podróży i zwiedzania.... jutro przed nami kolejne miejsce, które chcę zobaczyć czyli Ijen i tamtejsza kopalnia siarki.

05.07.2008 (sobota)

Boże, budzik dzwoni o 3:30, ale o dziwo wstaję bardzo rześko. Może to wynik temperatury panującej na zewnątrz – tylko 12 stopni. Śniadanie dostajemy w pudełkach – 2 kanapki składające się z 3 tostów (!!!) na dodatek w środku jedna warstwa to czekoladowa posypka, a druga dżem z czekoladą. W pudełku do śniadania są też dwa jajka na twardo. Pięknie pasują do tych słodkich kanapek. Takiego śniadania jeszcze nigdy nie jadłam. Spróbujemy to zjeść później.

Pakujemy bagaże do busa, ale kierowca najpierw musi popchać auto, bo nie chce zapalić. Po chwili silnik zaskakuje i możemy ruszać w drogę, niknącą gdzieś w egipskich ciemnościach. Jest 4:15. Po godzinie jazdy po strasznych wertepach jesteśmy na miejscu, gdzie zostawiamy busa, a udajemy się na 1,5 godzinną wspinaczkę przez las do wulkanu Ijen. Razem z nami na polanie zaparkowane są jeszcze inne dwa busiki. Każda grupka rusza po ciemku w stronę wskazaną przez kierowcę. Z ciemnego lasu dobiegają nas raz po raz krzyki ptaków. Koło godziny 6 zaczyna się rozjaśniać i zaczynamy widzieć, to co mijamy idąc cały czas ścieżką do góry. Co jakiś czas na poboczu drogi stoją pozostawione przez robotników bambusowe kosze wypełnione siarką.

Kiedy już słońce wschodzi zaczynamy mijać schodzących w dół Indonezyjczyków – małych i szczupłych, często bezzębnych, którzy niosą kilogramy siarki na barkach. Każdy z nich wita się z nami słowami Salammat Pagi – co oznacza dzień dobry. Czasami odpowiadają krócej tylko: pagiii, z ostatnia przeciągniętą literą.

W pewnym momencie dochodzimy do miejsca gdzie robotnicy zawieszają kosze z siarką na specjalnej wadze, gdzie ilość przyniesionej siarki zostaje zważona i zapisana na konto konkretnego robotnika. Masakra, bo waga wskazuje, że noszą oni po 70-80 kg naraz. Zwykły człowiek tego nie uniesie, a co dopiero nieść to na ramionach przez 1,5 – 2 godziny. Idziemy dalej ilość robotników wzrasta, widać, że zaczynają pracę przed świtem. Co chwilę zatrzymują nas i dopytują się czy nie mamy papierosów, kanapek czy ciastek, rzadko proszą o pieniądze. Tak więc rozdajemy nasze otrzymane w hoteliku śniadanie.

Po 1,5 godziny marszu jesteśmy na szczycie około 2400 m npm. Przed nami krater Kawah Ijen. Jest dość zimno i wieje. Z jednej strony widok na deszczowy las z drugiej wewnątrz wulkanu Ijen, a w nim ogromne zielonkawe siarkowe jezioro i buchające opary siarki. Idziemy jeszcze kawałek wyżej i jedząc śniadanie czekamy, aż cały krater skąpie się w porannym słońcu, a my zrobimy przepiękne zdjęcia. Z góry obserwujemy jak robotnicy, niczym mróweczki pracują wynosząc z krateru siarkę. Postanawiamy przyjrzeć się temu z bliska i zejść na dno krateru. Droga do wnętrza krateru jest bardzo kamienista, kręta i wąska, ale schodzimy uważając, aby nie przeszkadzać bardzo powoli wchodzącym do góry z koszami siarki robotnikom. Trzeba uważnie schodzić, aby nie pojechać na jednym z wielu drobnych kamieni. Jak widać wysiłek to niesamowity. Mimo wysiłku i zmęczenia palą papierosy, nawet wtedy kiedy niosą owe 70 kg siarki. To chyba najgorsza praca jaką do tej pory widziałam.

W czasie naszego schodzenia do krateru, jeden z robotników postanawia nas sprowadzić na dół i pokazać wszystko z bliska. Im bliżej jesteśmy, tym coraz bardziej czuć zapach siarki. Gdy jesteśmy na dnie krateru, to wrażenia są niesamowite. Czujemy się jak w piekle. Otwór z którego wydobywa się najwięcej siarkowych oparów polewany jest wodą z gumowych węży, co chyba ma prowadzić do krystalizacji siarki. Co chwilę jakiś robotnik zanika w kłębach oparów. Kiedy z nich się wyłania pluje, kaszle. Pracuje bez jakiegokolwiek maski. Indonezyjczyk przeprowadza nas przez opary, coś okropnego, szczypie w oczy i nic nie widać na metr. Zapach, a właściwie odór jej jest okropny, przed wymiotami powstrzymuje

nas zagryzanie materiału i zasłanianie nosa. Taką radę dał nam ów robotnik. Zapach siarki w Bromo to było nic, tutaj zapach jest okropny. Tutaj nie dość że cuchnie, to szczypie w oczy i dusi. Schodzimy pod zielonkawę jezioro siarkowe, które wydawałoby się być żrące, ale nie jest, bo robotnik normalnie w świetle myje sobie w nim ręce. Co chwilę zawiewa siarką i musimy znowu zagryzać materiał. W międzyczasie zbieram fragmenty siarki do woreczków. Wytrzymujemy tylko 15 minut. Wracając też kaszlemy, przesiąknęliśmy cali siarką, a w ustach mamy posmak tego minerału. Zatrzymujemy się w pewnej odległości od wyziewów, które tu już do nas nie dotrą i jeszcze raz przyglądamy się pracy Indonezyjczyków. Za żadne skarby nie chciałabym wykonywać ich pracy. W drodze do góry na krawędź krateru, robotnik mówi nam, że za 1 kg siarki otrzymują 500 Rp, przy około 80kg za jednym razem daje to 40000 Rp czyli 4,5 dolara!!! Robotnik taki 2 razy w ciągu dnia schodzi do krateru, czyli dziennie może zarobić około 9 dolarów za tak katorżniczą pracę. Robotnikowi, który nas sprowadził dajemy 20 000 Rp. Dla nas to żadne pieniądze, a dla tego człowieka to jest ¼ jego dniówki. Widać, że jest zadowolony. Wchodzimy z powrotem do góry. Dalej trzeba uważać na kamienie, bo łatwo na nich się poślizgnąć, a co dopiero idąc z koszem o wadze 80 kg? Po drodze mijamy mimo wszystko uśmiechniętych robotników. Cieszą się z tego co mają, choć chyba nie mają zbyt wiele. Wracamy w dół do busa. Pawłowi udaje się przez sekundę zobaczyć jakąś dużą małpę.

Po 4 godzinach wracamy do naszego busa. Jest dopiero 9 rano. Bus wiezie nas na sam wchód Jawy, gdzie mamy wsiąść na prom na Bali. W samochodzie unosi się zapach siarki, który jest w całym naszym ubraniu. Po drodze mijamy górskie plantacje kawy, trzciny cukrowej czy drzew kauczukowca, z charakterystycznymi nacięciami wzdłuż których płynie biały płyn. Przez wioskę idą ludzie, którzy niosą w wiadrach ten biały płyn z kauczukowca. Na jednej z plantacji kawy, zatrzymujemy się. Możemy zobaczyć, jak rosną drzewka, jakie mają owoce, a jakie kwiaty. W przydomowych ogródkach tutejszych mieszkańców suszy się na plandekach kawa.

Ok. 11 dojeżdżamy do Banyuwangi, gdzie wsiadamy na prom. Punktualnie w południe odbijamy z Jawy i przez pół godziny płyniemy na Bali do Gilimanuk. Zmieniamy czas na +6 godzin do tego co jest w Polsce, czyli w stosunku do Jawy dodajemy jedną godzinę.

W wyłonieniu się wyspy Bali z wód oceanu miał swój udział również żywioł wody. Bali jest wyspą położoną na południowym krańcu płyty euroazjatyckiej, tworzącej tu tak zwaną Półkę Sundajską pokrytą dzisiaj płytkim morzem nie przekraczającym 130 metrów głębokości. W poprzedniej epoce geologicznej w przemieniających się okresach zlodowaceń i ocieplania się klimatu, poziom mórz ulegał znacznym wahaniom i półka Sundajska z leżącymi na niej wyspami stawała się w pewnych okresach stałym lądem, będącym półwyspem kontynentu azjatyckiego. Natomiast Bali stawała się bądź najbardziej wysuniętym na południe krańcem tego kontynentu, bądź półwyspem wyspy Jawy.

Koniec ostatniej epoki lodowcowej i związany z tym wzrost poziomu wód morskich podawany jest na czas pomiędzy 10 tys. i 8 tys. lat temu. Bali najprawdopodobniej już w tamtych czasach stała się wyspą, jednak przetrwała w legendach pamięć oddzielenia się jej od Jawy mówi o czasach znacznie późniejszych. Jedna balijska wersja tego wydarzenia podaje nawet dokładną datę roku 202 n.e.

Ciekawym jest, że taką samą datę oddzielenia się wyspy Madura od wyspy Jawy podaje jawajski poemat z tamtych czasów. Druga wersja ma formę legendy o zdarzeniach mających miejsce w królestwie Kediri (Wschodnia Jawa) w XI wieku. Mówi ona o bramini uciekającym na kraniec ówczesnej Jawy. Widząc zbliżającą się pogoń zakreślił on palcem linię na ziemi pomiędzy dwoma morzami z dwu stron krańca ówczesnej Jawy. Morza połączyły się wzdłuż nakreślonej linii tworząc cieśninę odcinającą kraniec Jawy oraz bezpiecznego bramina na tak powstałej wyspie Bali.

Oddzielona od Jawy wąską cieśniną Bali ma kształt nieregularnego trójkąta, którego lewe ramię wydłużone jest w kierunku Jawy leżącej na zachód od Bali. Łańcuch gór wulkanicznych ciągnie się wzdłuż dłuższego, północnego boku trójkąta.

Bali wita nas odmienną kulturą. Zaraz po opuszczeniu promu widać, że opuściliśmy kulturę islamską, a teraz trafiliśmy w region hinduistyczny. Dookoła nas zdobione elementy architektury. Dla Balińczyków źródłem życia i mądrości nie jest ocean czy odległe horyzonty, ale góry. To tam biorą początek rzeki i jeziora, którym wyspa zawdzięcza urodzajność. Na szczycie miejscowego wulkanu Agung mieszkają miejscowe bóstwa.

Jedyną na świecie odmianę hinduizmu Dharma wyznaje aż 94% Balińczyków. Bali i zachodnie Lombok tworzą enklawę hinduistyczną w Indonezji – kraju, w którym przeważają muzułmanie. Hinduizm przywędrował na wyspę wraz z kupcami indyjskimi, w pierwszych wiekach po Chrystusie, stapiając się tutaj z kultem przodków. Oddawanie czci demonom i duchom było praktykowane również po wprowadzeniu nowej religii.

Codziennie rytuały służą wprowadzeniu harmonii pomiędzy życiem człowieka a kosmosem. Według wierzeń balijskich wszechświat jest uporządkowany i zdominowany przez przeciwieństwa, takie jak: bóstwa i demony, dzień i noc, dobro i zło, czystość i nieczystość, życie i śmierć. Każde z przeciwieństw ma swoje uzasadnione istnienie i jest nieodzowne dla równowagi egzystencji.

Centrum wszechświata stanowi święta góra Agung – siedziba Siwy. Za przeciwieństwo uważane są morze i świat podziemny, w których żyją duchy i demony. Pomiedzy nimi poruszają się ludzie. Takie postrzeganie świata unaocznia, dlaczego życie Balińczyków toczy się prawie wyłącznie wokół składania hołdu duchom i prześlągiwania demonów.

W ciele ludzkim góra Agung odpowiada głowie, środkowy świat – korpusowi, a świat podziemny – stopom. Siva – pan śmierci – utożsamiany jest z najwyższym bóstwem i stanowi centralną postać w wierzeniach Balińczyków, którzy uważają, że tylko poprzez zniszczenie i śmierć może powstać nowa forma istnienia. Palenie ciał zmarłych, jeden z najważniejszych rytuałów religijnych na Bali, służy uwolnieniu duszy i przygotowaniu jej do nowego życia.

Z religią i tradycją związanych jest wiele świąt i ceremonii – oficjalny kalendarz świąt balijskich zawiera średnio 200 (!) okazji do świętowania w ciągu roku.

Do tego dochodzą oczywiście liczne ceremonie związane z cyklem życia każdego człowieka. Rozpoczynają się one już w fazie embrionalnej, a ich ukoronowaniem jest rytuał spalenia ciała po śmierci.

Wyspa Bali – czyli wyspa Bogów, leży w archipelagu Małych Wysp Sundajskich. Od Jawy (na zachodzie) oddziela ją cieśnina Bali, a od wyspy Lombok (na wschodzie) cieśnina Lombok. Zamieszkiwana jest przez około 3,3 mln mieszkańców. Na wyspie znajduje się wulkaniczne pasmo górskie z najwyższym szczytem Agung o wysokości 3142 m n.p.m., na południu wyspy znajdują się urodzajne tereny nizinne i wyżynne. Znaczną część wyspy porastają lasy tropikalne. Klimat równikowy wilgotny o średniej temperaturze rocznej 25-27°C i średnich opadach rocznych opady 1400-1700 mm. W sierpniu i wrześniu pora sucha. Na sztucznie nawadnianych, w 25%, terenach rolniczych uprawia się: ryż, kawę, kakaowiec, pieprz, wanilię, goździkowiec, palmę kokosową, trzcinę cukrową i drzewa owocowe. Hodowla bydła i trzody chlewnej. Decydujące znaczenie dla gospodarki tej wyspy ma turystyka.

Bali znane jest w świecie z oryginalnego, charakterystycznego folkloru, architektury, rzeźby, malarstwa, a także muzyki i tańca. Sztuka Bali będąca pod wpływem sztuki hinduskiej charakteryzuje się bogatą roślinną i fantastyczną ornamentyką. Znane jest balijskie złotnictwo i płatnerstwo. Muzyka charakteryzuje się wykorzystaniem instrumentu gamelan. Oryginalny teatr cieni wayang.

Od najdawniejszych czasów Bali pozostawało pod dominacją polityczną i kulturalną sąsiedniej Jawy. Wchodziło w skład kolejnych królestw, których ośrodkiem była Jawa. Od 1343 roku w granicach najpotężniejszego z nich, królestwa Majapahit. W XVI wieku Bali zyskało niezależność polityczną, a po podboju Jawy przez muzułmanów (koniec XVI w.) stało się centrum bogatej, pozostającej pod wpływem sztuki południowoindyjskiej, oryginalnej indonezyjskiej kultury, cechującej się m.in. bogatą ornamentyką, z motywami figuralnymi, roślinnymi, fantastycznymi, występującymi w malarstwie na tkaninach, rzeźbie w kamieniu i drewnie, w batik, w świątyniach, rozwiniętym złotnictwem i płatnerstwem oraz tzw. teatrem cieni (wayang).

W epoce kolonialnej przez długi czas zachowało niezależność, dopiero w 1839 roku uznało zwierzchność Holendrów, którzy w 1908 roku przejęli bezpośrednie rządy nad wyspą. W latach 1942-1945 okupowane przez Japończyków, w 1946 roku zwrócone Holendrom. W 1949 roku weszło w skład Indonezji.

12 października 2002 w mieście Kuta dokonano zamachu terrorystycznego na dwa kluby nocne. W wyniku eksplozji samochodu-pułapki i ataku samobójczego zginęły 202 osoby (88 z nich było Australijczykami, chętnie odwiedzającymi niedaleką Indonezję podczas szczytu sezonu turystycznego), a ponad 200 zostało rannych. Wśród zabitych była polska dziennikarka Gazety Wyborczej Beata Pawlak.

W Gilimanuk wsiadamy do busa i po około kilkunastu kilometrach wsiadamy w Parku Narodowym w Labuhan Lalang, gdzie idziemy na 2 godzinną wycieczkę do lasu monsunowego, podziwiamy zarośla drzew namorzynowych w morskiej wodzie, które posiadają korzenie oddechowe wystające ponad morską wodę. Całe wybrzeże pokryte jest otworami, czyli siedzibami tutejszych krabów. Raz po raz można znaleźć jakieś szczątki kraba, a to szczypce, a to chitynowe pancerzyki. Oczywiście jedno szczypce zabieram ze sobą. Wypatrujemy małp, które upodobały sobie okolice hinduskich świątyń, bo tutaj ludzie zostawiają ofiary z jedzenia z których skrzętnie korzystają małpy. Świetnie się urządziły. Potem szukamy legawanów, których nikt poza Pawłem niestety nie zobaczył, bo tak szybko znikają. Las monsunowy jest pełen paproci, lian, na których próbujemy się wieszać niczym Tarzan. Las monsunowy lub inaczej las zrzucający liście w porze suchej występuje w strefie klimatu podrównikowego zmiennego z wyraźnie zaznaczoną porą wilgotną trwająca od 7 - 9 miesięcy i porą suchą. Roślinność występująca w tym lesie jest mniej okazała niż w lesie równikowym. Charakteryzuje się niższymi drzewami oraz mniejszą różnorodnością gatunkową. W lesie strefy podrównikowej obserwuje się wyraźną rytmikę sezonową tzn. drzewa w porze suchej zrzucają liście i zakwitają.

Po drodze mijamy świątynię, w której trwa coś w stylu naszego odpustu. Ludzie ubrani odświętnie idą do świątyni złożyć dary swoim bogom. Wracamy na parking, gdzie w agencji turystycznej zostawiliśmy swoje bagaże. Zabieramy je i wsiadamy do autobusu do Loviny złapanego nam przez Indonezyjczyka z agencji.

Jadąc do Loviny da się zobaczyć w każdym domku na podwórku jest mini świątynka. Po 1,5 godziny jazdy dojeżdżamy do Loviny, która jest kurortem odwiedzanym głównie przez Holendrów i Niemców. Zresztą na wielu kwaterach napis jest po niemiecku ZIMMER FREI.

Nazwa miejscowości wzięła się od angielskiego „love” i została nadana w latach 60-tych przez ostatniego radzę Bulelengu.

Zaraz po opuszczeniu autobusu mamy paru chętnych, którzy zaprowadzą nas do hotelu, zorganizują nam wycieczki, czy przetransportują nas w inne miejsce. Zaraz zaczną się o nas bić. Czyżby jakiś zastój w turystyce? Ostatecznie wynajmujemy dwa bungalowy w hinduistycznym stylu w przepięknym ogrodzie oczywiście ze świątynką. W ogrodzie można znaleźć kamienne rzeźby hinduistyczne.

Kolację jemy w pobliskiej restauracji. Pycha, a na dodatek sporo mięsa w daniu, nie to co było na Jawie.

Domek też niczego sobie. Dużo w nim elementów z tak drogiego w Polsce rattanu i ma nawet moskitierę, a łazienka jest wyłożona kamieniem. Chociaż wieczorem musimy wezwać obsługę hoteliku, bo lata nam wielki szerszeń. Dwóch Indonezyjczyków wzięło sprawy w swoje ręce. Używając miotły zaczęli biegać po pokoju, co dodatkowo rozjuszyło już i tak wkurzonego szerszenia. Wśród chichotów owych Indonezyjczyków w końcu udało im się zabić szerszenia.

Wieczorem udaje się tacie Pawła dodzwonić do nas na komórkę. Mimo tak dużej odległości, całkiem nieźle udaje im się porozmawiać

Idziemy spać. W środku nocy budzę się, patrzę Paweł też nie śpi. Co jest? Sprawdzam godzinę. O rety jest 3:18!!! Czyli czas jak wstawaliśmy przez trzy ostatnie dni. O nie teraz idziemy dalej spać. Tym bardziej, że jutro nie mamy wielkich planów, bo należy nam się chwila oddechu od naszego szalonego tempa, a podobno jesteśmy na wakacjach...

06.07.2008 (niedziela)

Dzień kondycyjny. Uff. Wstajemy więc dopiero po 9 rano. Dostajemy na ganek naszego domku śniadanie – czyli naleśniki z bananami i herbatkę. Po śniadaniu oddajemy rzeczy do prania i zamawiamy wycieczkę na jutro, aby zobaczyć delfiny. Znowu trzeba będzie wstać wcześniej aby wypłynąć na morze łodziami przed wschodem słońca. Zamawiamy też samochód z kierowcą na jutrzejszy dzień, który ma nas przewieźć wraz ze zwiedzaniem z Loviny prosto do Kuty. Tak więc mamy na cały dzień samochód z kierowcą.

Po załatwieniu najważniejszych spraw, idziemy na spacer po Lovinie. A jednak miasto wieje pustką. Mało obcokrajowców, a miejscowi rzucają się na nas niczym piranie, próbując sprzedać cokolwiek, czy to jedzenie, czy pamiątki, albo choćby transport. Ostatecznie zostajemy przy plaży skuszeni kupnem dwóch sznurów pereł. Ładne i niedrogie. Na nadmorskim deptaku zjadamy zupę z kociołka na kółkach – za całą 1 złotówkę. Na ową zupę składa się makaron sojowy, łyżka przypraw, sos sojowy, chochla rosółu, jajko oraz jakieś dziwne kulki z mięsa. Po drodze zostajemy również wciągnięci do małej pizzerii, gdzie Pani za darmo przygotowała nam mini pizzę, abyśmy zobaczyli jaka smaczna i wrócili tutaj na dużo większą. Oj cienko tu przęda.

W Lovinie jest jedyny w swoim rodzaju pomnik – w centrum nadmorskiej promenady stoi na kolumnie delfin, a poniżej cała świta delfinków. Trochę kiczowaty.

O zapomniałam wspomnieć, że wczoraj wieczorem dzwonił Marsi sprawdzić co robimy i gdzie jesteśmy. Oczywiście wolałby żebyśmy byli już dalej, bo jego rodzina na nas czeka na Flores.

No i w końcu idziemy wykąpać się z Pawłem w morzu. Fajnie. Jesteśmy na Bali, a na plaży prawie żywego ducha. Na marginesie plaża ma tutaj kolor czarny, bo to wulkaniczny teren. W ciągu niespełna godziny jesteśmy cztery razy atakowani przez krążących sprzedawców. Chcą nam sprzedać chusty – sarongi, owoce, wisiorki itp.

Przy deptaku jest bardzo ładnie zdobiona świątynia hinduistyczna, a kamienne figurki są poubierane w materiałowe szaty. Już któraś tak wystrojona świątynię spotykamy.

Po kąpieli idziemy małej hotelowej restauracyjki, prowadzonej przez Holenderkę, gdzie w końcu mogę napić się świeżego soku z mango. Na Jawie nie udało mi się kupić tego soku, bo wszędzie mówiono, że jeszcze nie ma sezonu na mango. O, a na Bali jest. W kawiarni, a właściwie nad basenem siedzą też Ania z Bartkiem, bo jest tutaj bezprzewodowy Internet. Możemy więc uzupełnić wpisy z ostatnich dni na naszym podróżniczym blogu. Jest to jednak bardzo trudne, bo Internet w Lovinie jest wolny jak zółw.

Po Internecie dalszy ciąg słodkiego nieróbstwa z przerwą na posiłek. Wybieramy małą restaurację o nazwie ryby – Barakuda. Paweł je właśnie rybę barakudę z trzema sałatkami, a ja wieprzowinę w sosie słodko-kwaśnym popijając to sokiem z arbuza.

Po kolacji jeszcze spacerujemy po deptaku przy morzu, zaglądamy do kawiarni w której siedzą Ania z Bartkiem i zamawiamy lody waniliowe.

Wracamy już późnym wieczorem do naszego bungalowu. Siedzę sobie w toalecie a tu nagle, ŁUUUUP, coś spadło na wannę. Patrzę do góry, a tam pod sufitem siedzi wielki gekon o długości jakichś 25-30cm. Wybałusza na mnie swe ślepie, właśnie zgubił swoją kolację. Na wannę spadła połowa wielkiego karalucha. Fuj, taki okrwawiony. W ciągu pięciu minut karalucha oblażyły mrówki. Masakra.

W końcu idziemy spać, w nocy mam wrażenie, że cały czas coś biega po pokoju. Dobrze, że jest moskitiera. Ponadto całą noc słychać odgłosy nawołujących się gekonów.

07.07.2008 (poniedziałek)

Wstajemy znowu wcześniej rano. 5:30 dzwoni budzik, a za 15 minut ma być po nas gość, co zabierze nas na przystań, skąd wypłyniemy w morze. W domku Ani i Bartka martwa cisza. Budzę ich, bo najwidoczniej zaspali. Ania zapomniała przestawić zegarek na czas balijski i u niej dopiero jest 4:30 więc smacznie śpi. Są gotowi w ciągu 10 minut do wyjścia. Idziemy na przystań, gdzie czekają łodzie dżubanki. Długie i bardzo wąskie, tylko dzięki bocznym podporom niczym w katamaranie utrzymują równowagę. Wyglądają trochę podobnie do komarów na wodzie.

O 6 wypływamy dżubanką w morze, a z nami dziesiątki innych łodzi. Będziemy podziwiać delfinki. Gdy kupowaliśmy wycieczkę gość w agencji zapewniał, że jak nie zobaczymy delfinów, to oddaje połowę kasy. Czyli oznacza to, że zobaczenie delfinów jest bardzo proste. Wypływamy o świcie. Płynie się fajnie. Wypływamy coraz dalej w morze. Niebo nabiera różnych kolorów od wschodzącego słońca. Delfinów narazie nie ma. Łodzie krążą to tu to tam, niczym sępy. Wszyscy wypatrują dookoła delfinów. Płyniemy tak około 45 minut. I w końcu są!!! Wyskakuje całe stadko do góry parę razy i znika pod wodą, a wszystkie łodzie włączają silniki i udają się w pogoń za delfinami... gdzieś znowu się pojawią... i tak przez godzinę. Stadko delfinów jest trochę, ale komicznie wygląda to jak łodzie pędzą w tę stronę, gdzie się pokazują delfiny. A one wyskoczą 4-5 razy i znikają pod wodą, aby pojawić się w innym miejscu, ku uciesze turystów. Są super, w pewnym momencie nawet kilka wyskakuje przy naszej łodzi. Delfiny dały swój spektakl, a my po 2 godzinach wracamy, za trzymując się jeszcze na rafie. Jednak rafa w tym miejscu nie jest tak kolorowa, jak w Egipcie. Tutaj jest dużo zniszczonej rafy.

Wracamy do hotelu o 8, jemy śniadanie i wyjeżdżamy o 9:30 wynajętym samochodem przez centralną Bali na południe do Kuty skąd jutro lecimy samolotem na Flores.

Jako pierwszy przystanek na naszej drodze to hinduistyczna świątynia Brahma Arma Vihara, która jest czymś w rodzaju pustelni z zadbanymi ogrodami. Tak na marginesie wchodząc do hinduistycznej świątyni, należy być ubranym w sarong, czyli chustę imitującą spódnicę, a kobiety nie mogą być podczas menstruacji.

Stąd wąską drogą jedziemy do gorących źródeł w okolicy miejscowości Banjur. Zanim jednak dojeżdżamy do źródeł, zostajemy zatrzymani w jednej z okolicznych wsi przez zbiorowy pogrzeb. Wsiadamy, aby przyrzeć się ceremonii. Z pobliskiej świątyni wychodzą Indonezyjczycy niosąc kosze z darami. Odświętnie ubrane kobiety rozchodzą się z tymi darami w różne strony wsi. Wśród tych koszy znajdują się stare zdjęcia zmarłych ludzi. Przy głównej drodze we wsi tłumy ludzi, a na środku stoi dziewiętnaście złotych lektyk, tylu ilu

jest właśnie grzebanych zmarłych. Jeszcze nic w nich nie ma. Poza złotymi lektykami, są jeszcze lektyki w postaci koni, które będą niosły dzieci. Ruchem na głównej drodze kieruje ekipa, zaopatrzona w megafon i krótkofalówki. Jak widać, jest to spore przedsięwzięcie.

Kremacja (łac. cremare - spalić) - forma pogrzebu zwłok zmarłego polegająca na spaleniu ciała, znana i uznawana przez wiele religii.

Kremacja wywodzi się z religii hinduistycznej. Od wieków celebryje się ją w Indiach, Indonezji, Malezji czy Japonii. Według dogmatów tamtejszych religii, spalenie zwłok wyzwala uwięzioną w ciele duszę, oczyszcza ją i przygotowuje, zgodnie z zasadami reinkarnacji do wcielenia się w nową formę organiczną.

Dusza ludzka jedynie pożycza ciało na czas życia na ziemi. Po śmierci ciało musi zostać zwrócone pięciu żywiołom: ziemi, wiatrowi, ogniewi, wodzie i eterowi – ponieważ dopiero to zapewni duszy wolność. Uwolniona od doczesności, może powrócić na ziemię, albo połączyć się z najwyższą Istotą. Śmierć jest dla Balińczyków przejściem od jednego życia do następnego. Kiedy ktoś umiera, jego przyjaciele, rodzina zbierają się razem, by dzielić się uczuciami i wspomnieniami oraz wspierać się duchowo.

Zwłoki powinny być spalone tuż po śmierci. Kremacja jest jednak tak droga, że często parę rodzin organizuje wspólną uroczystość, dzieląc się kosztami. W tym czasie ciała spoczywają zagrzebane na lokalnym cmentarzu. Jedyne kapłana nie można pochować w nieczystej ziemi i jego zwłoki trzeba spalić jak najszybciej – w pierwszy dzień po śmierci, który zostanie uznany za pomyślny.

Ustalony dzień kremacji poprzedzają długie przygotowania, w których uczestniczą wszyscy członkowie wsi. Wówczas widać gotowość wzajemnego wspierania się w potrzebie. Jeśli ciało zostało wcześniej pogrzebane – nie można go sprowadzić z powrotem do domu – przywołuje się z cmentarza duszę zmarłego, by wstąpiła w specjalną kukłę. Umieszcza się ją w pawilonie, do którego drogę wskazuje zmarłemu zawieszona lampa. Zwłoki przed kremacją należy obmyć, co w przypadku wcześniejszego pochówku w ziemi wykonuje się jedynie symbolicznie, używając deski z rysunkiem ludzkiej postaci. Kremacja zazwyczaj zaczyna się, gdy słońce minie zenit. Kiedy zbliża się odpowiednia pora, we wsi wzmagają się krzątania, mieszkańcy ruszają bowiem na miejsce pochówku. Zaczyna grać gamelan, a mężczyźni wnoszą kukłę bądź ciało. Przed domem czeka wysoka wieża, zbudowana z drewna i skrzęca się złotym papierem i innymi ozdobami. Wieża reprezentuje kosmos, a jej podstawę często stanowi figura żółwia oplecionego przez dwa węże, symbolizująca podwaliny, na których opiera się wszechświat. Powyżej znajduje się platforma- symbol świata między niebem, a ziemią. Na podwyższeniu nie wolno umieszczać zwłok, które wcześniej miały kontakt z ziemią. Platformę przykrywa dach reprezentujący niebo. Liczba pięter zależy od klanu i kasty, do których należał zmarły. Braminom przysługuje jedenaście, a najniższym tzw. śudrom jeden, trzy lub pięć. Jedyne wieży kapłana nie wieńczy dach.

Każdy mieszkaniec wyspy rodzi się w pewnej społeczności i pozostaje jej częścią aż do śmierci. Kast jest cztery. System ten wywodzi się z Indii i pojawił się na wyspie w XIV wieku. Najwyższą kastą są bramini, czyli kapłani, którym przysługuje tytuł Ida Bagus (mężczyźni) lub Ida Ayu (kobiety). Arystokracja, czyli kszatrijowie, to dawni władcy wyspy. Niższa klasa arystokratów to wajsowie. Te trzy kasty Balińczyków stanowią zaledwie 3%. Cała reszta to śudrowie.

Na czele pochodu idą kobiety z darami. Za nimi ruszają mężczyźni niosący na ramionach wieżę pogrzebową i reszta uczestników kremacji. Na każdym rozgałęzieniu dróg obraca się kilkakrotnie, by zmylić dusze i uniemożliwić jej powrót do świata żywych, których mogłaby niepokoić.

Na miejscu kremacji, ciało wyjmując się z wieży wypuszcza parę młodych kur, co symbolizuje uwolnienie duszy. Zwłoki umieszcza się w kolorowej trumnie z drewna,

bambusa, płótna i papieru. Ma ona kształt zwierzęcia zależny od kasty i klanu. W przypadku bramina jest to byk, a w pozostałych – skrzydlaty lew, lecący smok lub ryba.

Po złożeniu ciała rozwija się cafun, a szczątki polewa świętą wodą z glinianych naczyń, które na koniec należy rozbić. Do środka wkłada się listy polecające do bogów, a także pieniądze, aby zmarły mógł się opłacić demonom w krainie cieni. Następnie trumna zostaje zamknięta i podpalona. Uczestnikom nie wolno płakać ani w żaden sposób okazywać rozpacz, ponieważ mogłoby to skłonić duszę do pozostania w świecie żywych.

Kiedy ogień dogaśnie, rodzina zbiera zwęglone kości, kruszy je na proszek i umieszcza z żółtym kokosie, który wrzuca do morza lub rzeki. Trzy dni później uczestnicy kremacji dokonują ceremonialnego zmycia z siebie duchowego brudu sprowadzonego na nich przez śmierć. Dopiero wtedy mogą znowu modlić się w świątyni, Co najmniej 12 dni po kremacji odbywa się. Uroczystość oczyszczenia i uświęcenia duszy. Rodzina zmarłego przygotowuje kukłę. Wszyscy modlą się przy niej, karmią ją i również na koniec palą. Z popiołami postępuje się tak samo jak po kremacji zwłok. W praktyce ceremonię tę często organizuje się dopiero po kilku latach, wspólnym wysiłkiem wielu rodzin i dopiero wówczas do duszy można modlić się w rodzinnej świątyni.

Od urodzenia, aż do śmierci mieszkańcy Bali przechodzą kolejne rytuały inicjacyjne, które wyznaczają zakończenie kolejnego etapu w życiu i rozpoczęcie następnego, bardziej dojrzałego. Symbolicznym zerwaniem z przeszłością jest np. ścięcie włosów albo spiłowanie zębów.

Wyspiarze uwielbiają dzieci i każde nowo narodzone staje się uprzywilejowanym członkiem rodziny. Wierzą, iż dziecko przychodzi na świat jako nowe wcielenie duszy któregoś z przodków. Dlatego im młodsze, tym bliższe nieba. Z tego powodu przez pierwszych 105 dni życia, nie wolno mu dotknąć nieczystej ziemi. Zresztą później maluchowi nie pozwala się raczkować, ponieważ zachowywałby się jak zwierzę. 210 dni po urodzeniu dziecko opuszcza królestwo duchów i rozpoczyna nowy etap życia wśród ludzi. Na etapie wchodzenia w dorosłość nastolatki przechodzą ceremonię spiłowania zębów. Balijszczy wierzą, że spiłowanie sześciu górnych zębów osłabia sześć najgorszych cech ludzkiej natury: namiętność, chciwość, gniew, skłonność do odurzania się, niewiedzę i zazdrość. Rytuał oznacza przejście w dorosłość.

Ponieważ uroczystość ta jest bardzo kosztowna, nierzadko zwleka się z nią niemal do ślubu. Ściera się też zęby zmarłemu przed kremacją. Inaczej bowiem jego dusza mogłaby przypominać demona i nie dostać się do świata duchów.

W końcu dojeżdżamy do gorących źródeł inną drogą gdyż przez ten pogrzeb przez wieś nie da się przejechać. Nasz busik ledwie daje sobie radę na wąskich i krętych drózkach wsi, na dodatek często wjeżdżając pod górkę o dużym kącie nachylenia. Docieramy na miejsce, wszędzie dookoła stragany z pamiątkami, rącznikami. Nie można się opędzić od sprzedawców. Kąpią się tylko Paweł z Bartkiem, bo my nie wzięliśmy strojów kąpielowych. Gorące źródła w lesie deszczowym...

Ze źródeł kolejnym naszym punktem jest przepiękny wodospad ukryty w lesie, gdzie latają śliczne czarne motyle, a idąc do wodospadu mijamy drzewa wysokie niczym topole na których rosną goździki, drzewa kakaowca i kawy. Wodospad jest imponujący, spada z wielką siłą i wokół nas jest sporo drobinek wody w aerozolu. Okoliczne wsie słyną z goździków. Jadąc przez te wsie mijamy suszące się przy drodze goździki, i stąd we wszystkich tych miejscowościach czuć intensywny zapach tej przyprawy. Ciekawostką jest to, że właściwie goździki z Indonezji nie są eksportowane. Przeznaczone są głównie na rynek tutejszy. Dzieje się to również za sprawą tego, że najpopularniejsze są w Indonezji goździkowe papierosy, a mieszkańcy w sumie palą ich ogromne ilości.

Po 15 minutach jazdy od wodospadu jesteśmy na szczycie góry, po zboczach której cały czas nasz busik się wspinał. Zatrzymujemy się w restauracji, gdzie można zobaczyć

wyprażone ziarna kawy, ich rozgniatanie w moździerz, a potem można wypić aromatyczny napar z tych ziaren. W tym miejscu jemy obiad i zakupujemy po paczce ziarnistej kawy balijskiej.

Dalej droga biegnie szczytem, a w dolinie widać dwa olbrzymie jeziora – Danau Tamblingan i Danau Buyan. Stąd powoli zjeżdżamy w dół nad trzecie jezioro – Danau Bratan – będące dawnym kraterem wulkanu. Po drodze zatrzymujemy się aby popatrzeć na dziesiątki harujących przy ulicy małpek makak. Rozbestwione przez ludzkie zwierzęta zebrzą tutaj o jedzenie – banany i orzeszki i wcale nie boją się człowieka. Kiedy daje im się orzeszki biorą tyle, ile zmieści im się w małych małpich rączkach.

Dojeżdżamy nad brzegi tego trzeciego jeziora. Atmosfera dookoła jakaś dziwna. Jezioro paruje niesamowicie, stąd cała okolica tonie w gęstej mgłę, a przed chwilą wyżej było słońce. Na dodatek wcale nie jest ciepło. Nad jeziorem zatrzymujemy się w świątyni Ulun Danu Bratan położonej na dwóch wysepkach. Ponieważ jezioro jest głównym źródłem wody do nawadniania okolicznych pól ryżowych mieszkańcy Bedugul oddają cześć jego bogini Dewi Danu w tej świątyni. Ulun Danu Bratan została zbudowana w XVII wieku przez radzę, jest obok świątyni Batur najważniejszą świątynią irygacyjną na Bali. Na brzegu jeziora wyrastają dwie smukłe pagody – 11 piętrowa została poświęcona Dewi Danu.

Jedziemy dalej. Dochodzi już prawie 17:00. przed nami ostatnia świątynia, tylko czy zdążymy dojechać do niej przed zachodem słońca? Jadąc do Tanah Lot pogoda zmienia się za każdym przysłowiowym pagórkiem. Raz świeci słońca, raz straszliwa mgła, a ludzie poubierani jak na zimę.

Powoli wjeżdżamy w południową część wyspy – tę bogatszą, która żyje z turystów. Oczywiście widać to na każdym kroku. Domy niczym wille, choć przypominają świątynie hinduistyczne swoją architekturą. Od świątyń w zasadzie odróżniają je zamontowane w ogródkach wielkie satelity. Rzutem na taśmę dojeżdżamy do Tanah Lot i biegiem pędzimy na wybrzeże zobaczyć świątynię. Mamy dosłownie kilka minut zanim słońce zajdzie, aby zrobić kilka zdjęć, a tu naszą drogę zatrzymuje nam labirynt – istny kombinat – straganów z pamiątkami, który musimy szybko pokonać. Pędzimy, a tłum już wraca. Zostało nam jakieś pięć minut. Robimy szybko zdjęcia, ale już nie ma słońca i zmierzch zapada w tempie ekspresowym, ale coś udaje nam się jeszcze zrobić. Gdyby tak 15 minut wcześniej...

Najsławniejsza i najczęściej odwiedzana świątynia Bali. Świątynia Tanah Lot wznosi się nieopodal brzegu, na olbrzymiej skale wyrzeźbionej pływami morza. Jak podają kroniki, świątynię założył XVI – wieczny bramin Nirantha, który przybył tu z Jawy, kiedy coraz więcej Jawajczyków zaczęło przechodzić na islam. Podczas jednej ze swych podróży ujrzał światło bijące z punktu na zachodnim wybrzeżu. Kiedy tam dotarł, zatrzymał się i oddał medytacjom. Wkrótce przyłączyli się do niego inni mieszkańcy. Rozgniewało to miejscowego kapłana, który rzucił mu wyzwanie. Nie chcąc wdawać się w spór Nirantha po prostu przeniósł miejsce medytacji na środek oceanu, gdzie nazwano je Tanah Lot, czyli ziemia w morzu. Rzucił też na fale swe szarfy, a te przemieniły się w jadowite węże. Legenda głosi, że nadal żyją one w skalnych jaskiniach pod świątynią i strzegą jej przed złymi mocami. Do środka mogą wchodzić tylko wierni hinduizmu. W tej chwili jak jesteśmy trwa akurat gigantyczny odpływ i jaskinie są odsłonięte, stąd też pod skałą stoi w kolejce tłum wiernych chcących zobaczyć to święte miejsce. Turystom dane jest tylko podziwianie świątyni z brzegu morskiego.

Po niespełna godzinie jazdy jesteśmy w Kucie. Największym balijskim kurorcie, nawiedzanym przez tysiące turystów z całego świata. Leży na południowym wybrzeżu wyspy, na północ od Nusa Dua. W tej tętniącej życiem miejscowości na turystów czeka wiele rozrywek. Szerokie plaże z drobnym, jasnym piaskiem i turkusowa woda w Oceanie Indyjskim zapraszają do wakacyjnego relaksu i uprawiania sportów wodnych. W tym miejscu są idealne warunki do uprawiania surfingu, a szczególnie bodysurfingu. To wszystko

sprawiają, że Kuta jest popularnym celem turystycznym południowo-wschodniej Azji. Przyczyniają się do tego również pasaż handlowy z wieloma klubami, baremi i sklepami oraz urozmaicone życie nocne. Kuta to również popularne miejsce wypoczynku rodzinnego, wspaniałe miejsce do opalania, zabawy wśród. Na smakoszy czekają liczne restauracje, serwujące wyśmienite dania kuchni indonezyjskiej i międzynarodowej. Miasto ze względu na dużą ilość sklepów nazywana jest "zakupową mekką", co cieszy przede wszystkim panie, które w czasie urlopu lubią oddać się zakupowym wojażom. Pierwsze wrażenie jakie robi na nas to wszędzie dookoła przepych, jakiego do tej pory w Indonezji nie widzieliśmy. Podobno w Kucie można się od razu zakochać, albo ją znienawidzić. Na ulicach sporo obcokrajowców oddających się szałowi zakupów i wałęsaniu się z klubu do klubu. Można tu zakupić wszystko i kontenerem wysłać do swojego domu, o czym mówią szyldy nad drzwiami do przedsiębiorstw wysyłkowych.

Znajdujemy tani hotel – Bendesę z basenem. Zrzucamy rzeczy w pokojach i po męczącym dniu, pora na kolację. Znajdujemy z Pawłem restaurację brazylijską, gdzie za 2 coca – cole, kurczaka w sosie słodko kwaśnym zupełną brazylijską płacimy tylko 37 000Rp. Raptem 4 dolary. Potem z racji takiego kurortu udajemy się spróbować drinka mojito, ale jakoś mało w nim rumu.

O 23 docieramy do hotelu i padamy do łóżek niczym muchy.

08.07.2008 (wtorek)

No i wstajemy o 7 rano, choć już nie śpię dłużej bo obudził mnie szcękający gdzieś w pobliżu pies. Zjadamy hotelowe śniadanie, na które oczywiście składa się naleśnik z bananem i dla urozmaicenia sałatka owocowa.

O 8:15 opuszczamy hotel i jedziemy na lotnisko. Mamy lecieć do Labuanbajo na wyspie Flores. Na miejscu okazuje się, że nasz lot jest odwołany!!! Po długich rozmowach z obsługą linii Merpati dowiadujemy się, że polecimy, ale jutro i to innymi liniami. Na lotnisku panuje totalny chaos. Próbuje dowiedzieć się, czy może jakaś inna linia lotnicza leci dzisiaj na Flores, ale nic z tego. Inny rozkład na telebimie, a inny posiadają agencje. Trudno się w tym połapać, co leci a co nie leci i dokąd leci. Takiego bałaganu nawet Bartek jeszcze nie widział, mimo tego, że na okrągło prowadzi grupy po Azji.

Nie pozostaje nam nic innego jak dostosować się do stanu rzeczy i na koszt linii zostajemy jednak zabrani do 4* hotelu Goodway Resort w Nusa Dua. Z nami jedzie jeszcze 14 osób. Wraz z nami jadą Francuzi, Włosi, Anglicy, trochę miejscowych Indonezyjczyków – głównie chyba siostry zakonne i księża).

Dojeżdżamy do hotelu, nic tu dookoła nie ma, więc będziemy zmuszeni zostać w tym miejscu przez dobę. Pozostaje nam lenistwo i nadrobienie wakacyjnego leniuchowania, po nocnym wstawaniu na wulkany. Mimo wszystko humor nam dopisuje i żartujemy sobie, że jakoś w końcu dolecimy do Maopongo gdzie mieszka rodzina Marsiego. Gdy tak sobie żartujemy, Indonezyjczycy z naszego „samolotu” wyłapują słowo Maopongo i okazuje się, że jeden z tych księży też z tej wsi pochodzi.

Ponadto jedna para, chyba Anglicy nie mają swojego bagażu, bo na lotnisku kiedy wysiedli ze swojego samolotu z Europy skierowano ich prosto do busa. Teraz muszą czekać, aż za jakiś czas dowiozą im bagaże.

Zostajemy zakwaterowani w przytulnych pokojach, a właściwie w apartamentach, bo każdy składa się z dwóch pokoi – salonu i sypialni. Tak dużych, że nasze krakowskie mieszkanie metrażowo słabo wypada w porównaniu. Od razu idziemy na godzinę na basen, a dokładnie w południe idziemy do hotelowej restauracji na lunch, zapewniony nam przez linie Merpati. A na lunch ze szwedzkiego stołu serwujemy sobie: nieznaną bliżej zupę, rybę w sosie, sałatkę warzywną oraz owocową.

Potem dalej siedzimy na basenie i się opalamy. Przy stolikach siedzą księża i siostry zakonne, co się pojawiają obok nich wołają do nas Maopongo. Ponadto do hotelu przyjeżdżają w coraz to innych uniformach ekipy stewardess pracujących w różnych liniach lotniczych. Hotel wygląda na duży, ale ludzi jakoś bardzo mało. Ciekawe czemu nie cieszy się popularnością, a może mają tutaj jakiś kryzys turystyczny, bo to kolejne miejsce gdzie gości jak na lekarstwo.

O 19:00 idziemy na kolację. Znowu zupka i makaron z różnymi dodatkami. Paweł po kolacji szuka swoich zgub. Zgubił gdzieś swoją czapkę z daszkiem i co gorsza kartę SIM do swojej polskiej komórki. Tym chodzeniem i zaglądaniem w różne miejsca wzbudza zainteresowanie ludzi z hotelu. Jednak nic z tego ani czapki, ani karty.

W pokoju mamy tv, więc zjadając się ciastkami, możemy pooglądać, to co poleca telewizja nie tylko indonezyjska, bo oczywiście jest wiele kanałów międzynarodowych.

Gdzieś koło 23 idziemy spać, ale koło 1 w nocy zostaję wyrwana z łóżka. To dzwoni moja komórka. Moja mama postanowiła zadzwonić o tak barbarzyńskiej porze, choć mówiłam że różnica czasu to sześć godzin. Ja jestem półprzytomna, bo nie dość że wyrwana ze snu, to jeszcze przed paroma godzinami wzięłam arechin na malarię i teraz to całkiem jestem zamoczona. Z rozmowy niewiele pamiętam...

09.07.2008 (środa)

O 7:15 budzę się, bo dzwoni hotelowy telefon, ale zanim go odbieram - przestaje dzwonić. Idę spać dalej, najwidoczniej ktoś się pomylił. Wstajemy dopiero o 9. Dzisiaj o dziwo po wczorajszym zażyciu arechinu, czuję się dobrze, nie to co tydzień temu. Natomiast Pawła z kolei dzisiaj dopadła niemoc. I to taka porządna, bo nawet śniadania nie może zjeść. A na śniadanie dzisiaj prawdziwa uczta. Wybór bardzo duży – od jajecznicy i tostów, po śniadanie typowo indonezyjskie czyli makarony, czy ryż z warzywami, mięsa, sałatki warzywne i na deser owocowe. Na dodatek po śniadaniu można uraczyć się delicjami w postaci ciasteczek o różnym kolorze – nawet wściekłej zieleni. Najadamy się po uszy, tym bardziej, że nie wiadomo jak będzie z dzisiejszym lotem.

Z restauracji wychodzimy grubo po 10 (ta nasza uczta musiała trochę trwać), zaliczamy szybki prysznic, pakowanie i o 11:30 zasiadamy w głównym holu wraz z innymi pasażerami odwołanego lotu, czekając na bus z lotniska. Przyjeżdża po nas punktualnie, więc chyba jednak dzisiaj odleciemy na wyspę Flores.

Jest nas 25 osób, jak widać, wczoraj musieli jeszcze inne osoby przywieźć. Po 25 minutach jazdy z Nusa Dua jesteśmy na lotnisku. Przy odprawie oddajemy nasze bagaże, są oczywiście dokładnie ważone, ale jakby tego było mało, po oddaniu bagażu każdy pasażer również zostaje zważony. Jaki to może być samolot skoro tak precyzyjnie dokonują pomiarów wagi. Tuż przed godziną 14 zostajemy wypuszczeni przez bramkę i wsiadamy do busa, który wiezie nas po płycie lotniska w miejsce, gdzie czeka na nas samolot do Labuanbajo. Hmm, samolot rzeczywiście nie jest dużych rozmiarów – to tzw. Fokker 50, na około właśnie pięćdziesięciu pasażerów. Lecimy liniami Indonesia Air Transport.

Śmigła zostają wprawione w ruch i ruszamy. Huk śmigieł jest dość znaczny, ale samolot lekko wzbija się w powietrze. Przed nami około 1,5 godziny lotu. Podczas całego lotu samolot leci dość nisko nad ziemią, więc można do woli przez okno podziwiać wyspy np. mijany Lombok z wulkanem Rinjani, Sumbawę, Komodo czy Rincę. Na niektórych brak osad. Dookoła małe wyspy lub zielonkawe płycizny z wyspami pod wodą. Jedne wyspy są bardziej, inne mniej pokryte roślinnością, to znak, że zmienia nam się klimat raz świat roślinno – zwierzęcy.

Linia Wallace'a – stanowi hipotetyczną granicę dzielącą australijską i azjatycką krainę zoogeograficzną. Wyzaczył ją na podstawie obserwacji fauny wysp Archipelagu Sundajskiego Alfred Russel Wallace w 1863 r.

W 1857 roku Philip Sclater pierwszy zakomunikował w Linnean Society w Londynie o tym, że w dżunglach wysp na zachodzie Archipelagu Malajskiego występują ptaki podobne do żyjących w Indiach i Afryce, a na wschodnich wyspach tylko ptaki podobne do ptaków z Australii. Tak, jakby istniała jakaś wyraźna, choć niewidzialna linia podziału. Nie ma np. papug na Jawie, podczas gdy jest mnóstwo ich odmian na Sulawesi (Celebes), Irianie i Timorze; nie ma ptaków drozdowatych (np. dzięciołów) na wschód od Bali, a na zachód są ich niezliczone odmiany. Sclater dopiero po czterdziestu latach odważył się wrysować na mapę tę linię rozdziału, ale już w r. 1858 prace jego podjął walijski podróżnik i badacz Alfred Russel Wallace. Podróżując po tamtejszych wyspach i zbierając okazy ssaków, ptaków, owadów i ślimaków, Wallace zauważył, że między wyspą Bali, a sąsiednią, oddaloną zaledwie o kilkanaście kilometrów wyspą Lombok, istnieje ogromna różnica w faunie. Lombok jest zasiedlony przez gatunki spotykane w Australii, na Bali występują przede wszystkim gatunki spokrewnione z tymi z południowo-wschodniej Azji. Szybko zdał sobie sprawę z tego, że nie tylko różniące się ptaki zamieszkują jakby dwa różne światy, ale podobnie jest również ze zwierzętami i roślinami. Wallace zdał sobie sprawę, że przyczyną biologicznego rozróżnienia tych dwóch rejonów była geologia. Linia Wallace'a to jednocześnie wschodnia granica obszaru, który w plejstocenie (kiedy to poziom morza obniżył się znacząco i wiele wysp uzyskało stałe połączenie z kontynentem) stanowił jeden ląd wraz z Półwyspem Malajskim.

Około 15:30 lądujemy na wyspie Flores w Labuanbajo. Lotnisko w Labuanbajo... to kosmos... dosłownie barak, gdzie bagaże są rozdawane z płyty na schodach tegoż baraku. Dwóch młodych chłopaków wyładowuje bagaże z samolotu do wózków, po czym pchają je pod barak, ale nie wyrabiają i wózek w pewnym momencie zjeżdża im w trawę. Chichocząc z powrotem spychają wózek na właściwą drogę...wesoło im że hej. Dopychają wózek pod schody, gdzie czekają już na swoje bagaże podróżni. Z drugiej strony baraku wyjście poza lotnisko jeszcze zamknięte, co nie przeszkadza tłumkowi Indonezyjczyków pchać się do drzwi i okien w poszukiwaniu turysty, którego można byłoby zawieźć do hoteliku, a dzięki temu zarobić, tym bardziej że wczorajszy lot przepadł.

Witaj wyspo Flores. To jedna z wysp Archipelagu Małych Wysp Sundajskich. Powierzchnia wyspy to 14 tys km², a zamieszkiwana jest przez około 1,5 mln mieszkańców. W końcu będzie spokój. Podzielona administracyjnie jest na kilka regionów Manggarai, Ngada, Ende, Sikka i Flores Timur, stanowiących powiązanie z podziałem etnicznym zamieszkującej ludności. Swoją nazwę wyspa wzięła od Przylądka Kwiatów, jak w 1512 roku nazwali ten kawałek lądu przepływający tędy Portugalczycy. Wcześniej był on znany kupcom jako Wyspa Kamienna. W miejscu tym krzyżowały się wpływy wielu kultu i cywilizacji. Tutejsze porty na początku XV wieku podporządkowane politycznie hindusko-jawajskiemu państwu Majapahit, stanowiły niegdyś ważne ogniwo w handlu między wyspami. Na przełomie XV i XVI wielu za sprawą kontaktów handlowych z odległym sułtanatem, skąd sprowadzano goździki, część nadmorskich osiedli zaczęła nawracać się na islam.

W połowie XVI wieku przybyli Portugalczycy, którzy założyli misję w Larantuce i wybudowali fort na wyspie Solor. Już w latach 70 tego stulecia w Larantuce działało seminarium duchowne, a w innych rejonach szybko rozwijał się katolicyzm.

W 1664 roku muzułmańscy najeźdźcy z Goa na południowym Celebesie zajęli Ende. W wyniku osiedlenia się Makasarów powstała silna społeczność islamska która wyprawiała się po niewolników na Sumbę i handlowała drzewem sandałowym z Timoru. W 1859 roku Holendrzy odkupili od Portugalczyków ich osiedla na Flores, gwarantując swobodę działania kościoła katolickiego. Dwukrotnie ostrzeliwali też z okrętów muzułmańskie Ende i stopniowo

wzmacniali swoje wpływy w tej części wyspy. W pełni podporządkowali je sobie na przełomie 1907/1908, w następstwie czego na Flores napłynęli katoliccy misjonarze, którzy intensywnie szerzyli chrześcijaństwo.

Do wiary katolickiej przyznaje się 90% mieszkańców Flores. Kościół robi wiele by poprawić ich warunki życia, prowadząc szkoły i ośrodki zdrowia, a także realizując rozmaite programy rozwoju rolnictwa. Na Flores od lat 60 działają polscy misjonarze – werbiści i sercane – m.in. w Labuanbajo i Riungu. Księża szanują miejscowe wierzenia i obyczaje i nie dążą do ich wykorzenia. Wielu wyspiarzy otacza się wciąż kultem duchów swych przodków. Wierzą także w Dewa, boga mieszkającego w niebie, oraz Nitu boginię, żyjącą pod ziemią, w wodzie i dużych drzewach. Dawniej oddawano jeszcze boska cześć pytonom, skąd wzięła się jeszcze inna nazwa wyspy – wyspa węży.

Wyspa jest górzysta (najwyższy szczyt 2382 m n.p.m.), rozciąga się w kierunku równoleżnikowym. Na wyspie znajdują się liczne czynne i nieczynne wulkany, a region jest aktywny tektonicznie. Znaną atrakcją przyrodniczą i turystyczną jest wygasły wulkan Kelimutu z trzema kolorowymi jeziorami. Wulkan uważany jest przez ludność tubylczą za świętą górę, wierzą oni, że jest to miejsce przebywania duchów. Jeziora co pewien czas zmieniają swoje kolory. Całą wyspę przecina około 700 km droga łącząca Labuanbajo z Larantuką.

Roślinność tej wyspy stanowią lasy tropikalne i sawanny. Zachodnie wybrzeże wyspy jest jednym z nielicznych miejsc gdzie w stanie dzikim występuje smok z Komodo (*Varanus komodoensis*). Na Flores znajdują się dwa parki narodowe: Park Narodowy Kelimutu i Park Narodowy Komodo oraz liczne rezerwy przyrody.

Mieszkańcy Flores to głównie katolicy, co wiąże się z kolonizacją tych regionów Indonezji przez Portugalczyków. Ludność zajmuje się głównie uprawą ryżu, kukurydzy, palmy kokosowej, kawy oraz przypraw.

Na wyspie Flores został niedawno odkryty *Homo floresiensis* - nowy gatunek człowieka, występujący na wyspie jeszcze około 12 tys. lat temu.

Ostatecznie z lotniska zabiera nas wesoły afro-człowiek, śmiejąc się powtarza co chwilę zapewne zasłyszane już wcześniej od innych polskich turystów słowo „dobra, dobra”. Jedziemy do centrum, ale niestety wszystkie hotele pełne, bo jutro ma przypłynąć statek, który zawija tu raz na dwa tygodnie i przewozi nawet 2 tysiące ludzi. Jeden hotel ma wolne miejsca, ale sam jego widok – obskurny, a na dodatek biegnący po schodach sznur skutecznie zniechęca nas do pozostania tam na noc. W końcu jadąc od hoteliku do hoteliku ładujemy w hotelu za miastem też raczej obskurny, nie mówiąc już, że drogi... za pokój na 4 osoby targujemy cenę 350 tysięcy rupii. Zbrodnia w biały dzień. Sama recepcja wygląda raczej jak magazyn, a nie miejsce przyjmowania turystów. No ale co robić innego wyjścia nie było. Pokój w ogóle nie adekwatny do ceny. Jakby tego było mało to są w nim nasi przyjaciele KARALUCHY. Toteż nie trzeba było długo czekać, aż spotkamy je osobiście. W pewnej chwili z łazienki ze straszliwym wrzaskiem wyskoczyła Ania. Okazało się, że Karaluch wskoczył jej na nogę, po czym pognął gdzieś dalej. Zaczęliśmy go szukać, ale znaleźliśmy innego, który został już wcześniej przykleszczony przez drzwi i zdechł. Nie przeszkadzało to dziesiątkom mrówek w oblezieniu owada. A ten co skoczył na Anię, gdzieś zniknął. Za parę minut okazuje się, że uciekinier jest już w naszym pokoju, ale siedzi pod szafą. Od obsługi hoteliku udaje nam się dostać baigon – środek na owady i zamordować z premedytacją karalucha.

Po rozgoszczeniu się w hoteliku, łapiemy bemo (czyli mały busik z ławeczkami), aby dojechać nim do centrum i coś zjeść, bo w tym hotelu nie ma co na wiele liczyć. Za 5 tys. Rp dojeżdżamy do centrum miasteczka.

Jesteśmy dokładnie w zachodniej części wyspy czyli w Manggarai, gdzie żyje prawie połowa wszystkich mieszkańców wyspy. Manggarai jest samowystarczalna za zakresie produkcji ryżu, eksportuje się stąd kawę i bydło.

Najpierw odwiedzamy agencje turystyczne i wybieramy tę która wywiera na nas najbardziej pozytywne wrażenie. Zamawiamy na jutro wyjazd na Rincę, aby zobaczyć sławne warany z Komodo, a także wynajmujemy na tydzień samochód, który obwiezie nas po całej wyspie. Po załatwieniu sprawy - na jutro mamy dokładnie uzgodnić z właścicielem agencji trasę – idziemy na przeciwko do restauracji hotelu Garden coś zjeść. Paweł niestety dalej czuje się źle, więc je tylko naleśnika. Natomiast ja nie pogardzę makaronem z wołowiną i grzybami.

Po kolacji wracamy ponownie bemo do hotelu. O 22:00 nie ma już co robić, bo jesteśmy na odludzi, więc idziemy spać.

10.07.2008 (czwartek)

Makabryczna noc. Paweł od 3:30 biega do toalety, chyba złapała go mała niestrawność. Natomiast koło godziny 4 rano zaczęły wyć i szczekać psy, pisać koguty, jacyś ludzie z dziećmi obok nie mają spania i głośno jest jak w środku dnia. Dlaczego ci ludzie nie śpią o tak barbarzyńskiej porze? Normalny człowiek jest w środku snu o 4 nad ranem. Jakby na domiar tego było mało o godzinie 5 zaczął trąbić płynący do portu wielki statek na około 2 tysiące ludzi. Jego buczenie było słychać jeszcze ponad godzinę zanim ostatecznie zawinął do portu w Labuanbajo.

Wstajemy o 6:15. Piętnaście minut później jemy śniadanie zrobione przez kuchnię tego hoteliku – tost z marmoladą i herbata. Królewskie to śniadanie. Podobno zazwyczaj mają na śniadanie jeszcze jajka, ale... się skończyły.

Płacimy za hotel i o 7 rano przyjeżdża po nas gość z agencji. Jedziemy do centrum. Zostawiamy bagaże w budynku (baraczk) agencji, bo jak wrócimy mamy mieć już zakwaterowanie w centrum. Zostajemy oddani pod opiekę właścicielowi łodzi i idziemy opłotkami, poprzez smrodliwe podwórka mieszkańców na przystań. Idziemy dziwną drogą, gdyż do portu dzisiaj praktycznie nie da się wejść. Tam kłębią się tłumy ludzi wsiadających i wysiadających ze statku. Miasteczko, które jeszcze wczoraj było ciche, dzisiaj od samego rana tętni życiem. Droga zastawiona jest przez kolorowe bema, które rozwiozą zarówno ludzi, jak i towar po okolicznych wioskach. Małe busiki – bema – pękają w szwach. Kiedy już nie da się nikogo i nic wepchnąć do środka, pakuje się na dach. Rozgardiasz niesamowity. Dookoła sporo też funkcjonariuszy policji, którzy starają się pilnować porządku.

Wsiadamy na naszą łódź. Po drugiej stornie przystani widać setki ludzi, którzy z pudłami wsiadają na statek. Kolejne setki kłębią się na kilku pokładach statku. Teraz już wiem dlaczego tyle ofiar jest, kiedy zatonie taki statek.

Płyniemy około dwóch godzin, smaga nas dość zimny wiatr. Po drodze opływamy kilka małych wysp i Rincę, gdzie mamy zobaczyć słynne warany z Komodo. Nie płyniemy na samo Komodo, bo jest ono bardziej popularne i co tu dużo mówić bardziej skomercjalizowane. Dopływamy do wyspy Rinca, gdzie znajduje się park narodowy Komodo, nasz motorniczy prowadzi nas około pół kilometra do wejścia do parku. Wszystkie budynki w parku są na palach, aby warany nie mogły do nich wejść. Zakupujemy bilety. Nie jest to niestety tania impreza – opłata za wejście do parku, za rengersa, ponadto jakaś dodatkowa opłata. Uzbierało się tego sporo. W budynku strażników parku w Loh Buaya, gdzie zakupujemy wejście, lata sobie mały nietoperzyk.

Na około 2 godzinny trekking idzie z nami ranger, uzbrojony w rozwidlony kijek, gdyby nas miały zaatakować warany. Tia, ciekawe jak niby miałby sobie z dużym waranem poradzić taki kijek... Zaraz obok budynków, znajdujemy kilka okazów waranów. Zwłaszcza

jeden robi kolosalne wrażenie. Jest ogromny – ma jakieś 3 metry długości. Jak mówi przewodnik ma około 45 lat. Na dodatek jest w trakcie kopulacji z samicą.

Waran z Komodo (*Varanus komodoensis*) – gatunek gada z rodziny waranów. To największa współcześnie żyjąca jaszczurka. Odkryta w 1910 r. Aby ją chronić założono w 1980 r. Park Narodowy Komodo. Przez tubylców zwany jest „ora”. To najstarszy gatunek zwierząt, krewniak dinozaurów, które władaly ziemią ponad 100 mln lat temu. Szacunkowe dane mówią, że na trzech wyspach – Komodo, Rinca i Gili Dasami, żyje obecnie około 3 tysiące osobników.

Głowa duża i szeroka, szyja gruba i masywna, baryłkowaty tułów, ogon gruby u nasady, a w dalszej części bocznie spłaszczony, równy połowie długości ciała. Szeroka szczęka uzbrojona w 60 zębów. Ciało pokryte ziarnistymi łuskami. Grzbiet ciemno-brązowy pokryty czarnymi plamkami. Ma do 3,65 m długości i do 150 kg wagi. Na pokarm warana składają się: większe kręgowce, głównie ptaki i ssaki (konie, bawoły wodne, świnie, jelenie, kangury) odnotowano także kilka śmiertelnych ataków na ludzi, warany są także kanibalami, stąd młode do 3 roku życia mieszkają wyłącznie na drzewach. Warany z Komodo nie mają wrogów naturalnych w ogniwie pokarmowym, jedynym zagrożeniem dla młodych waranów są dorosłe osobniki. Zwierzęta te są mięsożerne, a najbardziej smakuje im rozkładające się mięso, które wyczuwają za pomocą żółtego, rozwidłonego języka.

Waran jest aktywny w dzień, a noc spędza w wygrzebanych przez siebie norach. Poluje z zasadzki, do upatrzonej zdobyczy zakrada się od tyłu. Atakując mniejszą zdobycz, może rzucić się wprost do jej szyi, a większą ofiarę (np. jelenia czy dziką świnie) stara się powalić na ziemię (m.in. przy użyciu potężnego ogona, którego siła uderzenia równa się sile 2 ton), a następnie rozedrzeć na strzępy. Jednak nawet jeśli nie uda mu się przy pierwszym ataku zabić ofiary, to i tak, o ile uda mu się ją ukąsić, ginie ona w ciągu tygodnia; waran musi tylko podążać tropem zranionego zwierzęcia. Badania wykazały, że w ślinie warana żyje ok. 50 różnych szczepów bakterii, rozwijających się dzięki resztkom mięsa pozostającym między zębami warana; sugerowano, że bakterie te przy ukąszeniu dostają się do krwi zaatakowanego zwierzęcia, powodując infekcję prowadzącą do śmierci ofiary. Z drugiej strony odkryto, że inny przedstawiciel rodziny waranów, waran kolorowy, wytwarza prawdziwy jad; twierdzi się przy tym, że ukąszenia dwóch innych przedstawicieli tej rodziny, w tym warana z Komodo, wywołują u ukąszonego objawy wskazujące bardziej na działanie jadu niż na infekcję bakteryjną. Na krótkim odcinku waran z Komodo może biec z szybkością do 20 km/h. Potrafi też pływać w pogoni za ofiarą.

Pomiędzy majem a sierpniem przebiegają gody, a we wrześniu samice składają do wykopanych jam w ziemi do 30 jaj o długości 12 cm w pergaminowatych osłonkach. Wylęgłe warany ważą ok. 100 g i mają 40 cm długości. potrzebują ok. pięciu-sześciu lat, by urosnąć do 2 metrów długości, a mogą żyć do ponad 50 lat.

Możemy dość spokojnie obok nich wędrować, bo warany jedzą między 6, a 10 rano, więc teraz są najedzone i ospałe, wołają odpoczywać w cieniu drzew.

Komodo i Rinca to najsuchsze wyspy Indonezji. Widać to gołym okiem. Sucho jak pieprz. Brak lasów, tylko pojedyncze drzewa, głównie krzewy i trawy. Ponadto wszystko dookoła wygląda tak, jakby to był schyłek pory suchej – roślinność jest zeschnięta.

Po drodze oglądamy wielkie palmy, wysokie niczym słupy, spotykamy śpiącego w cieniu drzewa warana, który tylko łypie na nas okiem, a sam zresztą wygląda niczym kłoda. Potrafią się pięknie zamaskować i zniecać zaskoczyć swoją ofiarę. Mijamy też kilka bawołów wodnych, które stanowią pokarm waranów, jest też stadko wesołych makak. Co jakiś czas na kamieniach leżą rogi bawołów wodnych – to co z nich zostało po obiedzie warana. Jak mówi przewodnik na wyspę przywożone są bawoły, konie, aby warany miały na co polować, a nie uprawiały kanibalizm. Jest ich już i tak niewiele, więc lepiej, żeby polowały na inne zwierzęta niż na siebie nawzajem.

Po 2 godzinach wracamy do punktu wyjścia, gdzie pod domami na palach leży kilkanaście sztuk małych waranów. Wracamy do łódki, a na przystani zegnają nas małpki siedzące w namorzynach, gdzie uciekły, bo ścieżką w najlepsze podążał gdzieś nieduży waran.

Odplywamy. Od właściciela łodzi dostajemy w pudełkach obiad, na który składa się upieczona, aczkolwiek już zimna ryba, ryż, trochę warzyw. Nie zjedzony ryż posłuży nam do karmienia rybek, na rafie, na która właśnie płyniemy. Tuż przed rajska wyspę – niezamieszkaną, z cudownym piaskiem, Bartkowi za burtę wypada jego kłapek. Motorniczy łódki śmieje się do rozpuku i zawraca łódź, tak aby Bartek mógł odzyskać swojego klapka. Wszyscy wypatrują gdzie pływa, Bartek wskakuje do wody i wyławia swoją zgubę.

Rafa koralowa w tym miejscu okazuje się być bardzo zniszczona, ale nie zraża to Pawła i Bartka do karmienia rybek i ich podziwiania, natomiast ja z Ania zbieramy muszunki, a jest w czym wybierać. Na naszej rajskiej plaży leżą tony różnorodnych muszulek. Cała plaża pokryta jest muszlami i gruzem z tutejszej rafy koralowej.

Po godzinie pływania i zbierania muszli, płyniemy jeszcze około godziny z powrotem do portu w Labuanbajo, mijając po drodze bawiące się i wyskakujące z wody delfiny.

Idąc przez miasteczko da się zauważyć, że duża grupa mieszkańców to rastafarianie- z dreadami i kochający muzykę reggae, która leci nawet w markecie.

Zaraz z centrum jedziemy do kościoła katolickiego, gdzie ma mieszkać polski ksiądz Stanisław, ale niestety po dotarciu tam okazuje się, iż parę dni temu wyjechał. Wracamy więc do agencji turystycznej, ustalamy ostatecznie trasę wyjazdu na najbliższy tydzień i idziemy 200m dalej do naszego nowego hotelu. Warunki lepsze, cena niższa, to teraz można iść się posilić. Idziemy po raz kolejny do Gardeny – dzisiaj serwuję sobie kolokę. Dostaję potrawę w bardzo rozwodnionym sosie, a mój sok pomarańczowy jest super-wodnisty. Musimy go wymienić, bo to gorsze niż polski napój z kartonika. Siedząc na tarasie Gardeny w oddali unoszą się smugi dymu i ogień. To płonie jedna z pobliskich wysp.

Już sporo po zmroku wracamy do hoteliku raczej po ciemku, bo brak tu jakichkolwiek latarni. Miejscowość wieczorem oświetlają żarówki ulicznych sklepików. Na koniec muszę napisać o ciekawostce, która zauważyliśmy. Kiedy kupuje się w restauracji butelkę coca – coli, zawsze otrzymuje się do niej rurkę. Jedyny, aczkolwiek znaczący problem jest taki, że nie za bardzo da się z niej korzystać, bo jej długość jest równa wysokości całej butelki... aha i jeszcze jedna ciekawostka. Koty w Indonezji mają ogony o różnej długości.... czy to jakaś skaza genetyczna??? Niektóre mają wręcz marne kikuty, a pytaliśmy i na 100% im nie obcinają...

Dobranoc...

11.07.2008 (piątek)

Budzę się wcześnie, bo oczywiście nie da się spać, pod naszym oknem niczym po autostradzie przemierzają się ludzie z hoteliku, chyba jacyś robotnicy, bo za drugą ścianą słychać huk, walenia młotkiem, najwidoczniej od samego rana czas na wieli remont.

Ostatecznie wstajemy koło 8. Zjadamy hotelowe śniadanie – chleb tostowy z dżemem i popijamy makabrycznie mocną kawę. Tony z agencji wraz kierowcą już na nas czekają. Za chwilę pakujemy się z naszymi bagażami do jeepa i ruszamy.

Zatrzymujemy się już po około 5 km niedaleko od Batu Cermin czyli Lustrzanej skały, z ciągiem jaskiń i kanionów. Jaskinie wydają się na martwe, nic w nich nie przyrasta z nacieków. Za to można znaleźć skamieniałego żółwia i rybę. Dookoła lata mnóstwo małych nietoperzy. Ciekawostką w stropie jaskini leje, tak jakby wydrążyła je woda, tylko jak skoro są w stropie. Takiej formy w jaskini jeszcze nie widziałam. Na dodatek oprowadzający

przewodnik nie potrafi nam wyjaśnić co to takiego. Przed jaskiniami wiszą dwa ogromne gniazda tropikalnych pszczół.

Jedziemy dalej, kierowca ma na liczniku 606km. Zobaczymy ile z nim przejedziemy.

Jadąc podziwiamy krajobrazy pól ryżowych, pasących się przy nich bawołów wodnych i innych rodzajów bydła. Zatrzymujemy się przy jednym domku, przy którym na rozłożonych plandekach suszą się różne rzeczy: ziarna kawy, betelu, kakao, orzeszków candelnut (nie znam polskiej nazwy). Oglądamy i trochę zabieramy do woreczków, dając właścicielce domku mały datek. Wzdłuż drogi wystawione przed domami są różnej wielkości plastikowe butelki po wodzie mineralnej wypełnione tutejszym samogonem z drzewa palmowego tzw. arakiem. Można sobie kupić. Cena zależy od wielkości butelki i tego ile razy alkohol był rafinowany.

Co chwilę mijają nas busiki wypełnione po brzegi ludźmi, a nawet jeszcze bardziej, bo ludzie którzy nie mieszczą się ani wewnątrz, ani na dachu stoją na schodkach wiszą z tyłu samochodu. Busik wygląda niczym choinka ozdobiona ludźmi. Busiki czy ciężarówki to bardzo wesołe pojazdy. Z duży megafonów umieszczonych z przodu pojazdu w niebogłosy puszczona jest muzyka, która nawet umarłego postawiłaby na równe nogi. I tak właśnie te pojazdy przemieszczają się pomiędzy miejscowościami wraz z głośną muzyką. Jak pasażerowie to wytrzymują to nie wiem. Ogłuchnąć można. Wystarczy, że nasz kierowca puszcza sobie muzykę, w której nie słychać praktycznie linii melodycznej, ani słów piosenki bo dominują muzyczne basy. Słychać głównie bum bum bum. Zresztą właśnie taką muzykę słychać z megafonów w bembach i ciężarówkach. Na sporym zakręcie wjeżdżamy pod górkę za obładowaną ludźmi ciężarówką. Ledwie trzyma się drogi na tym zakręcie, a my mamy wrażenie, że zaraz się wywróci.

Zatrzymujemy się w Lembor, gdzie w przydrożnym barze tzw. warungu jemy obiad. Zjadamy dwa dania i pijemy czymś w rodzaju herbaty, sprzedawanej w butelkach. Na obiad jest przepyszna suszona wołowina i pieczony niczym kotlecik – ziemniak. Przepyszne, a za wszystko płacimy raptem 48 000 Rp, czyli około 5 dolarów.

Jadąc dalej zatrzymujemy się na stacji benzynowej. Stoją tutaj dziesiątki kanistrów i kilka ciężarówek. – paliwa brak. Na Flores jest jakiś kryzys paliwowy. Kolejny przystanek to wioska w górach, gdzie prosimy aby kierowca się zatrzymał, bo przy drodze są czarne świnie, które chcemy zobaczyć. Jak się okazuje, mieszkańcy Flores hodują te świnie do celów obrzędowych. Kiedy nadchodzą pradawne święta, to lokalni mieszkańcy według tradycji swoich przodków na ucztę i ofiary zabijają właśnie te zwierzęta. Robimy parę zdjęć, a po chwili mamy już towarzystwo sporej gromady dzieci, które chcą być obfotografowane, więc przyjmują różne pozy. Ciężko teraz wrócić do samochodu i ruszyć w dalszą drogę, tym bardziej, że z wioski przybiegły kobiety, które próbują sprzedać nam sarongi.

Region słynie z pól ryżowych w kształcie pajęczyny, stąd też kierowca zabiera nas w miejsce, gdzie możemy coś takiego zobaczyć. Są to tradycyjne pola, które według mieszkańców łatwiej jest nawadniać. Ze wzniesienia podziwiamy rozchodzące się promieniście niczym pajęcza nić - poletka ryżu. Szkoda tylko, że dookoła dość gęsta mgła, która trochę nam psuje widok, nie mówiąc już o zdjęciach.

Jadąc dalej zatrzymujemy się w wiosce, gdzie na drewnianych straganach wiszą szare wysuszone ryby, warzywa, całe zestawy do przygotowywania betelu. Betel (lub pieprz zuwny) – rodzaj używki popularnej w krajach Dalekiego Wschodu. Składa się na nią liście pieprzu betelowego, nasiona palmy areki oraz przyprawy i mleko wapienne. Ma działanie orzeźwiające, lekko podniecające i lecznicze – zabijając pasożyty i odkażając przewód pokarmowy. Ubocznym skutkiem zażywania betelu jest jednak barwienie zębów na czerwono. W wyniku regularnego żucia mogą też wypadać zęby, następuje sztywnienie szczęki. Betel zwiększa ryzyko zachorowalności na raka języka i dna jamy ustnej astmę i prawdopodobieństwo ataku serca.

Dookoła bieda, aż piszczy, ale dzieciom nie przeszkadza to w niczym. Brudne, zasmarkane biegają za nami abyśmy tylko porobili im dużo zdjęć. Dookoła czuć zapach wysuszonych ryb. W jednym z baraków przed którym jest stoisko ze świeżym mięsem, w środku w najlepsze przy stole bilardowym toczy się gra. Nasz kierowca, który znikł jakiś czas temu, w końcu się pojawia, jak widać parę osób tutaj go zna.

Około godziny 16 i po przejechaniu 140 km jesteśmy w Rutengu, nad którym góruje Gunung Ranaka 2140m n.p.m. Ruteng jest stolicą regionu zamieszkanego przez ciekawy lud Manggarai, a obejmujący całą zachodnią część Flores. Miasto dość rozległe i mieszka w nim około 20 tysięcy ludzi. Miasteczko leży na wysokości około 1000 m, co sprawia, że jest tu chłodniej, niż w innych częściach wyspy. Ok 25 stopni Celsjusza, to dla miejscowych powod, żeby nosić ciepłe kurtki.

Dojeżdżając do dzisiejszego celu najpierw „zwiedzamy” trzy hoteliki w mieście i ostatecznie wracamy do pierwszego - Rima hotel. Na razie w żadnym nie ma prądu. Włączają go dopiero po godzinie 18. Jest niestety limitowany. Na razie dostajemy świeczki, ale obsługa hoteliku prosi nas o szczególną uwagę, bo cały budynek jest drewniany...

Kierowca z nami się żegna, pojawi się jutro rano, bo podobno jest z Rutengu i na noc wraca do domu.

Zostawiamy bagaże i po chwili wędrujemy do centrum miasteczka, w którym zanim jeszcze zapadnie zmrok toczy się na uliczkach życie handlowe.

Wchodzimy z Pawłem do protestanckiego kościoła, gdzie odbywa się próba chóru. Potem idziemy do kościoła katolickiego, gdzie trwa akurat msza. Idąc główną ulicą miasteczka na pobliskich drzewach i krzakach znajdujemy mega pajęczyny. Takiej pracy pajaków jeszcze nie widziałam. Na każdym drzewie cała rodzina pajaków tka ogromne sieci. Trochę jak w horrorze. Idąc uliczkami miasteczka przyglądamy się targowemu życiu. Wszystko pootwierane. Sklepy przypominają bardziej magazyny, a charakter nadają im jaskrawe kolory, na które pomalowali je ich właściciele. Dominuje wściekły niebieski i żółty.

Zatrzymujemy się przy sklepie, gdzie jest pieczywo i zapach stamtąd niesie się precudowny. Okazuje się, że jest to również piekarnia, a na zapleczu w tej chwili trwa produkcja maślanych bułeczek – zwykłym czy też z nadzieniem w postaci czekolady, sera, a nawet kurczaka. Całą produkcja w dość prymitywnych warunkach zajmuje się gromadka dzieci, która również obsługuje piec, gdzie wypiekane są bułki. Dzieci bardzo sprawnie i niczym maszyny walcują ciasto, tną na fragmenty, a potem wyrabiają jednakowej wielkości bułeczki. Zakupujemy u nich kilka rodzajów bułek.

W centrum z przydrożnej ruchomej budki zjadamy banany smażone w głębokim oleju.. Obok budki całe stosy łup po bananach. Cieszą się najwyraźniej dużym powodzeniem.

Swoje kroki dalej kierujemy do Agape coffe house. Jest to kawiarnia z olbrzymią maszyną zajmującą całe pomieszczenie na zapleczu, w której praży się kawę. Zamawiamy sobie kawę, aby spróbować, jak smakuje. Bardzo dobra.

Z kafejki wracamy ciemnymi uliczkami do hotelu, w niektórych miejscach świecą się żarówki, a prąd pochodzi z domowych generatorów. Miasteczko w zasadzie tonie w ciemnościach. Ciekawostką jest również to, że w całej Indonezji spotykamy tylko energooszczędne żarówki. Z braku prądu miasteczko zamarło w ciągu pół godziny od zapadnięcia zmroku, a ulice opustoszały. Zostaliśmy praktycznie sami. Wracamy więc do hoteliku, a ten oświetlony neonami. W takim miejscu, gdzie prąd jest limitowany, neony to szczyt burżujstwa.

Wieczór spędzamy na tarasie, gdzie Paweł, Bartek i Ania zjadają się bułeczkami z pasta rybną. Fuj. W ogródku hoteliku rosną kolorowe kwiaty – przepięknie kwitnące na czerwono amarylisy, czy „śmierdziuszki” wielkości krzaka.

Potem czas się wykapać. W łazience lodowata woda, która daje się we znaki Ani, bo z za cienkiej ściany pokoju słychać przeraźliwe wrzaski spod prysznic. Idę spróbować do

swojej łazienki. O matko droga. To prawdziwie lodowata woda, aż mi dech zapiera, nie dziwie się już wrzaskom Ani. A teraz szybko do łóżka, bo mi zęby szcękają z zimna.

12.07.2008 (sobota)

Pobudka o 7:45. Nocą budzi mnie sms od mamy – oczywiście pusty. Nad ranem mimo ciemności w pokoju, bo małe okienko, nie da się spać, gdyż zewsząd dochodzą odgłosy miasteczka.

Śniadanie zjadamy w hotelu – nie ma to jak naleśnik z bananami i bułeczka z dżemem ananasowym. Nawet smaczne, choć słodkie śniadania nie należą do moich ulubionych.

Nasz kierowca Stefano miał być o 8:30, czekamy a go nie ma. Pojawia się o godzinie 9, tłumacząc że naprawiał koło, ale coś mi się wydaje że to nie prawda. Oczy ma przekrwione, no i lekki zapach alkoholu czuć od niego.

Na przedmieściach Rutengu odwiedzamy tradycyjną wioskę Kampung Ruteng. Zbudowana jest w charakterystycznym dla ludu Manggarai układzie. Domy ustawione są wokół niskiego kamiennego muru na planie koła, w którego środku znajduje się wzgórek, zwany kampung, będący rytualnym ołtarzem oraz miejscem pochowku najważniejszych miejscowych przywódców, gdzie raz na 5 lat odbywa się wielkie święto, oczywiście z zarzynaniem czarnych świń. Wszystkie domy są okrągłe i z dachem w kształcie stożka pokryte strzechą z palmy. Na szczycie dachu rogi bawoła – symbol siły ludu. Na wszystkich krzakach, ale nie tylko w tej wiosce, bo i w całej Indonezji rozwieszono jest pranie. Gdziekolwiek jedziemy od samego rana na krzakach susza się całe masy ubrań mieszkańców kolejnych wiosek. Znowu zasmarkane dzieci biegają obok swoich chat, pomiędzy licznymi kurami, kaczkami, psami.

Potem jedziemy przez środkową część wyspy, gdzie przed nami pojawiają się świeże terasy ryżowe. Po drodze zatrzymujemy się nad jeziorem utworzonym w kraterze wulkanu raptem w 2001 roku.

Jadąc tak przez Flores mijamy tereny z uprawą drzew kakaowca, więc też należy przyjrzeć się im z bliska. Kierowca zatrzymuje się w jednej z wiosek. I przynosi nam od Indonezyjczyka kilka owoców. Na drzewach rosną jeszcze zielone niedojrzałe kokony. Dojrzałe natomiast mają kolor bordowy, a po rozłupaniu wewnątrz owocu znajduje się kilkadziesiąt ziarenek kakaowca.

Kakaowiec to jest małym, zimozielonym drzewem dorastającym do około 7 metrów. Kwiaty posiadające kolor biały lub czerwony oraz owoce kakaowca wyrastają bezpośrednio z pnia i starszych gałęzi. Roślina pochodzi z Ameryki Południowej. Indianie wykorzystywali prażone i tłuczone nasiona do przygotowywania gorącego napoju, zaprawianego wanilią zwanego "xocoatl" (stąd nazwa "czekolada"). Po odkryciu Ameryki Kolumb przywiózł ziarna kakaowca do Hiszpanii, stamtąd rozpowszechniły się w innych krajach Europy. W XVII wieku w sferach arystokratycznych stał się modny napój kakaowy z dodatkiem cukru, zwany "czekoladą". W 1828 roku Holender odkrył sposób oddzielania masła kakaowego od reszty nasienia, z której otrzymał proszek - czyli "kakao". Obecnie uprawiana jest w obszarach przyrównikowych Afryki i Azji.

Owoce mają zielony, żółty, czerwony lub fioletowy kolor i długość około 20 cm. Wewnątrz nich, w śluzowatym, soczystym miąższu znajduje się od 20 do 60 nasion zwanych ziarnami kakaowymi. Gdy owoce są dojrzałe, ścina się je, otwiera i wydobywa nasiona. Umieszcza się w pryzmach, okrywa liśćmi, układając w koszach lub skrzyniach. W ciągu 5 -7 dni bakterie i drożdże znajdujące się w miąższu powodują fermentację. Dzięki fermentacji nasiona nabierają charakterystycznego aromatu. Po procesie fermentacji nasiona suszy się. W fabrykach krajów europejskich suche nasiona kakaowca są przerabiane. Ziarna praży się,

zdejmuje okrywe i miele zarodki na masę kakaową. By powstało kakao w proszku, z masy kakaowej usuwa się tłuszcz ("masło kakaowe" zawierające około 55% tłuszczu), a po jej zmieleniu otrzymuje się sproszkowane kakao (zawierające 25% tłuszczu). Po dodaniu do masy kakaowej masła kakaowego, cukru i mleka w proszku uzyskuje się czekoladę. Pozostałości po obróbce nasion kakaowca wykorzystuje się jako paszę dla zwierząt, jako ściółkę lub nawóz.

Z proszku kakaowego robi się stymulujący napój, dodawany do mleka, lodów i ciastek. Z kolei z masła kakaowego stanowi cenny surowiec farmaceutyczny (do wyrobu maści i czopków), kosmetycznym (do produkcji farb do powiek, dobrych szminek, kremów nawilżających) oraz cukierniczym (do wyrobu czekolady, także białej).

Wykorzystuje się także ciemnoczerwone drewno kakaowca, które przydaje się w produkcji oklein i wyrobów galanteryjnych.

Nasiona kakaowca zawierają ponad 50% tłuszczu, około 20% białka, 12% węglowodanów (głównie skrobi), 4% składników mineralnych, pobudzające alkaloidy - teobrominę (2,5%) oraz kofeinę (0,8%) (jednakże ilość obu związków zmniejsza się podczas obróbki ziarna). Teobromina, choć działa słabiej pobudzająco od kofeiny, powoduje szybszą regenerację organizmu po wysiłku umysłowym lub fizycznym, powoduje również rozszerzenie naczyń krwionośnych. Stanowi ona również środek moczopędny.

Jadąc dalej mijamy wielką ciężarówkę wyładowaną po brzegi bananami, podobno większość bananów z Flores jedzie na Bali, gdzie praktycznie nie ma bananowców.

Im wyżej jesteśmy w górach, tym coraz bardziej robi się wilgotno i nadciąga mgła. Ludzie poubierani w puchowe kurtki i czapki lub okrycie grubymi sarongami. Pojawia się i las deszczowy z drzewiastymi paprociami. Mijamy wioskę, w której na bardzo dużą skalę produkuje się tutejszy bimber zwany arakiem. Kierowca zawozi nas do jednej z rodzin, która na swoim podwórku ma sporych rozmiarów maszynę do destylowania alkoholu. Od miejsca gdzie znajdują się kociołki w których waży się mikstura odchodzą długie kilkumetrowe rury przez które sączy się alkohol i na końcu rury spływa do butelki. Przed każdym domostwem stoją plastikowe butelki z różnie rafinowanym arakiem. Zakupujemy sobie jedna taką butelkę na wieczorne próbowanie.

Popołudniu docieramy do Bajawy. Tutaj kończy się Manggarai, a zaczyna Ngada. Rejon ten zamieszkały jest przez lud Ngada, który ma bardzo interesujące tradycyjne wioski i zwyczaje. Bajawa to jeszcze większa dziura niż Ruteng, toteż zwiedzenie jej nie zajmie nam dużo czasu. Plusem jest to, że hotel jest nie drogi, a pokój bardzo przyjemny, choć mieszka w nim oczywiście mały gekonek. Nasz kierowca, znika gdzieś informując, że przyjedzie po nas jutro rano.

Pierwsze kroki w tej miejscowości kierujemy na targ. W końcu trafiamy na targ z prawdziwego zdarzenia. Mnóstwo różnych egzotycznych owoców, których jeszcze nigdy nie próbowaliśmy, a i ceny bardzo małe. Tutaj nikt nie próbuje nas nawet naciągnąć. Postanawiamy spróbować m.in. papai, wodnych jabłuszek i markiz, znanych pod nazwą passiflora. Targ jest bardzo kolorowy i tętni życiem w najlepsze. Podzielony jest tradycyjnie na obszary, które specjalizują się w sprzedaży danego asortymentu, czy to jedzenia, czy ubrań itp. Można tu spotkać nawet żywe kury i koguty, które zapewne wkrótce trafią na czyjś stół. Tłum kupujących kłębi się i cały czas coś kupuje. Ciekawostką jest to, że owoców czy warzyw nie kupuje się na wagę, tylko na kupki. Każdy rodzaj owoców jest posegregowany na kupki i cena obowiązuje za daną kupkę. Fajnie wygląda cały targ jak owoce i warzywa poskładane są na małe kupki po kila sztuk. Na dodatek znajduję na targu pomidory o średnicy 1 cm!!! To dopiero pomidor liliput.

Z targu udajemy się coś przekąsić. Nie możemy się za bardzo zdecydować gdzie iść i jemy to co serwowane jest z przenośnych budek. W jednej jemy zasmażane warzywkę z makaronem w cieście. Przyglądamy się panu, który robi smażone kawałki kurczaka w cieście.

Teraz widać jak dokładnie jest kawałek kości ze skórą obtaczany w cieście aby było go więcej. W innej budce znajdujemy coś w stylu naszych naleśników, ale na dużo grubszym cieście. Próbujemy więc coś takiego z czekoladą, cukrem trzcinowym i orzeszkami. Bardzo smaczne. W tej samej budce sprzedawane są martabaki. Jest to bardzo cienkie ciasto na który wrzuca się mieszankę z warzyw z roztrzepanym jajkiem, następnie zawija się to w prostokąt i smaży na głębokim oleju. Bierzymy na wynos zapakowane w szary papier, a żeby nam się nie rozwaliło, sprzedawca całość spina zszywaczem...

Wracamy do hotelu i robimy ucztę. Na pierwszy ogień idzie wielki zapiekany martabak. Wyśmienity i nawet nie zdążył nam wystygnąć. Ania w siateczce znajduje jeszcze mini sałatkę i zjada ją wraz z martabakiem. W tej sałatce znajduje się miniparyczka, która jest piekielnie ostra i Ania ją przegryza. Po chwili pali ją niczym ogień. Ratujemy Anię naszym kupionym dzisiaj arakiem. Swego czasu dowiedziałam się, że ostrość papryczek może złagodzić jakaś substancja, która znajduje się zarówno w mleku i śmietanie, ale również w mocnym alkoholu. Na początku Ania nie chce tego pić, ale daje się namówić i po paru minutach jest już wszystko w porządku. Ostry smak został zniwelowany przez alkohol. Po kolacji przychodzi czas na owoce. Co jeden to lepszy. Wodne jabłuszko smakuje dosłownie tak jak jego nazwa – niczym woda, ale smaczne. Po przekrojeniu markiz, łyżeczką wyciągamy szarą zawartość – wygląda mało apetycznie niczym smarki. Jednak gdy smakujemy okazuje się być bardzo słodkie i smaczne. Nazwa smarki, jednak pasuje do tego owocu jak ulał. Ja zachwycam się jeszcze pomarańczowym mięszem papai. Normalnie niebo w gębie. W między czasie testujemy arak, który pijamy z okrągłych łupek – kieliszków, które powstały z markiz.

Na dworze robi się coraz chłodniej, temperatura spada do około 18 stopni, a nad osadą widać dość wysoki wulkan mający ponad 2 tys. m, który tonie gdzieś w chmurach.

13.07.2008 (niedziela)

Pobudka o 7:15. Na śniadanie dostajemy spalone i odymione naleśniki, a także rozwodnioną herbatę. Okropne to śniadanie. Ale skoro nie ma nic innego na początek czymś trzeba się zapchać.

Kierowca przyjeżdża dzisiaj punktualnie, chociaż ku mojemu zdziwieniu jego stan licznika wskazuje, że nocą przejechał około 200 km!!! Ciekawe gdzie pognał, bo po tych fatalnych drogach 200 km to naprawdę wielki dystans. O 8 ruszamy do tradycyjnej wioski Bena. Jedziemy strasznie wolno, przez gęste mgły, góry, las deszczowy. Mijamy wioski, gdzie ludzie idą do lub z kościoła, bo to dzisiaj niedziela. To kościołów ciągną całe wioski. Zjeżdżają z mniejszych miejscowości grupami w ciężarówkach. Po prawie godzinie meczącej jazdy dojeżdżamy do wsi Bena, ukrytej w górskiej dolince, wśród gęstego lasu deszczowego, wszystko spowite jeszcze poranną gęstą mgłą.

Ogromne wrażenie robi na nas wieś Bena, wygląda jakby pochodziła z zamierzchłych czasów. Wszystkie domy są bardzo tradycyjne, kryte strzechą, jest tu wiele charakterystycznych dla Ngada elementów. Najbardziej typowe są parasolowate ngadhu, czyli symbole przodków męskich. Oprócz nich są również symbole przodków żeńskich, zwane bhaga, oraz peo, strzeliste megality symbolizujące przyszłe pokolenia i służące jako rytualne ołtarze podczas licznych ceremonii. Dla wielu ludów indonezyjskich, w tym Ngada, wielkie znaczenie ma wciąż kult przodków. Na środku wsi znajduje się plac z grobami oraz wspomnianymi już megalitami. O zamożności mieszkańców poszczególnych chat świadczy ilość rogów bawoła umieszczonych na rusztowaniu przed domem. Życie toczy się tutaj powoli – jeden stary człowiek popala sobie tytoń, kobiety sprzedają laski wanilii potencjalnym turystom, lub leżą na werandach swoich chat i np. iskają się, dzieci biegają po wsi. Możemy dowolnie spacerować po tej niedużej wiosce i robić zdjęcia, wcześniej tylko

trzeba wpisać się do księgi i wpłacić symboliczny datek co łaska. Po 40 minutach plątania się po wsi wracamy do naszego jeepa. Stąd ruszamy do Maopongo – do rodziny Marsiego. Już nam nie wypadło odmówić, tym bardziej, że Marsi w kółko do nas wydzwania. Nawet wczoraj dzwonił i rozmawiał z naszym kierowcą aby uzgodnić drogę dojazdu do Maopongo. Kierujemy się na południowe wybrzeże, czasami droga to iście specjalny odcinek z przeszkodami w postaci braku asfaltu, a istnienie dużej dziury w drodze. Za oknem sielskie krajobrazy, co chwilę widać moje ulubione bawoły wodne. Z racji tego, że jest dzisiaj niedziela, w każdej wsi mijamy odświętnie ubranych ludzi, którzy potem udają się na mecze piłkarskie rozgrywane na tutejszych boiskach.

Po pewnym czasie jazdy, trafiamy do miejsca, gdzie ku naszemu nieszczęściu kończy się droga. Powinien być most na rzeczce, ale jest zwalony do rzeki. No to klops i koniec drogi do Maopongo. Chcemy dzwonić do Marsiego, aby dowiedzieć się co dalej, ale kolejna niespodzianka nas czeka w postaci braku zasięgu telefonii komórkowej. Po chwili zbiega się tłumek miejscowych ludzi. Nasz kierowca z nimi rozmawia. Okazuje się, że dwa mosty prowadzące stąd do Maopongo są zerwane przez ulewne deszcze dobry rok temu... o czym zapomniał napomknąć naszemu kierowcy Marsi. I to 15 km od celu. Ale co to dla zaprawionych w takich sytuacjach Indonezyjczyków. Właśnie z drugiej strony rzeki przyjechała ciężarówka, z której wysypali się ludzie, oczywiście my staliśmy się środkiem zainteresowania. Wraz z ludźmi w ciężarówce jechał koń, a na dachu koza. Jak to się wszystko zmieściło to nie wiem. Po chwili sytuacja zostaje rozwiązana. Mamy zorganizowane 4 motory z kierowcami, którzy zawiozą nas do Maopongo. Nasz kierowca poczeka w tej wiosce, zanim wrócimy.

Przed nami roztacza się 15 km szaleńczej jazdy motorami. Pomykamy raptem 60km/h, ale jakoś nie jestem przyzwyczajona do jazdy tym środkiem lokomocji i jakoś dziwnie się czuję. Jednak dookoła przepiękne krajobrazy. Z jednej strony wybrzeże z czarnym piaskiem na plaży, z drugiej zieloniutkie pola ryżowe z bawołami wodnymi, gajami palmowymi i bananowymi, a w oddali rozciągają się góry. Raj na ziemi. Motory mkną, dojeżdżamy do Maopongo, ale kierowcy się tutaj nie zatrzymują tylko jadą dalej. Pniemy się w górę drogi do deszczowego lasu. Miejscowość została za nami, czuję że ktoś tu się nie do końca dogadał. Ciekawe gdzie oni nas wiozą. Miejscowa ludność pokazuje kierowcom drogę. W końcu jesteśmy w lesie deszczowym i droga do domu rodziny Marsiego prowadzi w las. Motory nie mogą sobie poradzić z błotem, więc postanawiamy przejść się pieszo. Z domków wychodzą ludzie i pokazują gdzie jest dom ojca Marsiego. Ups, chyba wysłali nas do domu, w którym mieszka mama Marsiego. Mieliśmy być w Maopongo u brata – Kazimirusa, jesteśmy w lesie deszczowym u mamy Marsiego. Imię brata Marsiego brzmi znajomo, bo z racji, że są katolikami używają imion łacińskich.

Dom mamy Marsiego mimo, że praktycznie na końcu świata jest najładniejszy – murowany i z cegły. W środku białe pomalowane ściany, podłogi w kafelkach, kanapa i fotele bambusowe. Jak na miejsce w środku tropików to szczyt luksusu.

Po chwili z domu wychodzi starsza kobieta – jak się domyślamy to właśnie mama Marsiego. Schodzi się kilka osób ze wsi, ale nikt nie mówi po angielsku. Mamy więc kolejny kłopot. Siedzimy w saloniku i próbujemy dowiedzieć się gdzie mieszka Kazimirus. Oczywiście brak zasięgu, aby zadzwonić do Marsiego. Musimy tym razem użyć naszego słownika z rozmówkami polsko – indonezyjskimi. Ale do bani z takimi rozmówkami, aby coś znaleźć w nich trzeba się sporo naszukać, a tego co potrzebne nie ma. Za to pytania gdzie jest teatr, albo opiekunka do dziecka są... tylko po co nam takie zwroty w środku lasu deszczowego??? W końcu po wielu trudach udaje nam się ustalić, że Kazimirus rzeczywiście mieszka w Maopongo. W tym czasie pojawia się jeszcze inny brat Marsiego, który bardzo słabo zna angielski i też sobie niestety nie pogadamy. Siedzimy jak na tureckim kazaniu – my gapimy się i uśmiechamy do Indonezyjczyków, a oni robią to samo.

W pewnym momencie do domku wchodzi strasznie obdrapany gość. Ręce i nogi całe w strupach. Jak nic przeżył niedawno wypadek. I jakby nic zaczyna mówić do nas po niemiecku. Paweł w ekspresowym tempie przypomina sobie ten język i zaczynamy powoli się dogadywać. Okazuje się, że parę lat studiował w Bonn filozofię, a teraz jest docentem na jednej z uczelni na Flores. W chwili obecnej przebywa w Maopongo na urlopie, i niedawno miał kraksę na motorze, stąd tak wygląda.

Zostajemy poczęstowani herbatą i kanapeczkami. Rodzina Marsiego chce abyśmy zostali na większym posiłku, ale niestety kierowcy motorów na nas czekają nie mówiąc już o kierowcy jeepa, który został jakieś 20 km stąd i też na nas czeka.

W między czasie mama Marsiego przebiera się w odświętny strój, a ja i Ania dostajemy na pamiątkę czarno – żółte grube sarongi. Mama Marsiego jak widać też żuje betel, bo usta i zęby są całe czerwone.

Po chwili w domku zjawia się Kazimirus wraz z żoną i dzieckiem, tak przez nas wyczekiwany. Rety, jaki podobny do Marsiego. A tu kolejna niespodzianka – praktycznie nie mówi po angielsku, ale za to zna polskie słowa – dziękuję, herbata. Zna je z pobytu w Polsce, gdy odwiedzał swojego brata. Marsi oczywiście dalece przesadził ze znajomością języka angielskiego swojego brata, nie mówiąc już o tym, że nie wspomniał o zerwanych mostach. Takie małe drobiazgi...

W końcu przychodzi czas się zegnać. Robimy z całą rodziną Marsiego pamiątkowe zdjęcia przed domem z zamiarem wysłania ich po powrocie. Poznajemy na koniec również siostrę Marsiego. Jeszcze trochę i poznamy całą rodzinę, bo Marsi ma dwóch braci i cztery siostry.

Wracając co chwilę ktoś nam macha. Tutaj raczej rzadko zagląda turysta. Wraz z nami na swoim motorze jedzie Kazimirus z żoną i dzieckiem. Po drodze zatrzymujemy się na plaży z czarnym piaskiem, którego oczywiście muszą trochę nazbierać do woreczka. Ciekawy ten piasek, bo bardzo ciężki, nie mówiąc już jak pięknie mieni się w słońcu. Potem robimy jeszcze mały postój na polu ryżowym, gdzie też parę źdźbeł ryżu wrywam. Tym razem mam już kwiat, łądogę i korzeń. Tego ostatniego zabrakło mi gdyby byłam w Chinach i moja siostra była niezadowolona. Tym razem jest w całości wszystko, niczego nie brakuje.

Wracamy – jest pięknie. Ponadto obietnica spełniona. Rodzina Marsiego odwiedzona. Docieramy do naszego jeepa i żegnamy się z Kaizimirusem. Ponadto z nad zerwanego mostu macha nam pół okolicznej wioski.

Stąd jedziemy do Wogo, kolejnej tradycyjnej wioski. Przypomina trochę wioskę Bena, ale już nie ma tego klimatu. Jest ponadto większa. Na środku wioski również znajduje się plac z grobami i megality. Wpisujemy się do księgi wioski, dokonujemy wpłaty za zwiedzanie i ruszamy po wiosce.

Zostajemy zaproszeni do jednej z chat na kawę. Kobieta mówi trochę po angielsku. Wchodzimy do chaty, a tam klepisko z ogniskiem, na nim kociołek, w którym gotuje się woda. Dookoła ogniska biegają małe kacuszki i cud że się jeszcze nie upiekły od ognia. Obok tej kuchni i pokoju zarazem, znajduje się pomieszczenie gospodarskie dla zwierząt domowych. W pomieszczeniu panuje dość mocny półmrok. Dobrze, że pali się ognisko, bo przynajmniej coś widać. Jak ci ludzie mogą tak żyć. Przypomina mi to nasz polski Biskupin. Skansen jak nic. A tu proszę mimo XXI wieku ludzie mogą żyć w takich warunkach.

Pijemy kawę, ale ma aromat! To chyba najlepsza kawa jaka do tej pory tutaj piliśmy. Robimy zdjęcia, dajemy datek kobiecie z chaty i wracamy do jeepa.

Obieramy kierunek powrotny do Bajawy. Przez cały dzień przejechaliśmy około 100 kilometrów. Po powrocie najpierw udajemy się na bazar zakupić pieprz, markizy i tzw. jackfruta czyli chlebowca. Później ja i Paweł idziemy do miejscowego warunku cos przekąsić. Jednak w owym warunku nie ma żadnych cen, więc wskazujemy sprzedawcy na chybił trafił, to co ma w miskach. Toteż na naszych talerzach ląduje niezły misz masz: ryż,

sadzone jajko, mielony kotlecik z ziemniaka, makaron z warzywami, zielona sałatka i coś „dziwnego”. Nie możemy za bardzo rozszyfrować tego czegoś. Jedyne co mi przychodzi do głowy to „hati”... czyli wątróbka!!! Jakaś taka dziwna, ale warzywo to, to nie jest. Od razu robi nam się niedobrze. Zjadamy wszystko oprócz tego przypominającego nam bliżej nieokreślony fragment mięsa. Co jak co, ale koszt tego obiadu powala na nogi – za dwie osoby raptem 2 dolary.

Po drodze do hoteliku zaglądamy jeszcze na lokalny cmentarz. Dookoła groby obłożone kolorowymi kafelkami i oczywiście ze znajomo brzmiącymi imionami. W Polsce mamy raczej groby stonowane, a nie jak tutaj różnokolorowe z równie kolorowymi obrazami.

W hotelu prądu jeszcze nie ma, zresztą jak w całej osadzie. Pojawia się dopiero około 18, ale pochodzi z hotelowego, głośno terkoczącego generatora.

Próbuję walczyć z prysznicem i umyć włosy w lodowatej wodzie, bo wczoraj co tu dużo mówić stchórzyłam. Masakra. Mam wrażenie, że lodowata woda wwierca mi się w mózg.

Koło 19, pora znowu coś zjeść. Cała osada tonie w ciemnościach. z różnych miejsc dochodzi dźwięk generatorów i tylko tam jest światło. Na ruchomych straganach światło pochodzi ze świeczek lub naftowych lamp. Trafiamy oczywiście do budki z martabakiem, potem kupujemy kilka kotlecików z ziemniaków oraz smażone banany i w hotelu robimy sobie ucztę popijając arakiem z kieliszków zrobionych z markiz. Dzisiaj nikt nie przegryza małej ostrej papryczki. Ania już zawczasu wyrzuca piekielną sałatkę.

W pewnej chwili pojawia się nasz kierowca, który załatwia swojemu teściowi pokój, bo przyjechał do Bajawy na wyścigi koni. Jaka ta wyspa mała. Wszyscy się znaj, albo spotykają w różnych miejscach wyspy. Dzisiaj otrzymujemy również telefon od Marsiego, ze wie, że odwiedziliśmy jego rodzinę i że byliśmy tam... TYLKO godzinę...

Z racji barku prądu Internet w hoteliku też nie działa, na co łapią się zagraniczni turyści, którzy raz co raz przychodzą do hotelu aby skorzystać z tej dobroci techniki.

Przy huku działającego generatora idziemy spać. Ania i Bartek ze stoperami w uszach, bo ich pokój graniczy z generatorem. Tak... a mi przez ostanie dwie noce przeszkadzało kapanie wody w łazience, a co dopiero chodzący głośno generator prądu...

14.07.2008 (poniedziałek)

W nocy dwa gekony biegają po ścianach i „rozmawiają” ze sobą mam wrażenie, że trwa to całą noc. Nad ranem jest już cicho, tylko spod listew pod sufitem wystają dwa gekonie ogony.

Wstajemy wcześniej bo około 6 rano. Na śniadanie jemy dzisiaj tosty z jajkiem sadzonym, lepsze to niż wczorajsze odymione naleśniki. Herbata też dzisiaj lepsza niż wczoraj.

Wyjeżdżamy o 7:30, trochę później gdyż nasz kierowca pomaga innemu jeepowi ruszyć, ale wysiłki idą na marne, bo samochód postanawia nigdzie dalej nie jechać.

Opuszczamy Bajawę. Dzisiaj przy poniedziałku na ulicach spotkać można dzieci idące do szkoły, ubrane w śnieżnobiałe koszule i bordowe spodnie lub spódnice. Na każdym skrzyżowaniu Bajawy stoi dwóch policjantów kierujących ruchem

Jedziemy około 40 minut i wysiadamy przy gorących źródłach. Jak pisze w przewodniku jest to podobno jedyne miejsce na Flores, gdzie można wykąpać się w ciepłej wodzie, bo normalnie w kranach jest tylko zimna woda, o czym już mieliśmy okazję się przekonać. Miejsce jest fenomenalne. Basen gorącej wody oceniony jest przez konary wielkich drzew. Strumieniami woda rozplywa się z tego naturalnego basenu w inne strony łącząc się ze sporym potokiem w którym też jest gorąca woda. Nad całym obszarem unosi się lekka mgła, bo woda jest znacznie cieplejsza od powietrza i paruje. Myślę, że woda ma gdzie

około 35-40 stopni. Nie możemy tego sprawdzić magicznym termometrem Bartka, bo chyba zeszłego wieczoru został zgubiony. Wydajność źródeł też musi być bardzo duża, bo ilość wody wypływająca jest imponująca. W tym naturalnym zagłębieniu jest sporych rozmiarów „bulgot” kiedy się tam dojdzie, czuć, że woda z głębi ziemi wydobywa się dużym strumieniem. Jest niczym wartka rzeka.

W pewnej chwili do źródła przychodzi może 3-4 letni chłopiec, który zażywa kąpieli bacznie nas obserwując. Zamiast mydła używa kamienia. Kiedy przyglądamy się brzegom basenu, okazuje się iż takich kamieni – mydeł znajduje się tu całkiem sporo. Kiedy chłopiec jest cały umyty wraca do domu.

Kiedy tak siedzimy w tej ciepłej wodzie, czujemy się trochę jak w saunie. Miło i ciepło. Po chwili przychodzi kolejna para dzieci, która też używa do mycia kamieni. Natomiast nad potok przysły dwie kobiety które najpierw kąpią się, a potem zabierają się za pranie.

Chwilę po 9 ruszamy dalej w drogę do Riungu. Droga do tego miejsca prowadzi makabryczna. Nie dość, że wąsko, to zamiast asfaltu są wielkie dziury lub wyboje. Na wyspie Flores praktycznie nie jeździ się nocą. Zakręt za zakrętem, nie wiadomo co może być za nim, stąd też mieszkańcy przed zakrętem trąbią ile wlezie. Poza tym jeśli kierowcy chcą kogoś puścić z tyłu lub z przodu na ciasnej drodze, to wtedy dają znać prawym światłem migacza. Podobnej drogi jak ta dzisiejsza to jeszcze nie widziała. Jedziemy wręcz w żółwym tempie. Droga dłuży się niemiłosiernie. Jedziemy i jedziemy. Dwa razy są w niej tak potężne dziury, więc aby nie uszkodziły samochodu musimy wysiąść z samochodu, aby zmniejszyć obciążenie. Stefano też ma dość tej jazdy i mówi nam, że to ostatni raz kiedy tędy jedzie. Sam nie wiedział, że jest tu tak fatalny stan drogi. Po drodze mijamy stadka koni i bawołów wodnych. Zatrzymujemy się na lokalnej stacji benzynowej, gdzie nie ma dystrybutorów. Paliwo leje się z kanistrów przez lejek i rurkę do baku samochodu czy motoru. Paweł trzyma lejek i rurkę, a Stefano wlewa paliwo do samochodu.

W końcu przed 12 docieramy do Riungu po przejechaniu prawie 90km. Oczywiście wioska to jeszcze większy koniec świata niż Bajawa. Im dalej na wschód tym coraz bardziej robi się prymitywnie. Prąd również tylko wieczorem.

Gdy przyjeżdżamy do Riungu właśnie kończy się cotygodniowy wielki targ. Najpierw jedziemy do miejsca, gdzie hotel mają misjonarze, ale jest drogi. Tutaj oczywiście Stefano spotyka kolejnego swojego znajomego. Kwaterujemy się w bungalowach Nirwana. Właściciel oczywiście wygląda jak reggae-man. W odpowiedniej koszulce, na której widać, iż jest miłośnikiem muzyki reggae i „trawki”. Zresztą nazwa miejsca – Nirwana też chyba świadczy o właścicielu.

Bungalowy są bardzo ładne. Zbudowane głównie z drewna i bambusa. Nad łóżkiem wielka moskitiera, więc spać będzie można spokojnie, na podłodze wszędzie kafelki i stojący wiatraczek, gdyby było za gorąco. Łazienka to przybudówka to każdego bungalowu – z której przez to, że nie ma dachu można podziwiać dowolnie np. gwiazdy nocą. W całym kompleksie w każdym miejscu można natknąć się na muszelki i wielkie muszle. Właściciel poukładał je wszędzie i przy alejkach i przy wejściach do bungalowów czy też w łazienkach. W Riungu ma też być polski ksiądz, ale oczywiście go nie ma, bo jest gdzieś w trasie.

Zostawiamy bagaże i udajemy się na przystań. Bardzo szybko zostaje nam zorganizowana wyprawa na morze wraz z obiadem. Osada przy przystani wygląda jeszcze bardziej żałośnie niż budynki we wsi. Wszystkie domy są tu na palach i właściwie chylą się ku upadkowi. Każdy z nich ma całkiem spory przechył. Trwa akurat odpływ więc cała zatoka jest bez wody, za to po małym błocie biega mnóstwo małych karbików. Są ich tysiące.

Już o 12:30 odpływamy łajbą na archipelag tzw. 17 wysp. Notabene jest ich więcej niż 17, ale nazwa została nadana z okazji Dnia Niepodległości tego państwa przypadająca 17 sierpnia. Mniejsze wyspy tego archipelagu to nic innego jak skaliste wysepki, tylko większe z nich pokryte są trawą, palmami czy zaroślami mangowymi. Oczywiście tylko na kilku z nich

znajdują się wioski składające się dosłownie z kilku chat na palach. Morze Flores jest bogate w rafę koralową, można tu znaleźć wiele ciekawych gatunków kolorowych ryb.

Naszą łajbą płyniemy około pół godziny. Na wyspę Ontoloe (największa w całym archipelagu), gdzie naszym oczom ukazują się zarośla mangowe, na których wiszą latające lisy. Jest ich niezliczona ilość. Gatunki zaliczane do tego rodzaju są największymi nietoperzami na świecie. W odróżnieniu od pozostałych nietoperzy nie ma zmysłu echolokacji, więc nie potrafi latać w całkowitej ciemności. Ma za to świetny słuch i wzrok. Długość ciała (głowa i tułów) 40 cm. Rozpiętość skrzydeł może osiągnąć maksymalnie 180 cm. Zwany potocznie także nietoperzem owocowym, latającym lisem malajskim. Żywią się kwiatami, nektarem i owocami. Odpoczywają w dużych stadach uwieszone na gałęziach, z głową skierowaną w dół. Nazwa latający lis wzięła się z tego, że głowa tego nietoperza do złudzenia przypomina głowę lisa.

Wszystkie drzewa dookoła obwieszane tymi zwierzętami. Myślę, że chyba nawet tysiące sztuk spędza tu swoje życie. Słychać spory jazgot, który wydają te nietoperze. Część z nich lata. Rzeczywiście wielkość mają imponującą. Czuję się tak jakbym cofnęła się do czasów prehistorycznych niczym park jurajski. Niesamowicie wyglądają te zwierzęta.

Z tego miejsca płyniemy na inną wyspę. Fala jest dość spora i co chwilę rozbryzguje się o burtę stateczku. Toteż po chwili jesteśmy cali mokrzy. Nie bardzo podoba mi się to i już wolałabym być na wyspie. Kiedy docieramy na piaszczystą plażę, zdecydowanie czuję ulgę. Paweł z Bartkiem pływają szukając rafy koralowej i rybek.

Właśnie trwa odpływ i w płycznach gdzie zostało trochę wody można natknąć się na kolorowe rozgwiazdy lub kolczaste jeżowce. Oczywiście wraz z Anią szukamy muszli, ale trudno nam to idzie, bo nie ma ich tyle ile byśmy chciały. Natomiast nasz gość od łajby zabrał się za przyrządzanie dla nas na ognisku obiadu z wielkich ryb. Cokolwiek to jest za ryba, jest wielka. Ryby zostają przez niego wypatroszone prosto do morza. Natomiast potem dalej się pieką na ognisku. Kiedy jest gotowe zabieramy się do jedzenia. Pycha. Najpierw zupa z odłankami kostnymi kurczaka, a potem te dwie ryby, które przyrządzone w przyprawach mają smak i aromat niesamowity. Nawet ja to mogę powiedzieć, chociaż za rybami nie przepadam i co ciekawe podczas tego grillowania nawet się nie skurczyły. Ilość mięsa jest więc niebotyczna. Tyle jeszcze tego nie było odkąd zjawiliśmy się w Indonezji.

Jak już wcześniej pisałam zaczął się odpływ i na dwie pobliskie wyspy można spokojnie dojść pieszo, co też z Anią czynimy, bo może akurat tam znajdziemy muszle. Brodzimy w wodzie i roślinach uważając żeby nie nadepnąć na jakieś rozgwiazdy czy jeżowce. Pierwsza wyspa – bliżej położona jest świetna. Znajdujemy sporo muszelek. Wchodzimy do trzech jaskiń, w których jest całe mnóstwo muszli pozapychanych przez morskie fale. Na dodatek widzę ogromne – wielkości dłoni - kraby uciekające, kiedy my się pojawiają. Kilka sekund i już nie ma żadnego z nich.

Ja spełniam swoje jedno marzenie z dzieciństwa. Chodząc wśród kamieni dostrzegam śliczną muszelkę – porcelankę. Zawsze chciałam taką znaleźć osobiście. Teraz to się udało. Moja radość nie ma granic.

Idziemy dalej z Anią na drugą wyspę. Jest dużo dalej i trochę czasu to nam zajmuje. Docieramy na miejsce, ale już nie jest taka ciekawa jak ta pierwsza. Muszli nie ma. Za to na wyspie grasuje ptactwo, które w płytkiej wodzie wylapuje swoje przysmaki. Na koniec Ania dostaje od właściciela łodzi podobną do mojej – muszle porcelankę. Jedyne problem jest taki, że niestety ma w środku mieszkańca.

Wracamy łodzią do Riungu. Morze tym razem jest już spokojne i już nas fale nie oblewają. Na przystani wysiadamy o 17:30. Wracamy drogą idącą prostopadle od przystani, która tonie w kolorowym świetle zachodzącego słońca. Nawet ledwie trzymające się chatki wyglądają teraz dużo lepiej.

W Nirwanie pokazują nam przepiękne ogromne muszle, jednak ich cena jest oszałamiająca - około 200 000 Rp za jedną sztukę.

Wieczorem udajemy się do jedynej knajpki w Riungu. Wiele do wyboru nie ma. Czekamy na naszą kolację przyglądając się kilkunastu gekonom buszującym po suficie. Z wielkim zapałem uczują przy zaświeconych żarówkach, gdzie kłębią się różne owady zwabione promieniami światła.

Wieczorem kiedy siedzimy na tarasie bungalowa dostrzegamy na daszku siedzącego dużego gekona – jakieś 30 cm długości. Tylko łypie na nas swoimi dużymi, czarnymi oczami. Bartek próbuje coś zrobić ze swoimi i Ani muszlami. W wielkim baniaku zalewa jest środkiem ala domestos. Nie chce aby zaśmierdły, a zwłaszcza porcelanka ze ślimakiem. Ja swoje muszelki cały czas wietrzę. Zbieram nowe, ale zawsze pierwsze co robię kiedy mamy już hotelik, to wyciągam je i wietrzę, żeby nie śmierdziały. Tak samo robię z przyprawami. W między czasie mojej siostrze udaje się do mnie zadzwonić. Śmiesznie się rozmawia, kiedy głos potrzebuje więcej czasu na dotarcie do rozmówcy. Dobrze, że jakoś się rozumiemy.

Nadchodzi koniec dnia i idziemy spać. Nasz kierowca też, ale gdzie to nie wiemy, bo w Nirwanie nie.

15.07.2008 (wtorek)

Wstajemy tuż przed 8 rano. Moje pranie wyschło na wiór. Na dodatek jest czyste, nie to co Ani i Bartka. Oddali w poprzednim hotelu rzeczy do prania i dostali je dalej brudne, tyle, że przepłukane. Na dodatek zapłacili za to dość słono. Tutaj ludzie w pralkach nie piorą, bo w ciągu dnia nie ma prądu, więc pranie robi się tylko i wyłącznie ręcznie. Jakby tego było mało okazało się, że jedną koszulkę Ani zgubili. Dostali za to bonus w praniu całe 2500Rp czyli na nasze... 50 groszy!!!

Po śniadaniu, na które składały się oczywiście naleśniki z bananem o 8:45 wyjeżdżamy z Riungu. Najpierw droga prowadzi wzdłuż wybrzeża. Stefano wcale się nie odzywa, to sprawa drogi, która roztacza przed nami swoje wyboje. Kierowca chyba żałuje, że wybrał się z nami w tę podróż. W ciągu 2 godzin udało nam się przejechać 30 kilometrów!!! Masakra. Dziura goni dziurę. Jedziemy przez teren, który w 1992 roku został nawiedzony falą tsunami o wysokości 20 metrów. Cały czas jeszcze widać zniszczenia jakie ta fala uczyniła. Ludzie mieszkają w chatkach o wątpliwej konstrukcji. Cały teren pokryty jest raczej roślinnością trawiastą, raz na jakiś czas pojawiają się drzewa,. Trochę tak jakbyśmy byli w Australii.

Po przejechaniu tego odcinka specjalnego dojeżdżamy do głównej drogi. Uff teraz pomkniemy. Stefano naciska pedał gazu i możemy pruć prawie jak strzała. Dojeżdżamy do Ende, które jest jednym z dwóch głównych miast wyspy Flores. Ponadto wjeżdżamy do kolejnego regionu wyspy Flores, który nazywa się tak samo jak główne miasto. Ma ono zdecydowanie islamski charakter. Przez pewien czas w Ende na wygnaniu przebywał Sukarno, później zaś zostało ono zbombardowane przez aliantów. Dzisiaj handel w mieście opanowali głównie Chińczycy.

W Ende zatrzymujemy się w warunku na obiad – dwa mielone kotlety ziemniaczane, kawałek suszonej wołowiny, sałatki i za to wszystko wraz z coca colą 22 tys. rupii za osobę. Na razie to najlepszy warunek w jakim jedliśmy.

Jedziemy dalej do tzw. blue stone, czyli miejsca nad morzem, gdzie fale wyrzucają różne kamienie głównie niebieskie, zielone i fioletowe. Ludzie zajmują się zbieraniem tych kamyków i sortowaniem w zależności od koloru i wielkości. Następnie kamienie te są sprzedawane jako materiał ozdobny do wykańczania domów.

Do Moni dojeżdżamy około 16 po przejechaniu prawie 200 km. Nie trzeba się domyślać, że Moni to jeszcze mniejsza wioska niż te do tej pory. Droga przez centrum osady

liczy sobie 500m. Ot i cała wieś. Jednak ma więcej hotelików i restauracji niż poprzednio. Jest to spowodowane tym, że z tego miejsca jest już niedaleko na sławny wulkan Kelimutu.

Po przyjeździe kwaterujemy się w tanim hoteliku Watugana, który ma tylko 5 pokoi. W pierwszej chwili nie wygląda na hotelik, bo jest to barak przykryty blachą. Obok za bambusową ścianką mieszka cała rodzina właścicieli hoteliku. Przeglądamy tutejszą księgę gości i znajdujemy informację, że polski podróżnik Wojtek Dąbrowski również tu nocował kilka miesięcy temu.

Rozlokowujemy się, a potem ruszamy zobaczyć całą wioskę. Najpierw idziemy nad wodospad, a potem przechodzimy całe 500 metrów głównej ulicy. Ludzie zajmują się np. praniem w małym strumieniu. Kobiety w Moni we włosach mają wczepione grzebienie. Ciekawa sprawa. Z jednej strony element dekoracyjny, a poza tym w każdej chwili można się poczesać. I koniec, bo dochodzimy do miejsca gdzie stoją rusztowania ze straganów, na których raz w tygodniu odbywa się targ. Właściwie po pół godziny znamy już całą osadę. Nie ma już nic więcej do zobaczenia. Nasz kierowca myje swoje auto. My siedzimy pod blaszanym dachem naszego hoteliku, zapada zmrok, siedzimy więc przy świeczkach i czekamy, aż z generatorów będzie prąd. Kiedy pojawia się około 18:30 to znak aby pójść coś zjeść. Naprzeciw hoteliku jest restauracja Bintang – tak samo jak nazwa piwa. Nasz kierowca też tam już jest. Trochę tu zimno, bo jesteśmy na pewnej wysokości. Miejscowa ludność zakutana w swoje grube sarongi, więc jest im nawet ciepło. Chociaż poniekąd siedzą w kurtce, czapce i rękawiczkach!!! To już gruba przesada. Chyba nie wie co to znaczy gdy jest zimno. Mógłby spróbować zimy w Polsce. Sami dla rozgrzewki zamawiamy sobie araku, ale jest dużo słabszy niż ten, który kupiliśmy w jednej z wiosek. Szybciej ogrzewamy się herbatą z limonką, a na obiad jemy ryż z warzywami i jakby nie było sadzonym jajkiem, krupkami (czyli prażynkami) i sałatką. Natomiast Paweł je makaron z sosem pomidorowym.

O 20 jesteśmy z powrotem w naszym hoteliku. Siedzimy pod zadaszeniem, a co chwilę przelatuje pod nim nietoperz oraz lata żuk który wydaje dźwięki niczym bombowiec. Zresztą ma swoje dość znaczne rozmiary. W nocy musimy się nastawić na rozmowy gekona, bo oczywiście jeden jest w naszym pokoiku. Siedzimy tak i rozmawiamy, bo nic innego nam już dzisiaj nie zostało do roboty.

W pierwotnych planach mieliśmy wstać nad ranem i o 4 jechać na Kelimutu, ale nam bardziej zależy pięknym widoku już oświetlonego wulkanu i jego wnętrza, niż na wschodzie słońca. Stąd też wyjazd jutro będzie o 8 rano. Przynajmniej się wyśpimy, a i kierowca na pewno jest z tego zadowolony.

16.07.2008 (środa)

Wstajemy o 7:15. Zjadamy śniadanie – naleśnik i sałatkę. Po śniadaniu odwiedzam szkołę obok naszego hoteliku. Taka szkoła znajdująca się przy kościele. Są tam tylko maluchy i w chwili kiedy przychodzą stoją w dwuszeręgu przed szkołą i uczą się piosenki. Z tego jak pokazują wnioskuje, że uczą się piosenki o częściach ciała. Razem z nimi przed szkołą siedzą ich rodzice. Kobiety z kolorowymi grzebieniami we włosach.

W szkole jest tylko jedna sala podzielona na różne strefy np. matematyczną, językową, religijną, gdzie stoją makiety 3 religii Indonezji – kościoła, meczetu i świątyni buddyjskiej. Znowu ta jedność w różnorodności.

O 8 jedziemy około 15 km pod szczyt wulkanu Kelimutu. W jednym z miejsc wchodząc na wulkan jest tablica, która pokazuje jak w czasie zmieniał się kolory wszystkich trzech jezior. Potem czeka nas już tylko jakieś pół godziny marszu pod gór, a dokładniej po kamiennych schodach i jesteśmy w punkcie widokowym.

Wulkan Kelimutu (1640m.n.p.m.) jest sławny ze swoich trzech kraterów na szczycie. W każdym z kraterów jest jezioro o różnym kolorze. Nie przeprowadzono dotąd żadnych

badan naukowych, by wyjaśnić ten fenomen, ale prawdopodobnie wynika to z obecności minerałów w wodzie jezior i zmienia się bardzo w miarę upływu czasu. W tej chwili największe z jezior ma kolor turkusowy, drugie co do wielkości kolor brązowy, a trzecie kolor zbliżony do tego drugiego, ale inny odcień. Jeziora są od siebie oddzielone jedynie niskimi grzbietami. Okoliczni mieszkańcy wierzą. Że w jednym jeziorze żyją dusze czarnoksiężników, w drugim grzeszników, a w trzecim niemowląt i dziewczec.

Z punktu widokowego rozciąga się przepiękny widok na malownicze i kolorowe trzy jeziora wewnątrz krateru. Robimy całą masę zdjęć. Opłacało się pominąć wschód słońca, teraz wszystko już oświetlają promienie słoneczne.

O 10:20 jesteśmy z powrotem pod naszym hotelem. Zabieramy bagaże i jedziemy do Maumere. Droga poprawiła się niesamowicie. Teraz Stefano przyciska gazu ile wlezie. Czujemy się trochę jak worki z kartoflami. Na jawie ruch panował niesamowity, natomiast na Flores samochodów osobowych praktycznie nie ma. Ludzie przemieszczają się transportem zbiorowym za pomocą minibusików – bemo lub ciężarówek. Inna ciekawostka to taka, że w Indonezji nie ma żadnych znaków drogowych. Dosłownie nic. Kilometry do danej miejscowości można odczytać ze słupków na poboczu, ale najpierw muszą tam być, a jak już są to dobrze, żeby napis był czytelny. Kawalek za Moni zatrzymujemy się w tradycyjnej wiosce ludu Liu, a potem dopiero tuż przed Maumere na obiad. Jest to przyjemna restauracyjka z widokiem na morze. Spotykamy tutaj Włoszkę, z którą lecieliśmy na Flores z Denpasaru. Na obiad fundujemy sobie grillowane ryby. Naprawdę dobre, choć nie aż tak jak te na wyspie, robione na ognisku.

Po obiedzie ruszamy znowu dalej. Stefano chce chyba sobie wyrównać wcześniejszy brak możliwości szybkiej jazdy i dalej jedzie jak szalony, tym bardziej, że droga na to pozwala. Siedząc na siedzeniu z przodu nie wiem już czego mam się czepić, żeby mną nie rzuciło. Im szybciej jedzie, tym więcej i dłużej trąbi. Wszystko usuwa mu się z drogi. Ogólnie dzisiaj przez większość drogi wszyscy oprócz mnie śpią. Nie wiem jak to możliwe, że tylko ja nie śpię, tylko zwiedzam. Zresztą od sześciu dni jak jedziemy ze Stefano, to pozostała trójka na okrągło ucina sobie drzemki w czasie jazdy.

Dojeżdżamy do Maumere i na chwilę wchodzimy do hotelu Gardena, bo Stefano chce spotkać się ze swoim znajomym. Fajny hotelik ale zatrzymamy się w nim w drodze powrotnej. W przewodniku znaleźliśmy chatki bambusowe i tam chcemy przenocować. Toteż Stefano wiezie nas jakieś 30 km za Maumere do Wodong.

Maumere to największa miejscowość Flores. Korzysta z rosnącego eksportu kopy i kawy. Do gospodarczego rozwoju miasta przyczynił się Kościół katolicki, który pomagał stworzyć plantacje palm kokosowych i kawy. Miejscowość i pobliskie seminarium duchowne bardzo ucierpiały podczas trzęsienia ziemi w 1992 roku, kiedy fala tsunami zabiła tysiące ludzi na północnym wybrzeżu wyspy. W Maumere na targu spotka się kobiety z upiętymi włosami, odziane w sarongi, jasnozielone albo żółte bluzki i przystrojone rodowymi bransoletkami z kości słoniowej. Powstaje tutaj ikat – wspaniała tkanina – o dużym wyborze kolorów.

Znajdujemy nasze domki o tej samej nazwie co miejscowość. Domki na palach są nad samą plażą – z bambusa, a dach z liści palmy kokosowej, która rośnie tutaj dookoła, albo raczej odwrotnie to domki są właśnie zlokalizowane pod palmami. Fajne miejsce. W chatkach nie da się nabrudzić, bo piasek przelatuje przez cienką bambusową podłogę. Niestety nie ma tu bieżącej wody. Łazienka z osobnym wejściem na tyłach domku, posiada wielki baniak i naczynie do polewania się. Światła brak. Dobrze że mamy latarkę, jakoś będzie można się umyć.

Jeden gość z obsługi nawet wszedł na wysoką palmę kokosowa i zerwał nam dwa gigantyczne kokosy. Wdrapał się na palmę sprawnie niczym małpka. Pozostało nam podelektować się mleczkiem kokosowym pijąc je przez słomkę.

Wieczorem przed zmrokiem na plaży robimy dół i przygotowujemy ognisko. Chodzimy po okolicy i szukamy gałęzi.

Kolację zamawiamy na 19, ale niestety w restauracji pod wiatą przychodzi czekać nam do 20, zanim kolacja się pojawia. Wraz z nami czeka jeszcze pięcioro innych zagranicznych turystów. W końcu jednak przynoszą. Na kolację składa się ryba, ale ta tym razem nie bardzo mi smakuje. Hitem jest chleb z masłem czosnkowym. Wszystko byłoby dobrze gdyby nie był to chleb tostowy na dodatek podany na ciepło. Bartek zamówił sobie bakłażana pieczonego w liściu bananowca, ale niestety jest tak gorzki, że nie da się go zjeść.

W czasie kolacji próbujemy skontaktować się ze Stefano, bo na dobrą sprawę nie umówiliśmy się o której jutro po nas przyjedzie. Niestety ma wyłączony telefon.

Po kolacji wracamy na plażę, aby rozpałcić ognisko. Uff całe szczęście, że ułożyliśmy je dość daleko od brzegu, bo trwa właśnie przypyływ i woda niebezpiecznie zbliżyła się do naszego ogniskowego miejsca. Ognisko miało na celu wypalenie z muszli porcelanki – jej mieszkańca. Niestety ognisko dogasa, a muszli ani śladu. Chyba spaliła się niestety... Idziemy spać...

17.07.2008 (czwartek)

Wstajemy o 8 rano. Całą noc dookoła było słychać gadające ze sobą gekony, szum fal morza z przypyływem. Szybkie mycie, bo przecież prysznic tutaj nie ma i idziemy na śniadanie, na które składa się dzisiaj nic innego jak nieśmiertelny banan w cieście naleśnikowym i herbata.

Na śniadaniu z pobliskiej palmy z hukiem spada kokos. Teraz już wiem dlaczego taki kokos potrafi zabić człowieka. Dobrze, że nie spadł na daszek któregoś z bambusowych chatek. Np. w takiej której spaliśmy.

Próbujemy zadzwonić do kierowcy, ale dalej nie odbiera. Dziwne to trochę. Dzwonimy do gościa z agencji w Labuanbajo, który ma się spróbować ze Stefano skontaktować. O 9 jest już na tyle późno, że postanawiamy iść na drogę i łapać transport w stronę Larantuki. Stojąc na drodze, odbieramy telefon od Tonego z Labuanbajo, który mówi nam iż Stefano ma problem z kołami i je naprawia i do godziny powinien skończyć. Wracamy więc pod wiatę restauracji w Wodongu. W końcu sami dodzwaniamy się do kierowcy, który mówi, że nie przyjedzie bo samochód niby się zepsuł i czeka na części z Rutengu i to może sporo potrwać. Ewentualnie może nas zabrać jutro. Jakoś ciężko nam uwierzyć. Nawiał i tyle. Być może miał już nas całkiem dość, przejechał z nami w sumie około 800 kilometrów. Pał licho straconą kasę, ale czas jechać dalej. Nie pozostaje nam nic innego jak wrócić na drogę i łapać pojazd do Larantuki. Czekamy na busiki. Co któryś przyjeżdża, to niestety jest zapchany na maksa. W końcu jeden jest całkiem pusty, ale chce nas zawieźć za 500 000 Rp, a ostatecznie po targach za 300 000. musi jeszcze tylko zajechać w jedno miejsce, a potem możemy jechać. Jednak po dosłownie 3 minutach pojawia się inny busik z 13 ludźmi, nie jest zapełniony i możemy jechać za 40 000 od osoby. Plecaki lądują na dachu przywiązane linkami i ruszamy. Ciasno w tym busie, że hej. Nie ma co zrobić z nogami, ale grunt, że jedziemy dalej.

Po półtorej godziny mamy przystanek w warungu na jedzenie. Tym razem jemy ryż z wołowiną, jajo na twardo, sałatkę i wszędobyłską colą. Po drodze oglądamy kilka wulkanów, jadąc wybrzeżem widać indonezyjskie wyspy Solor i Adonare. Po kolejnej półtorej godziny i jesteśmy na przedmieściach Larantuki, gdzie znajduje się dworzec wszelkich busów. Na dworcu z jednego nas przerzuceni zostajemy do bemo, które dowozi nas do portu. W porcie następuje mała przepychanka o cenę przejazdu. Gość chce nas skasować za 10 minutowa jazdę po 20 000 Rp (!!!), kiedy dosłownie przed chwilą przejechaliśmy około 100km za 40

000. W końcu staje na 10 000 Rp, ale to i tak za dużo. Bartek i Paweł idą do kas portu sprawdzić promy na Lembatę. Jest dopiero jutro rano o 8. W porcie jest jak na końcu świata. Nikt nie mówi po angielski, a turystów zagranicznych brak.

Larantuka to miasto położone na wschodzie Flores. Przez 300 lat była to portugalska kolonia i tutejsze obrzędy katolickie nadal zdradzają wyraźne wpływy iberyjskie. Podczas procesji wielkopiątkowej mężczyźni w białych kapturach niosą ulicami trumnę Jezusem zatrzymując się przy kolejnych stacjach drogi krzyżowej. W chrześcijańskiej obrzędowości widać elementy lokalnych wierzeń. Przykładem jest choćby obyczaj kąpania posągu Matki Boskiej – podobno znalezionego na plaży.

Wsiadamy więc do kolejnego bemo i z portu dojeżdżamy nim do hotelu Fortuna. Oczywiście kierowca bemo znowu chce z nas zedrzeć, ale mu się nie udaje. Hotelik okazuje się być spelunką, ale do jutra rano jakoś nam wystarczy. Nie ma prysznic i znowu trzeba się polewać czerpakiem. Nie ma też umywalki. Pranie robię więc w wiadrze. W pokoju na wieszaku jest naklejka z kaczołem Donaldem i jak głosi po indonezyjsku napis to „Donald bebek”. Śmiesznie to brzmi.

Wychodzimy z hotelu, aby coś zjeść. Pod drodze spotykamy marne warunki, na dodatek głównie z rybami. Kolacja kończy się ostatecznie na zupie z makaronem. Siedzimy sobie w dość ciemnym baraku przy długim stole z miejscowymi. Masakrują zupę dużą ilością keczupu. Robimy więc to samo, naprawdę wychodzi smaczna mikstura. Aha nie mówiłam o tym wcześniej. Indonezyjczycy używają do jedzenia obiadu łyżki i widelca. Nie ma praktycznie noży. Nawet drugie daje je się trzymając w jednej dłoni widelec, a w drugiej łyżkę. Potem znajdujemy stoisko z martabakiem, a na końcu na targu kupuję papaję, którą zjadamy siedząc przed hotelikiem i zabijając czas pogawędką...

18.07.2008 (piątek)

Noc jedna wielka masakra. O 3:32 budzi mnie głośnie muzyka i odgłosy ludzi. Gdzieś w pobliżu musi trwać w najlepsze duża impreza. Nie da się spać. Po chwili do tego harmidru dołącza poranne pianie kogutów i wyjątkowo szczekający pies. Poranki w Indonezji są strasznie głośnie, w Polsce o tej porze ludzie w najlepsze śpią. Koło 5:30 muzyka zamienia, ale co z tego skoro nasze budziki nastawione są na 6 rano.

Na śniadanie w hotelu odstawiamy najgorsze jedzenie jak do tej pory. Po jednym kawałku zapiekanego banana i ohydne ciasteczko, które smakuje tak jakby jadło się samą mąkę. To ma nam wystarczyć za pożywe śniadanie. Z głodu tu szybciej umrę.

Wychodzimy na drogę, aby złapać bemo do portu. Jedno się zatrzymuje i wsiadamy. W bemo akurat jadą uczniowie do szkoły i... podczas jazdy w najlepsze palą papierosy...

Wchodzimy do portu. Nasz drewniany statek już stoi na nabrzeżu. Pakujemy się na pokład, a plecaki wciskamy do wnęki na dziobie statku. Wszystko musi tu być dokładnie upchane, bo do odplynięcia jeszcze godzina, a cały czas przychodzą nowe osoby z całą masą bagaży. Tak więc z minuty na minutę bagaży na pokładzie przebywa. A jest tu wszystko od worów z żywnością, po zwoje drutów, stopy kartonów, a także kilkanaście motorów. Załadunek trwa i trwa. Zajmujemy miejsca siedzące pod zadaszeniem w dobrym czasie, bo za chwilę nie ma już miejsca i ludzie zajmują to co wolne i gdzie da się sięść.

Wypływamy o 8:35, czyli o całe 35 minut później. Co jest oczywiście normalne. Przed nami około 4 godzin pływania na Lembatę. Po statku krążą lokalni sprzedawcy proponują wodę ciastka i gazety. W trakcie rejsu zbierane są pieniądze za bilet. Po godzinie 10 zawijamy do portu na wyspie Adonara. Postój trwa 20 minut. Szybko i sprawnie są wyładowane rzeczy w porcie. Jak widać wcześniej zostały zapakowane z głową. Towary na Adonarę były z samego brzegu. Po rozładunku nastąpił szybki załadunek nowego towaru i ludzi. W między

czasie zaraz po dobieciu do wybrzeża na statek wskoczyli sprzedawcy tzw. drugiego śniadania. Z wiader sprzedają gotowane jajka, ponadto ryż z makaronem w papierze, a także owoce – niedobre salaki (smakują niczym mydło), wodne jabłuszka czy orzeszki. Posiłam się jajem i ryżem.

Statek odpływa. Bartek od czasu wypłynięcia z Larantuki nawiązuje kontakty z jednym tubylcem mówiącym po angielski i też jedzie do Lamalery.

Chwile po 12 przyływamy do Lewoleby na Lembacie. Dokonujemy slalomu nad motorami i innymi tobołami na statku, przeskakując po ławeczkach itp. Zabieramy swoje plecaki i schodzimy na ląd. Tutaj oczywiście zaraz dopada nas masa ludzi, którzy chcą nas zawieźć na tzw. terminal autobusowy. Najpierw proponują jechać motorami. Nie śni mi się jechać z kierowca na motorze z plecakiem na plecach... wsiadamy więc do bemo i po uzgodnieniu ceny jedziemy na jakieś peryferia osady, gdzie znajduje się tzw. dworzec. Kiedy docieramy na miejsce, a my jeszcze nie zdążyliśmy wysiąść nasze plecaki już zostają porwane przez ludzi i pakowane do ciężarówki do Lamalery. Musimy ich trochę uspokoić i najpierw ustalić cenę za przejazd. Kiedy już wszystko gra wsiadamy i czekamy aż zapełnią całą ciężarówkę ludźmi i ich bagażami. Przed nami 3 godziny jazdy ciężarówką, trasą po wertepach. Wyjeżdżamy w drogę. Nie wiem czy szybciej ogłuchnę od muzyki puszczonej przez megafon pełną parą, gdzie oczywiście basy to podstawa, a reszta się nie liczy; czy może od terkoty silnika. Jadąc ciężarówką trzeba ponadto uważać, aby nie oberwać jakąś gałęzią z przydrożnego drzewa, bo tutaj nie ma żadnych okien. A jak już zdążyłam się przekonać to boli.

Po drodze zatrzymujemy się w rzece., gdzie kierowca myje samochód od kurzu i pyłu. Pasażerowie też wysiadają i się w rzece myją. W ciężarówce dostajemy od współpasażerów minibananki i bulwy czegoś co wygląda jak seler, ale nim nie jest. Wgryzam się w to coś. Indonezyjczycy pokazują nam, że zanim zabierzemy się za jedzenie, należy tę bulwę obrać. Z mojego wgryzania się w owoc w łupie śmieją się do rozpuku.

Po trzech godzinach dojeżdżamy do Lamalery. Wyspa Lembata słynie z prymitywnego wielorybnictwa, którego ośrodkiem jest właśnie Lamalera. Do polowań używa się płytkich drewnianych łodzi napędzanych żaglem lub silnikiem. Kiedy załoga wypatrzy wieloryba, na wąskiej desce wysuniętej na dziobie łodzi staje harpunnik, który w odpowiednim momencie zeskakuje na grzbiet zwierzęcia i wbija mu harpun.

Kobiety z Lewoleby tkają ceremonialny ikat z nici, które same wcześniej wytwarzają z bawełny uprawianej w ogródkach.

Lamalera do to dla nas najbardziej na wschód wysunięty kraniec na jakim byliśmy do tej pory. Dokładnie 122 stopnie. Na tej wyprawie również najdalszy punkt na południe w którym byłam to około 9 stopni – Maopongo.

W ciężarówce pytają nas gdzie chcemy się zatrzymać. Sugerują nam homestay Guru Ben, bo to podobno fajne miejsce. Później okazuje się, że jeden z gości w ciężarówce to brat właścicielki. Przejeżdżamy przez małą część wioski. Strasznie tu ubogo, a i wioska nieduża. Wdrapujemy się na wzgórze, gdzie jest ten homestay, wchodzimy i... okazuje się, że w tej chwili jedynymi turystami są tutaj dwie Polki!!! To ci spotkanie. Do tej pory nie spotkaliśmy żadnych Polaków, a tutaj na końcu świata i owszem. Polki są w Indonezji od 2 miesięcy, bo studiowały w Padangu na Sumatrze. Opowiadają nam o tamtejszych trzęsieniach ziemi. Jak się nie trzęsie od tygodnia, to ludzie chodzą nerwowi, bo wiedza, że nastąpi to w każdej chwili. Znają nawet indonezyjski i mogą się dogadać z miejscowymi.

Właścicielką homestaya jest kobieta - żona owego Guru Bena (nauczyciela), który niestety od 4 lat nie żyje, zmarł na nowotwór, ale najnowszy przewodnik dalej pisze o nim. kobieta też jest nauczycielka w szkole podstawowej - uczy angielskiego, ale dogadać się z nią w tym języku jest ciężko. nie wiem czego ona w takim razie uczy. posiłki - trzy razy dziennie

jemy w Homestayu, bo niestety nie ma tu żadnego baru. Są tylko dwa sklepiki. stąd też w homestayach oprócz noclegu ma się wyżywienie.

Siedzimy z nimi do późnego wieczoru, aby posłuchać jak najwięcej, bo owe Polki z samego rana czyli o 4 wyjeżdżają z wyspy. Są tu już prawie cały tydzień i były m.in. na połowie z wielorybnikami. Jednak wielorybnicy nic nie złowili. opowiadają nam jak to na innych wyspach, ludzie zmarli są pozawijani w płótno i nawet przez rok leżą w domach, zanim zostaną skremowani. podobno uważani są za chorych, a umierają tak naprawdę w chwili kremacji. jak czytamy w księdze gości w ciągu ostatnich 3 tygodni na było 10 Polaków na 14 turystów w ogóle. Jest też tutaj księga w której opisane są połowy wielorybów - kto i kiedy złowił oraz jak duży był okaz. Okazuje się że ostatni połów z sukcesem miał miejsce w maju, a do teraz nic nie udaje się rybakom złowić. warunki w homestayu najgorsze jak do tej pory. Jedyny plus to piękny widok ze wzniesienia na którym znajduje się budynek - widok na zatokę morską, gdzie na wybrzeżu w specjalnych chatkach stoją łodzie wielorybników. sam homestay składa się z kilku pokoi w których mieszka rodzina kobiety oraz turyści. mnie i Pawłowi dostał się pokój z okienkiem na taras. okno nie ma szyb i każdy odgłos wpada do pokoju. Prąd tu oczywiście limitowany i dostępny po godzinie 18. Łazienka znajduje się w innym miejscu - to betonowe pomieszczenie, gdzie woda jest w baniakach. kuchnia to z kolei barak zbity z desek przylegający do tarasu, jedzenie przygotowuje się na ognisku. wszędzie chodzą kury i koguty. jakie bakterie roznoszą po jedzeniu to nawet nie chcę wiedzieć. drób skacze po kuchni ile wlezie i zagłada do wszystkich garów.

Noc jest ciężka. czuję się jakbym spała w kurniku. Ponadto słychać znaczny szum morskich fal.. przed 4 rano domownicy wstają, aby odprawić dwie Polki, a że jadalnia na tarasie jest pod naszym oknem to robi się harmider. jakby tego było mało w pomieszczeniu obok domownicy włączają telewizor. No cóż trzeba korzystać póki jest prąd. z tarasy brat kobiety od homestaya wydziera się na drogę do przejeżdżających ciężarówek, aby któraś zabrała dziewczyny do Lewoleby. Oszaleć można. Z każdej p[przejeżdżającej ciężarówki słychać donośne basy grającej muzyki. i przekrzyczyć tu coś takiego to istny cud. po 4 koguty pieją już na maksa, a mnie dręczą dodatkowo jakieś koszmary o robakach które mam pod skórą i je sobie wyciskam oraz o zjazdach łodzią po skałach z tego wzniesienia na którym jest homestay. ta noc to jakiś koszmar...

19.07.2008 (sobota)

Wstaję totalnie niewyspana i zmęczona. Jest dopiero 6 rano. Zjadamy na śniadanie pieczone banany i idziemy na przystań, aby załapać się z wielorybnikami na połów. Cena takiego wypłynięcia w morze to 10 dolarów od osoby. Przynajmniej jak nic nie złowią to mają z nas pożytek finansowy. Przechodzimy przez wioskę, gdzie na specjalnych rusztowaniach suszą się kawałki mięsa wielorybiego z ostatniego połowu. Kiedy zostanie złowiony wieloryb, cała wieś otrzymuje po jego kawałku. Jest nawet instrukcja w jaki sposób tnie się wieloryba, czy mantę (płaszczka) na mięsne porcje. Przy wielorybniczej przystani leży poćwiartowany wielki kręgosłup wieloryba. W chatkach z łodziami czekają rybacy. Siedzą, palą papierosy i wpatrują się w morze. Obserwują fale morskie. W pewnej chwili wstają, a przy każdej łodzi jej załoga odmawia modlitwę. Następnie układają bale drewniane na wybrzeżu przez plażę do samej wody, po których staczają łodzie do morza.

My z Pawłem wsiadamy do pierwszej łodzi, Ania z Bartkiem do następnej. Ja mam strasznie mieszane uczucia co do tego rejsu. Boję się wody, zresztą Paweł nie lepiej. Łódź ma tylko 10 metrów długości i w najszerszym miejscu tylko 1,5 metra. Cały czas trzeba siedzieć, chociaż wielorybnicy potrafią na niej chodzić. Kiedy łódź przebija pierwsze fale żałuję, że tu jestem. Chcę wrócić na brzeg i chce mi się płakać ze strachu. Po cholere zachciało mi się płynąć na połów. Paweł ma mi do powiedzenia tylko jedna rzecz, że mogliśmy iść na sobotni

targ, gdzie ludzie wymieniają się towarem bez używania pieniędzy. Teraz dopiero dociera do mnie wizja 6 godzin spędzonych siedząc na drewnianej desce. Umrę tu, utopię się, zginę i nikt mnie nie znajdzie. Co za głupota!!! 6 godzin!!! Rety, żeby tylko nie chciało im się toalety... Ale z drugiej strony być w ostatniej wiosce wielorybników na świecie i nie wypłynąć z nimi na połów... Każda łódź płynie w inną stronę i przez cały dzień połowu, praktycznie nie widać innych łodzi.

Przez pierwszą godzinę siedzę wczepiona w belkę. Ze strachu mocno ją zaciskam, aż mnie ręce bolą, ale boję się jej puścić. Łódką chybotrze się na wszystkie strony. 10 wielorybników stojąc na łodzi wpatruje się w morze szukając zdobyczy. Ciekawie to wygląda. Nie możemy z nimi porozmawiać, bo nikt z nich nie mówi po angielsku. To bardzo prości i biedni ludzie. Co i raz jakaś mała fala wdziera się na naszą łódkę, a ja po raz kolejny mam wizję zatonięcia. Pływamy tak dłuższy czas, a wielorybnicy robią co jakiś czas przerwę i popalają papierosy, które sami sobie skręcają. Ja tylko patrzę na zegarek modląc się, aby czas szybciej leciał i żebyśmy już wracali. Pływamy raz na silniku, a raz z wyłączonym. Kiedy jest wyłączony, łodzią chybotrze totalnie, bo jesteśmy zdani na fale. Kiedy łódź dryfuje Paweł źle się czuje i ma chorobę morską. Jednak humor mu dopisuje, bo jak sam mówi przynajmniej rybki się najedzą... kiedy znowu dryfujemy Paweł leży na łodzi, bo wtedy choroba morską go nie atakuje. Dzięki temu leżeniu wypatruje, iż ciut nad taflą morza unoszą się tzw. latające ryby.

Mnie powoli nastrój się poprawia. Wszystko jest w porządku do godziny 10:30, kiedy to następuje poruszenie wśród wielorybników. Wypatrują wieloryba. Wtedy dostaję kolejnej paniki, bo gdy widzę to wielkie cielsko, większe niż nasza łódź, to mam wrażenie że nie wrócimy stąd cali na brzeg. Z tego wszystkiego na starczy mi czasu na zrobienie zdjęcia wielorybowi, który w pewnym momencie wypuszcza nawet fontannę wody, co chciałam zobaczyć od dziecka. Jednak wielorybnicy na niego nie polują, musi to być więc wieloryb błękitny. Jak mówi tutejsza legenda, w tym wielorybie zaklęty jest duch. Sta też na ten gatunek wielorybnicy nie polują. Chociaż ja już sobie wyobrażam to polowanie, jak ten gigant nas wywraca, będzie morze krwi wielorybiej, wnętrzności, a my giniemy.

Mijamy stadka delfinów. Jestem pod wrażeniem, bo owe delfiny robią salta w powietrzu, a myślałam, że takie sztuczki potrafią tylko osobniki w delfinariach. Podobno rybacy polują również na te zwierzątka. Nagle wielorybnicy się podrywają i wykrzykują: „Pari”, cokolwiek to jest to ja oczywiście dostaję kolejnego ataku paniki. Rybacy przyjmują gotowość do polowania. Wszyscy stoją na łodzi i wpatrują się w jakiś punkt na wodzie. Sternik wodzi łódź według wskazań całej grupy. Na rufie staje z harpunem osadzonym na długiej, bambusowej żerdzi - harpunnik i szykuje się do skoku. Łódź zatacza koła, a w pewnym momencie harpunnik skacze do wody. Ofiara jednak zdążyła uciec. Harpunnik zostaje wyciągnięty z wody. Cała ekipa znowu zaczyna wpatrywać się w morze. Jest i kolejny raz wieloryb. Jednak wielorybnicy znowu dostrzegli pari. Rety, co to jest to pari. Oby nie był to jakiś gatunek wieloryba. Na coś polują ale nie widzimy tego. Całą procedurę polowania znowu powtarzają i znowu harpunnik skacze do wody, ale i tym razem ofiara daje nogę.

Zerkam na zegarek. Niech to się już w końcu skończy. Za nami już 5 godzin pływania, czyli bliżej końca niż dalej, a nasi wielorybnicy już dłuższy czas płyną na silniku, a część śpi. To już chyba koniec polowania i jesteśmy w drodze do brzegu. Po pewnym czasie widać coraz bardziej, że zbliżamy się do lądu i już jest po polowaniu. Jednak im bliżej tego brzegu jesteśmy, tym z coraz większym niepokojem spoglądam na wybrzeże, o które roztrzaskują się wielkie fale. Taka fala rozwali łódkę na wiór. Inne łodzie też przyplływają w tym samym czasie. Ciekawe, bo nikt z wielorybników nie miał zegarka, czyli musieli kierować się słońcem. Łodzie zatrzymują się w pewnej odległości od brzegu. Fale na brzegu mają ze 3 metry wysokości. Rybacy bacznie przyglądają się falom nadchodzącym. Jeśli nas za bardzo znosi do brzegu, to włączają silnik i trochę odpływamy. Na plaży zbiera się już grupa

mężczyzn z wioski, gotowych do pomocy w wyciąganiu łodzi na plażę. Nasi wielorybnicy w końcu wypatrują lukę w falach. Przy okrzykach swoich oraz ludzi z brzegu, zaczynają opętańczo wiosłować małymi wiosłami. Motor jest wyłączony, bo jest już zbyt blisko brzegu – dno jest płytkie i skaliste. Po chwili łódź dobija do brzegu. Wielorybnicy wyskakują i szybko wciągają łódź, by zdążyć przed kolejną dużą falą. Boże, wysiadam, jestem na lądzie. Nogi mam jak z waty, ręce mi się trzęsą. Jaki ten człowiek jest głupi. Jak to dobrze, że już to jest za mną. Na wodzie jeszcze cztery łodzie czekają na powrót. Z perspektywy plaży i oddalonych łódek, fale robią niesamowite wrażenie. Następna w kolejce jest łódź Ani i Bartka. Oni również po pewnym czasie są na lądzie. Mówią, że czuli się jak na łodzi turystycznej. Płynęli i płynęli nic się nie działo, nic nie widzieli. Nie było ani polowania, ani żadnych zwierząt. Hmm, przyroda mnie i Pawłowi chyba wynagrodziła cały ten strach, panikę i nerwy. Szkoda tylko teraz, że nie udało mi się zrobić zdjęcia wielorybowi.

Na plaży pojawia się coraz więcej ludzi. Każda kolejna łódka wyciągana jest przez coraz większą liczbę osób. Jednej nie do końca udaje się szybko wyciągnąć i na końcu zostaje zalana wodą wysokiej fali. Po około godzinie wszystkie pięć łodzi bezpiecznie jest w porcie. Wielorybnicy kończą dzień połowu wykonując pieśń. Nic tym razem nie złowili, a jutro jest niedziela więc w kolejny połów wypłyną w poniedziałek, powtarzając wielowiekowy tradycyjny rytuał polowania ostatniej wioski wielorybników na świecie.

Po takich wrażeniach w błyskawicznym tempie wypijam butelkę piwa. Muszę się trochę odstresować. Wracamy na obiad do Guru Ben. Jemy to co wczoraj, czyli ryż, chińską zupę z paczki, sałatkę z zieleniny, jajko sadzone. Ludzie z tego domu taką potrawę jedzą trzy razy dziennie. Jak im to się nie nudzi... Po obiedzie idę się zdrzemnąć na godzinę, po nieprzespanej nocy i tylu wrażeniach należy się każdemu.

Wieczór spędzamy na tarasie i jedząc kolację, to samo co na obiad tylko jeszcze doszła ryba. W czasie naszego posiedzenia, jedna z kur dostała ataku szału i lata nad tarasem. Na schodach pojawia się syn właścicielki i jednym ruchem ręki, łapie w locie kurę. Majstersztyk i refleks niesamowity. Oglądamy książkę o połowach wielorybników. Szkoda że jest po indonezyjsku. Jest jednak rysunek z podpisem Pari. W końcu wiemy na co polowali wielorybnicy. Była to wielka płaszczka – manta. Siedząc na tarasie musimy się dobrze smarować muggą – płynem na komary. Żrą te owady tutaj ile wlezie. Jednak kiedy człowiek jest posmarowany nie podlecą bliżej niż na 20 cm. Skuteczny jest ten specyfik.

Dzisiaj z Pawłem zmieniamy sobie pokój, aby nie spać niczym w kurniku. Tym bardziej jutro jest niedziela. Dzień wolny od wszelkiej pracy i jak nam powiedziano nigdzie jutro stąd nie wyjedziemy, więc musimy zostać o poniedziałku, a jutro po prostu sobie wypocząć. Wpadamy z Pawłem na pomysł, żeby pójść jutro na mszę do kościoła. Okazuje się, że owszem jest jedna, ale o 7 rano. Dla tutejszych Indonezyjczyków, to wcale nie jest wczesna pora.

No to idziemy spać

20.07.2008 (niedziela)

Budzik dzwoni o 6:15, bo musimy zdążyć na mszę w tutejszym kościele po drugiej stronie wzgórza. Wstaję, rety jak bolą mnie mięśnie rak. Teraz odzywa się moje wczorajsze kurczowe trzymanie się belki na łodzi. Nie da się ukryć, że również po 6 godzinach siedzenia na desce w łódce, boli mnie tyłek.

Idziemy z Pawłem do pobliskiego kościoła. Razem z nami zmierza w tym samym kierunku kolorowy tłum ludzi. Wszyscy poubierani w odświętne sarongi, kolorowe bluzki, obowiązkowo klapki lub po prostu na boso.

Kościół dużych rozmiarów. Przed nim dużych rozmiarów rzeźba Jana Pawła II. Zresztą to największa budowla w osadzie. W jego wnętrzu latają jaskółki, które gdzieś pod

sufitem mają swoje gniazda. Są nawet namalowane obrazy ze świętymi. Jednak w kościele w Azji, na obrazach ludzie mają trochę inne rysy i szaty... takie bardziej lokalne związane właśnie azjatyckie.

Msza rozpoczyna się śpiewem chóru przy akompaniamencie z syntezatora. Chór dzieci śpiewa zwawe piosenki w niebogłosy. Atmosfera taka, że tylko brak tego, aby wszyscy w kościele ruszyli w tany. Ksiądz oczywiście w kapkach odprawia mszę. Podczas kazania chodzi z mikrofonem po kościele, mimo tego, że ten nie działa. Msza co chwilę przerywana jest piosenkami, które z tego co słyszę wykonywane są w wielu zwrotkach. Taca, czyli co łaska zbierana jest do aksamitnych sakiewek. Każdy przekazuje sakiewkę dalej i wkłada kwotę, tak żeby nikt inny nie widział ile daje.

Msza w sumie trwa około godziny i czterdziestu minut. Na koniec są jeszcze bardzo długie ogłoszenia parafialne. Kiedy wszyscy wychodzą po skończonej mszy, ksiądz już przebrany w t-shirt stoi pod kościołem i rozmawia z ludźmi.

Na drodze z kościoła rozłożył się już mały targ, ale sprzedawcami są tylko muzułmanie dla których niedziela nie jest wolnym dniem.

Wracamy do homestaya na śniadanie – oczywiście są pieczone banany. Po śniadaniu wybieramy się aby dokładnie obejrzeć wioskę. Fotografujemy do woli chatki z łódkami na wybrzeżu, a następnie rusztowania z wiszącym i suszącym się mięsem. W wielu miejscach pod mięsem znajdują się rynny, do których skapuje tłuszcz. Na rusztowaniach można znaleźć wszystko – od kości wielorybów, poprzez ich mięso, a także fragmenty innych zwierząt, aż po pletwy, czy skorupy wielkich żółwi.

Idąc przez wieś, przy każdym domostwie na sznurkach przywiązane są czarne świnki, które w tym upale ledwie leżą i cały czas śpią. I tutaj mimo, że osada jest chrześcijańska, kultywowane są pradawne obrzędy.

We wsi są dwa sklepiki i właściwie już nic więcej nie ma. Toteż po pewnym czasie wracamy do homestaya wyczerpując miejsca, które można zobaczyć. Czeka już na nas lunch, czyli to co zwykle, ale zupa dzisiaj jest z dodatkiem zieleniny pochodzącej z drzewa rosnącego obok tarasu.

Dochodzi 13, a my nie bardzo mamy co robić, czas zabijam drzemką i budzę się trzy godziny później. Żeby dotrzeć do kolacji uzupełniam swój dziennik. Po kolacji zresztą trzeba będzie iść szybko spać, bo musimy wstać koło 3, aby złapać ciężarówkę do Lewoleby. Jutro przed nami ciężki dzień – transportowy. 3 godziny jazdy do Lewoleby, potem 4 godziny płynięcia statkiem i z Larantuki do Maumere kolejnie 4 godziny busem.

Kiedy jemy kolację, widzimy, że jednak jakaś ciężarówka wyjechała z Lamalery, tylko dokąd. Na kolację oczywiście jemy niezmienny zestaw... rety można się wykończyć. Samo jedzenie może stąd przegonić skutecznie. Właścicielka homestaya była bliska spalenia dzisiaj swojej kuchni. Siedzimy na tarasie, a w tej prowizorycznej kuchni coś się zaczyna kopcić. Zaczął jej się palić pusty wok pozostawiony na palenisku. Właścicielka żyje w jakimś innym czasie, bo zostawiła wczoraj żelazko położone na stole i gotowe do prasowania, tylko nie wyłączyła z prądu i jak wieczorem włączono zasilanie we wsi, to mogło się coś spalić.

Spać... a gekon biega po suficie...

21.07.2008 (poniedziałek)

Godzina 3 pobudka. Masakra – niestety trzeba wstać. Domownicy homestaya już oczywiście na nogach. Telewizor gra. Jemy śniadanie – dzisiaj świeże banany i herbatka. Poziom diety makabryczny. Najedz się tu człowieku na śniadanie bananem. Toteż dopychamy się ciasteczkami. Dobrze że są.

Koło 4 rano ma być ciężarówka. Czekamy 4 dobija, w ciągu 10 minut przejechały 4 ciężarówki, a nam każą czekać, że to nie te. Podenerwowani już czekamy pod wzgórzem. Jest już prawie 5 rano!!! My dalej w Lamalerze i po kiego licha w takim razie wstawaliśmy tak wcześniej??? Czas ucieka, a według naszych informacji prom z Lewoleby odchodzi o 8 rano. Tuż przed 5 rano w końcu z przeciwnego kierunku przyjeżdża ciężarówka z sąsiedniej wsi. W najlepsze siedzi w niej brat właścicielki. Czyli mieliśmy wsiąść właśnie do tej, bo tu każdy daje zarobić rodzinie. Pakujemy się do środka. Jednak jedziemy jeszcze pod kościół, gdzie zapakowane są kolejne tobołki oraz ludzie, po czym zawracamy i po kiepskiej drodze suniemy przez całą Lamalerę niczym żółw w kierunku Lewoleby.

Po pewnym czasie robi się coś dużo chłodniej. Wstaje powoli dzień i okazuje się, że jedziemy w bardzo gęstej mgłę. W końcu zaczyna padać deszcz. Potem leje i zacina tak, że wszyscy w ciężarówce są mokrzy. Zacina nam deszcz bokiem do ciężarówki, mocząc nawet plecaki i po chwili z wody i wszędobylskiego kurzu na podłodze robi się błotko. Z dachu kapie ile wlezie. Zrobiło się zgniło. Oby jak najszybciej do Lewoleby.

Zmoknięci i zmarznięci docieramy do Lewoleby. Już nie pada. Ociepliło się. Wpadamy na terminal autobusowy o 7:45. bierzemy szybko bemo na przystań promową. A nóż zdążymy na statek. Po 10 minutach jesteśmy na miejscu. Statku nie ma. Niespodzianka. Okazuje się, iż owszem odpływa o 8 rano, ale nie w poniedziałki. Najbliższy statek wypływa o 12. w oczekiwaniu na wypłyniecie nie jesteśmy osamotnieni. Są tu jeszcze inni obcokrajowcy – dwoje Francuzów, Czech, którego widzieliśmy w Lamalerze. Potem okazuje się, że Czech na Bali prowadzi nurkowania, a w Lamalerze w raz ze znajomymi próbują nakręcić film o połowie wielorybów, ale od dłuższego czasu nie ma udanych połowów.

Zostawiamy bagaże na przystani w punkcie turystycznym i idziemy z Pawłem do centrum Lewoleby. Muszę coś zjeść inaczej padnę. Już mi się kręci w głowie, bo po świeżych bananach na śniadanie można wyzionąć ducha. Na razie jedyne co mnie może wzmocnić to prawie duszkiem wypita puszka coca coli. Po drodze mijamy gigantyczna kolejkę za paliwem. Stoi w niej trochę ciężarówkę, ale gigantyczna ilość ludzi na motorach.

W miasteczku nie ma niczego ciekawego. Trochę sklepików z mydłem i powidłem. Kupuję w budce gado-gado, ale jakies jest takie niesmaczne.

O 11 przyplływają trzy statki, podobno wszystkie płyną do Larantuki. Gość z informacji turystycznej prowadzi nas na jeden z nich tłumacząc, że ten jest najporządniejszy. Rzeczywiście tak jest. Pozostałe dwa trochę takie spróchniałe. Cały czas trwa pakowanie na statki. Na jednym dokładnie na samym dziobie znajdują się dwie przywiązane kozy. Biedne zawału dostana podczas rejsu. Ponadto leżą butle, ciekawe z czym... bo pozostawione są na słońcu. Jakby tego było mało to ten statek jest dziwnie przechylony na jedna burtę. Drugi ze statków, ma już spróchniałe deski.

Nasz statek odpływa tuż przed 12. Po niespełna 1,5 godziny rejsu, zaczyna ostro promem kołysać. Wszystko trzeszczy. Mamy z Ania wrażenie, że ta łajba nie dotrze do celu. Paweł z Bartkiem śpią w najlepsze. Kiedy budzę Pawła każe mi wyluzować. Tak zapewne hołduje zasadzie, że lepiej płynąć drewnianą łajbą bo podobno nie tonie, a ewentualnie się pali, niż metalowa, która jak zatonie to nie ma ratunku dla ludzi. Z dachu dochodzi nas stukot młotka, ktoś podczas tego rejsu dopija deski... jak się siedzi na ławce i patrzy w okno to raz się widzi niebo, raz morze. Boże ale tym kołysze na wszystkie strony. Mam wrażenie, że za chwile przód statku waląc o fale rozbije się w drzazgi. Niektórzy ludzie wymiotują. To kołysanie chyba nie jest w zwyczaju...

W połowie drogi zawijamy znowu do portu na Adonarze. Zanim jeszcze statek dobrze zacumował do brzegu, na jego pokładzie pojawili się sprzedawcy jedzenia. Oczywiście atakują najpierw obcokrajowców. Kupuję jajka i ryż, który okazuje się być z dodatkiem malusich rybeczek takich maks. 4 cm. Okropne. Wybieram je i wyrzucam przez okno. Potem jeszcze kolejne 2 godziny na morzu. I o 16:10 w końcu wysiadamy w porcie w Larantuce.

Mamy szczęście, bo w porcie od razu przechwytyją nas goście z busa, który czeka niedaleko portu. Jedziemy do Maumere 4 godziny i 15 minut, z przerwą na jedzenie. Rozmawiamy z Francuzami, bo załapują się na dojazd do Maumere wraz z nami. Są geologami i to już ich czwarty wypad do Indonezji. Za każdym razem ich trasa prowadzi po kolejnych wulkanach. Kierowca jest tak uprzejmy, że w Maumere wszystkich rozwozi pod drzwi miejsc do których chcemy dojechać. Zostajemy więc podrzuceni do hotelu Gardena.

Hotelik nie jest luksusem, ale po Lamalerze to szczyt możliwości. Jest tu nawet prysznic! Jesteśmy wykończeni dzisiejszą jazdą, więc wypijamy herbatkę, myjemy się i idziemy spać...

22.07.2008 (wtorek)

Pierwsza pobudka następuje przed północą. Dzwoni oczywiście Marsi. Kolejna pobudka o 3, a następnie o 3:30 ktoś próbuje się do mnie dodzwonić. Nie odbieram. Na dobre budzę się o 7 rano. Wyspana.

Gdzieś koło 8 wydaje mi się, że słyszę głos naszego kierowcy -uciekiniera, ale wydaje mi się to niemożliwe. Kiedy budzi się Paweł, mówi, że tak jakby słyszał Stefano. Ej, skoro mnie się tak wydaje i Pawłowi też to... Wyskakuję z łóżka i przez firankę widzę w najlepsze kończącego śniadanie naszego kierowcę. Za chwilę Paweł wyskakuje za nim z pokoju, ale ten siedzi już w swoim samochodzie. Jest zdziwiony, że tutaj jesteśmy. Coś tam ściemnia, że teraz nie ma kasy aby nam oddać za stracony dzień, ale będzie z powrotem za godzinę. Jak wróci to znaczy, że jest prawdomówny, a jak nie to...

Jemy śniadanie. Naleśniki z bananami chyba zniechęcą do końca życia, a zwłaszcza w porze śniadania. Stefano się nie pojawia, czego można było się spodziewać.

O 10 idziemy do miasta. Najpierw swoje kroki kierujemy do przedstawicielstwa Merpati, aby potwierdzić nasz dzisiejszy wylot na Bali. Dowiadujemy się, że mamy być na lotnisku o 13 mimo, że wylot dopiero jest koło 17. Okazuje się, iż to norma. Samolot może przylecieć wcześniej wypakować ludzi, zapakować kolejnych i odlecieć nie przestrzegając godzin na bilecie.

W międzyczasie zaglądamy na tutejszy bazar. Przypadkiem odkrywamy dziwne warzywo, które wypisz wymaluj jest takie samo jak to, które jedliśmy w potrawie w Bajawie, a wzięliśmy za wstrętne wyglądającą wątróbkę, albo inne podróby. Niezłe warzywo, które po ugotowaniu wygląda jak mięso.

Później idziemy na chwilę skorzystać z kawiarenki internetowej, bo coś trzeba napisać, bo już niektórzy się martwią, że ani słowa nie ma o nas. A my po prostu jesteśmy w takim terenie, że Internetu się nie uświadczy. Dalej szybko pędzimy do restauracji znajdującej się w porcie, aby zjeść szybki obiad przed wylotem. Wracając do hotelu przechodzimy przez coś co niby było rzeką, ale teraz jest w przepięknym kolorze fioleto. Czymkolwiek jest ten ściek kolor ma cudowny i nawet nie śmierdzi, mimo brzegów zapełnionych śmieciami, w których brodzą brudne świni. Owe zwierzątka po pewnym czasie wychodzą ze ścieku i przez miasto wracają do swoich domów... nikogo nie dziwią pętające się samopas świni.

Zabieramy rzeczy z hotelu i jedziemy na lotnisko. Jest dużo większe niż w Labuanbajo. Ale w środku nie ma zbyt wiele. Czas do wylotu, który w sumie nie wiadomo kiedy nastąpi umilamy sobie oglądaniem z laptopa jakiegoś amerykańskiego filmu.

Najpierw na lotnisko przylatuje samolot z Kupangu, potem kolejny. Koło 15 przyleciał nasz samolot. Najpierw wysiedli z niego ludzie, a potem zapakowano nasze bagaże, potem wsiedliśmy my. Wszystko odbyło się zgodnie z tym co mówiono, czyli nasz samolot

wyleciał dużo przed planowaną godziną. Przed nami dwie godziny lotu. Siedzę przy oknie z mapką, aby zobaczyć wszystkie wyspy z lotu ptaka. Najpierw rozpoznaję wyspy w okolicach Riungu, tam gdzie z Anią podczas odpływu byliśmy piechotą na 2 innych wyspach. Z góry jak patrzę to odległość między nimi wcale nie była taka mała. Widzę też wyspę z zatoką, gdzie na namorzynach oglądaliśmy latające nietoperze. Lecąc nad Sumbawą podziwiam tamtejszy ogromny 2 800 m n.p.m. wulkan Tambora.

Wulkan Tambora, wznoszący się przed wybuchem na wysokość 4200 metrów, był jednym z najwyższych wulkanów Indonezji. Jest to stratowulkan, zbudowany z naprzemiennych warstw zastygłej lawy, pumeksu, popiołu i skał.

Najsilniejsza erupcja miała miejsce 10 kwietnia 1815 r. (oceniana jako jedna z potężniejszych, a nawet najpotężniejsza erupcja w czasach historycznych), kiedy z wulkanu wydobyło się ok. 100 km³ materiału wulkanicznego, a słup wybuchu osiągnął wysokość 44 km. Skutkiem tego wybuchu było zjawisko „braku lata” w następnym roku. Popiół wulkaniczny został rozrzucony w promieniu 1300 km, w miejscach odległych o ok. 900 km na Jawie i Borneo jego warstwa miała 1 cm grubości, a na samej Sumbawie do 1,5 m. Wybuch był słyszany w promieniu 1500 km.

Z kolei na kolejnej wyspie – Lombok góruje wulkan Rinjani. Natomiast dolatując nad Bali góruje święty wulkan hinduistów – Agung.

W Denpasar lądujemy o 17:30. Zaraz na parkingu lotniska łapiemy taksówkę, która niedrogo wiezie nas 40 km do Ubud. Mimo że to tylko taka odległość jedziemy 1,5 godziny. Korek w mieście duży. Niestety wróciliśmy do cywilizacji. Znowu trzeba przyzwyczać się do ruchu ulicznego.

W Ubud taksówka zawozi nas pod drzwi bungalowów Kajeng. Paweł z Bartkeim targują cenę z obsługą i w końcu dostajemy ładne pokoje. Jakie jest otoczenie hoteliku, dowiemy się jutro, bo jest już ciemno. Można zobaczyć, że jest tu basen, świątynka i dużo roślinności. Cały obiekt położony jest na zboczu schodzącym do rzeki. Pokoje jak marzenie. Niesamowite w łazience jest ciepła woda!!! Ale człowiek takie rzeczy docenia, jak ich długo nie posiada.

Późną kolację jemy w restauracji obok. Mając dość ryżu, jem dla odmiany makaron i w końcu znowu mam świeży sok z mango. Niebo w gębie.

23.07.2008 (środa)

Wstaję o 8 rano. Jak miło i spokojnie, tylko szum niżej położonej w dolinie rzeki. Nie ma wrzasku kur, piania kogutów, autostrad z ludzi pod oknem. Życie nie umierać. Słońce coś nie może się przebić przez chmury. Od samego rana Balijszczyki wędrują po terenie hotelu i roznoszą w różne miejsca podarki dla bóstw. Układają je przy basenie, przy pompie wody do basenu, na schodkach pokoi gości hotelowych, w małych świątynkach.

Śniadanie dostajemy na taras naszego pokoju. Rewelacyjne śniadanie, bo oprócz naleśników jest sałatka owocowa z papai, ananasa i bananów. Siedząc na tarasie możemy pooglądać gdzie to się w nocy zatrzymaliśmy. Bungalowy są świetne. Miejsce ciche położone na skarpie. Wszystko w wystroju hinduskim i robi wrażenie, że nie jesteśmy w hotelu tylko oczywiście w świątyni.

Najedzeni i zadowoleni idziemy na market w Ubud. Z uwagi na urzekające położenie i utalentowanych artystycznie mieszkańców Ubud musiał przedziej czy później ściągnąć tutaj zagranicznych turystów. Nazwa miasta pochodzi od balijskiego słowa ubad, czyli lekarstwo, które nawiązuje do właściwości roślin leczniczych, których jest tu podobno sporo. Ubud jest jedyną miejscowością, w której powstała fundacja Yayasan Bina Wisata troszcząca się o zachowanie miejscowej przyrody i kultury. Zamiast jedynie zachęcać turystów do

przyjeżdżania jak najliczniej, stawia ona za cel pogodzenie potrzeb gości i mieszkańców. Przyjezdnych prosi się o respektowanie miejscowych zwyczajów, a także zachęca do bliższego poznawania tubylców.

Czego nie ma na tym bazarze. Można tu kupić ubrania, pamiątki w postaci drewnianych figurek, masek, biżuterię, aż po owoce. Obok marketu znajduje się hinduistyczna świątynia, a w niej Balińczycy składają całe masy darów. Jest tego ogromna ilość. Ciekawe ile czasu w ciągu dnia mieszkańcy przeznaczają na wykonanie i rozniesienie tych wszystkich darów. Nawet na bazarze jest miejsce gdzie panie wytwarzają już gotowe dary. Dary są ważnym elementem religijnych rytuałów na Bali. Codzienna ofiara zwana canang to kwiaty i garść ugotowanego ryżu na palmowym liściu, skropione świętą wodą i okadzone kadzidłem. Dary przeznaczone dla demonów i złych duchów kładzie się na ziemi, a dla bogów – na wysokich ołtarzach, skąd dzięki kadzidłu ich „esencja” unosi się do nieba. Poza tym widziałam nawet jak kobiety w dużym sklepie siedząc na kasie i nie mając akurat żadnych klientów, były zajęte robieniem z darów. Wychodząc z marketu napotykały na scenę, gdzie dwa psy strasznie na siebie warczą. Jeża się i pokazują kły. W końcu jak w zapasach stoją na dwóch łapach i pokazują kły, przepychając się ale nie gryzą się.

Dalej idziemy do położonego naprzeciw bazaru pałacu. Pałac Puri Saren Agung to siedziba władców Ubud panujących od końca XIX wieku do II wojny światowej. W świątynia składa się z licznych mniejszych budynków, które jak widać są przez kogoś zamieszkałe. Na tarasie każdego z nich stoją fotele i sofy. Na jednym z tarasów nawet ktoś odpoczywa. Być może to wyższe sfery Ubud tak mieszkają. Wszędzie dookoła kolorowe ozdoby.

Zaglądamy do okolicznych sklepików. Kończy się to zakupieniem kinkietów do naszego dużego pokoju. Super sprawa. W Polsce nie mogliśmy nic kupić, a tutaj trafiamy na idealne kinkiety zrobione z ciemnych patyczków. Do tego kupujemy paterę i świecznik. W innym sklepie z kolei stajemy się nabywcami malowanego obrazu z rajskimi ptakami i to już oprawionego w piękną drewnianą ramę. Co chwilę zaczepia nas jakiś miejscowy proponując nam transport – jak nie dzisiaj to może jutro.

Idziemy długą Monkey Foret Road (Małpi Las), która prowadzi do małego lasu. Tuż przed wejściem kłębią się dzikie makaki, w poszukiwaniu swojej ofiary. W recepcji trzeba zostawić wszelkie reklamówki, bo hordy rozwydrzonych małp trudnią się wyrywaniem tych toreb ludziom i uciekają z nimi w siną dal.

Wehodzimy do parku. Można dokarmiać mały barankami. Jednak nie wszystkie chcą je jeść, bo się chyba przeżarły. Daję jednej małpce bananka, a ta obiera go dokładnie z łupy po czym wyrzuca. Bawią się tym znakomicie. Jest tu też dużo malusich małpek wczepionych w swoje matki. Zabawa trwa. Rzucają kokosami niczym piłka do koszykówki lub toczą kamyczki. No i co jakiś czas umilają kradzieżami. A to rzucą się i wyrwą komuś z torebki butelkę z wodą mimo, że wystawał tylko korek, a to zabiorą pudełko z ciastkami i czmychają wysoko do góry na drzewa ze swoimi zdobyczami.

Jedna z małpek zainteresowała się moim plecakiem. Skoczyła na niego i się wczepiła niczym rzep. Musiałam ją strzepywać z plecaka, ale ona przepuściła kolejny atak. Potem już sobie darowała. Kiedy z kolei Paweł chciał jednej zrobić zdjęcie, to małpa chciała na niego skoczyć, bo w aparacie zamigotało czerwone światełko.

W lesie oprócz zwariowanych małp, jest wiele ciekawych gatunków drzew lasu deszczowego. A pomiędzy tymi drzewami znajduje się świątynia śmierci, gdzie oczywiście harczą małpy wyzerając zostawione przez ludzi dary. Druga to świątynia kremacji. Dokładnie trzy dni temu odbyła się w tym miejscu zbiorowa kremacja około 80 osób. W tej chwili cały teren jest sprzątnięty, a śmieci palone. Między tymi tłącymi się śmieciami oczywiście małpy. Biegają po pogorzelnisku i wybierają pieczone smakołyki. Małpy w tym lesie to takie hordy zbirów. Wszystko im wolno i robią co im się żywnie podoba. Jest ich tutaj

około 300 sztuk, więc narozrabiać mogą. Kiedy już wychodzimy z lasu, przy kasie jednej kobiecie mała wyrwała dopiero co zakupioną wodę i zwała z nią pod pachą.

Wracamy do hoteliku, po czym wieczorem udajemy się na kolację. Dzisiaj jemy coś innego – supę cebulową oraz kolokę (czyli kurczak słodko-kwaśny) oraz sok z ananasa. Tych świeżych soków będzie mi strasznie brakować po powrocie.

Zasypiam w szumie płynącej rzeki.

24.07.2008 (czwartek)

Wstaję około 8 rano. Niebo jakoś tak dzisiaj zasnute gęstymi chmurami. W naszym ogrodzie hotelowym od samego rana pochody Balińczyków z podarunkami dla bóstw. Na śniadanie naleśnik bez bananów, ale posypany żółtym serem. Jest i oczywiście sałatka owocowa.

Po śniadaniu cała czwórka idziemy na market, aby kupić owoce, a przede wszystkim duriana. Najpierw znajdujemy mangostiny, rambutany i markizy (które podobno są owocami passiflory.) na końcu kupujemy duriana. Jesteśmy w tym stoisku pierwszymi klientami, więc sprzedawczyni po otrzymaniu od nas zapłaty uderza banknotami po owocach. To podobno na szczęście, aby jak najwięcej się dzisiaj sprzedało.

Owoce zostawiamy w hotelu, duriana szczelnie pakujemy do ośmiu reklamówek, ale i tak dalej śmierdzi jak z kanalizacji. Durian pochodzi z Indonezji ale uprawiany w większości krajów południowo-wschodniej Azji. Występuje również w Malezji, Tajlandii, Kambodży i w wielu innych. Rodzaj liczy ok. 30 gatunków, z czego przynajmniej 9 wytwarza jadalne owoce. Owoce ma kształt owalny, do 40 cm długości i wadze do 4 kg, pokryty zieloną grubą skórką z kolcami. Charakterystyczny jest niezwykle intensywny zapach i wykwinny smak. Wewnątrz zielonego, czasem przechodzącego w czerwień, owocu znajduje się kremowy jasny miąższ, który w krajach Azji uchodzi za wyjątkowy przysmak. Sprzedawany jest na ulicznych bazarach, gdzie jest również najczęściej na miejscu zjadany. W przypadku pobrudzenia ubrania jego ostry, odurzający zapach pozostaje jeszcze przez wiele godzin i z tego powodu nie wolno go spożywać w pomieszczeniach publicznych czy środkach komunikacji miejskiej. Owoce rośnie na wysokich drzewach, osiagających nawet do 40 m. Spadający kolczasty owoc może zranić lub nawet zabić, dlatego uważany jest za "najniebezpieczniejszy owoc świata". Ponadto trzeba uważać, bo jak się zje go za dużo, i wypije alkohol to podobno można dostać zawału serca...

Idziemy z Pawłem ścieżką prowadzącą za naszym hotelem prosto na pola ryżowe. Śród tych pól krzątają się Indonezyjczycy doglądający swoje uprawy. Po drodze mijamy miejsce, gdzie na masowa skalę odbywa się produkcja darów, a mężczyźni wykonują kolorowe rusztowania do świątyni.

Z pól ryżowych wracamy do centrum pospacerować po okolicznych sklepikach. Wpadamy również do restauracji, w której jedliśmy wczoraj. Zamawiamy supę warzywną, dwa razy pieczonego kurczaka na słodko w sosie sojowym oraz sajgonki.

Następnie idziemy kupić bilety na seans tańca kecak fire & trance dance na wieczór. Potem powrót do hotelu i kąpiel w basenie.

Późnym popołudniem razem z Ania i Bartkiem wracamy na pola ryżowe. Z hotelu zabieramy śmierdzącego duriana i zjadamy go na polach. Nikomu nie przeszkadzając. Mimo sporego rozmiaru tego owocu, w środku jest niewielka część miąższu z pestką. Reszta to odpadki. Mimo smrodu, smak ma słodkawy i całkiem przyjemny. Grunt, że udało się spróbować tego najbardziej śmierdzącego owocu.

O 19:30 jesteśmy w miejscu, gdzie będzie odbywał się kecak. Kecak to tzw. małpi taniec, który narodził się we wsiach Bedugul i Bona. Wywodzi się ze świętego tańca, ale z

biegiem czasu jego forma się przekształciła i wzbogaciła, głównie o epizody z Ramajany i innych legend. Widowisko jest niebywałą kakofonią dźwięków. Wykonawcy – kilkudziesięciu mężczyzn odzianych jedynie w opaski na biodrach – zasiadają wokół ognia w koncentrycznych kręgach na ziemi i intonują pieśń w różnym rytmie bez akompaniamentu muzycznego i wznoszą w górę ręce, rozkładając szeroko palce. Wydają z siebie różne dźwięki z dominacją: „czak czak”. Przebrani w kostiumy tancerze wchodzi kolejno do środka kręgu, gdzie odgrywają swoje role w przekazywanej widzom historii. Drugi pokaz to trance dance. Jest to przedstawienie dwóch Balińczyków, którzy gołymi stopami niczym w transie rozgrzebuje żarzące się fragmenty palących się łup kokosów. Wierzy się, że podczas tego świętego tańca władzę nad tancerzami przejmują duchy zwierząt. Spektakl trwa około godziny i 15 minut.

Po spektaklu idziemy na kolację. Niestety zupa mało smaczna, bo z proszku, ale za to sajgonki pierwsza klasa. Wieczór spędzamy na tarasie jedząc rano kupione markizy (smarki☺) i pierzaste rambutany.

25.07.2008 (piątek)

Kolejny dzień w Ubud. Pobudka o 8 rano. Na śniadanie sałatka owocowa i... TOST!!! z bananem i wiórkami kokosowymi.... to już gorzej. Na godzinę 9 jesteśmy umówieni w agencji, gdzie zamówiliśmy samochód z kierowcą.

Wyjeżdżamy poza Ubud. Najpierw zatrzymujemy się praktycznie tuż za Ubud, gdzie znajdują się przepiękne tarasy ryżowe położone na zboczach doliny.

Następnie jedziemy do świątyni Pura Gunung Kawi, aby się do niej dostać pokonujemy sporą ilość schodów. Jest to kompleks wykutych w skale –candi - fasady świątyń oraz cel mnichów. Całość pochodzi z XI wieku i zachowała się w znakomitym stanie. Wielu ludzi uważa candi za grobowce, nigdy jednak nie znaleziono tam szczątków ani popiołów. Archeolodzy ustalili, że są to pomniki wzniesione ku czci członków dynastii Warmadewa. To mniej więcej w tamtym czasie rozwinął się kult zmarłych królów, których po śmierci uznawano za bogów.

Jedną z teorii głosi, że główna grupa pięciu candi upamiętnia króla Udayanę, jego żonę Mahendradattę, nałożnicę i dwóch synów. Według innej hipotezy wykonano ją ku czci syna Udayany, Anaka Wungsu, który władał Bali w VI wieku oraz jego pięciu żon. Natomiast cztery candi na drugim brzegu rzeki miałyby wówczas należeć do jego nałożnic. Dziesiąta stojąca samotnie w pewnej odległości, mogła być pomnikiem ważnego urzędnika dworskiego lub kapłana.

Na terenie kompleksu stoi również bardziej typowa świątynia z pawilonami bez ścian, sanktuariami i rzeźbionymi bramami. Co pięć lat w Kawi odbywa się wielka uroczystość, podczas której składa się efektowne ofiary, a młodzi mężczyźni i kobiety wykonują święte tańce.

Idąc ścieżką przez pole ryżowe można dotrzeć do małego wodospadu. Po drodze znajdują krzewy przypominające agawę, z których wyrastają ananasy. Jestem niezmiernie zdumiona, bo myślałam, że ananasy rosną na drzewach!!! Mijamy też drzewa chlebowca, a ja tak się im przyglądam, że wpadam nogą w błoto pola ryżowego. Mój sandał przedstawia tym samym widok nędzy i rozpacz.

Opuszczamy ten kompleks świątynny i ruszamy do Tirta Empul. W miejscu tym znajduje się święte źródło, które wypływa z ogrodzonego miejsca i daje początek rzece Pakerisan. Często je wszyscy Balińczycy, wierzą bowiem że zostało stworzone przez hinduskiego boga Indrę. Który zrobił dziurę w ziemi, by wypłynął z niej tirtha (eliksir nieśmiertelności), potrzebny mu do przywrócenia życia jego żołnierzom otrutym przez króla demona – Mayadanawę.

Święte kąpielisko przed świątynią powstało w X wieku, a wody wytryskujące z licznych otworów mają podobno moc uzdrawiającą. Ludzie przyjeżdżają tu z bliska i daleka, by oczyścić się w sadzawkach po uprzednim złożeniu skromnej ofiary bóstwu źródła.

Podczas pełni w czwartym miesiącu księżycowym (październik) mieszkańcy pobliskiej wsi Manukaya przynoszą tu w celu oczyszczenia święty kamień z Pura Sakenan. Na początku XX wieku pewnemu holenderskiemu archeologowi udało się odczytać wyrytą na nim inskrypcję. Głosiła ona, że gład należy obmyć w źródle w Piura Tirtha Empul, kiedy przypada jej rocznica założenia. Aż trudno uwierzyć, że mieszkańcy wsi wykonywali ten rytuał przez niemal tysiąc lat, nieświadomi znaczenia inskrypcji, zapomnianego w ciągu stuleci.

Kiedy spacerujemy po świątyni, akurat jeden Indonezyjczyk dokonuje rytualnego obmycia się w każdej fontannie.

Wyjście ze świątyni jest strasznie skomplikowane, gdyż wiedzie przez labirynt straganów, a każdy ze sprzedających próbuje nam coś wcisnąć, cały kompleks sklepików jest tak pomyślany, aby nie dało się wyjść po prostej ze świątyni i trzeba przejść obok każdego straganu. Idziemy i idziemy i mamy wrażenie, że ten labirynt się nie skończy.

Dalej jedziemy na plantację różnych owoców i przypraw. Przewodnik pokazuje nam jak rośnie imbir, drzewo cynamonowe, kiwi, kawa, kakao, czy ananas. Na końcu można zakupić te rzeczy w sklepie. Jednak my nic nie kupujemy, bo ceny tu są dość wysokie. Na dodatek jeden ze sprzedawców mówi trochę po polsku! Pytamy skąd zna nasz język, a on że ma kolegę który nazywa się i tu uwaga... CIENKI BOLEK... Wybuchamy śmiechem i zostawiamy to bez komentarza. Można było również spróbować świeżo palonej kawy, kakao, herbaty imbirowej oraz kawy z żeńszenia.

Na plantacji najbardziej zainteresowana jestem drzewem cynamonowym. Ukradkiem zabieram sobie trochę pięknie pachnącej kory z drzewa.

Z plantacji jedziemy nad jezioro Batur. Jest to największe jezioro na Bali położone w kraterze wulkanu. Woda, bogata w wulkaniczne minerały ze stoków Batur, spływa kolejnymi tarasami aż do morza. Gunung Batur 1717m n.p.m. to wulkan mający krater o średnicy 11 km i 180 m głębokości. Wulkan jest wciąż aktywny. Według legendy Siwa podzielił niegdyś święta hinduska górę Mahameru na dwie części i umieścił je na Bali jako wulkany Agung i Batur, otoczone na wyspie największą czią. Batur symbolizuje pierwiastek żeński, Agung – męski. Batur po raz ostatni uaktywnił się w 1994 roku, ale od 1926 roku nie sprawiał większych kłopotów. W 1917 roku w wyniku gwałtownego wybuchu zginęło ponad 2 tysiące ludzi, a zniszczeniu uległo 65 tysięcy domów i 2,5 tysiąca świątyń. Lawa zalała więc poniżej, jednak w cudowny sposób zatrzymała się u stóp tamtejszej świątyni. Mieszkańcy uznali to za dobry znak i nie zdecydowali się na przeprowadzkę. W 1926 kolejna erupcja pogrzebała świątynię prócz najwyższej położonego sanktuarium, poświęconego bogini jeziora. Wówczas ludzie musieli się przenieść na skalne urwisko naprzeciwko szczytu Batur. Zabrali tam ze sobą ocalałe sanktuarium i zaczęli odbudowę drugiej z najważniejszych świątyń na Bali – Pura Ulun Danu Batur.

Miejsce jest okropne. Są tu sami namolni sprzedawcy pamiątek i owoców. Zjadamy na straganie szybką zupkę z makaronem ryżowym, mięsnymi kulkami i warzywami, po czym uciekamy stąd w kolejne miejsce warte zobaczenia.

Miejscem tym jest Pura Besakih położona na stromych zboczach Gunung Agung, którego nie widać, gdyż zakrywa go gęsta mgła. Świątynia ta nazywana jest bardzo często „matką świątyń”, jest to bowiem największe i najważniejsze miejsce kultu na wyspie. Składa się na nią w rzeczywistości rozległy kompleks wielu świątyń w tym sanktuariów rodowych wszystkich wyznawców hinduizmu. Inne osoby nie mają wstępu do środka, nawet jeśli są odpowiednio ubrane. Można jedynie co nieco zobaczyć zerkając z tyłu kompleksu ponad murami.

Pua Besakih powstała jako górską świątynia tarasowa najpóźniej w VIII w n.e. W ciągu następnego stulecia była stopniowo rozbudowywana, aż osiągnęła obecny kształt, na który składa się 30 publicznych świątyń z setkami sanktuariów. Według przechowywanej tu starej inskrypcji w 1007 roku w świątyni doszło do jakiegoś bardzo ważnego wydarzenia, być może mającego związek z pogrzebem królowej Mahendratty, żony króla Udayany, który zmarł rok wcześniej.

Najwięcej świątyń i sanktuariów dobudowano w okresie od XIV do XVIII wieku. W obrębie kompleksu najważniejszą budowlą jest Pura Penatarab Agung Besakih, której wyniosłe mury, przykryte dachami z czarnych włókien palmy cukrowej wznoszą się na kilku tarasach. Długie schody prowadzą do rozszczerzonej bramy z czarnego granitu.

Wewnątrz głównego dziedzińca – duże sanktuarium z potrójnym siedzeniem na wspólnym postumencie przeznaczono dla trzech wcieleń tego samego boga – Siwy, Sadasiwy i Paramasiwy. Wielu mieszkańców wyspy utożsamia je z bardziej znaną hinduska trójcą – Brahmy, Siwy i Wysznu. Cokół każdego tronu lotosu owinięty jest tkaniną innego koloru. Czerwony oznacza ogień, żywioł Brahmy, stwórcy. Czarny to woda, związana z Wysznu, utrzymującym ład we wszechświecie, biały zaś – eter, żywioł Siwy, niszczyciela.

Główne święto w Pura Besakih – „bogowie schodzą razem”, obchodzone jest podczas 10 miesięcy księżycowego (marzec – kwiecień) i trwa 11 dni. Tysiące wiernych przybywają wówczas z całej wyspy, by złożyć hołd bogom i przodkom. Strumień ludzi niosących kosze z darami, który wlewa się na wewnętrzne dziedzińce, zdaje się nie mieć końca. W 1963 roku przygotowywano się tu na największe uroczystości, które odbywają się tylko raz na sto lat. Nagle nad kraterem pojawił się blask ognia, góra zagrziała i ożyła. Wulkan od stulecia pozostawał usypiony, było to więc coś niezwykłego. Kapłanka interpretowała to jako dobry znak świadczący o obecności boga Gunung Agung, a wierni powrócili do przedświątecznej krzątaniny. Kiedy w marcu odbywała się wielka ceremonia, nad szczytem unosiły się już grube słupy ciemnego dymu. Wkrótce potem wulkan wybuchł z ogromną siłą, zabijając ponad tysiąc osób i niszcząc wioski. Urodzajne pola pokryła gruba warstwa popiołu i lawy, która na całe lata uniemożliwiła uprawę ziemi. Zdaniem większości wyspiarzy wybuch nie był przypadkowy, miał bowiem ukarać ich za to, że obrazili bogów, obchodząc święto przedwcześnie. Dlatego w 1979 roku zorganizowano nową ceremonię końca balijskiego stulecia, tym razem we właściwym czasie, która przebiegła bez zakłóceń.

Podjeżdżamy pod świątynię. Jeszcze nie wsiedliśmy z samochodu a już, biegną za nami sprzedawcy. Rozpoczyna się kolejny horror. Każdy chce nam sprzedać sarong, bez którego nie można wejść do świątyni. Potem okazuje się, że mimo zakupionych biletów musimy jeszcze wziąć przewodnika i mu zapłacić. Kolejna opłata to za wypożyczenie sarongu. Jak widać w tym miejscu już się zaczął przemysł turystyczny nastawiony na wszelkich gości z balijskich kurortów. Jak ja nie znoszę takich miejsc.

Ostatnie miejsce na naszej dzisiejszej trasie to Pura Goa Lawah położona tuż nad brzegiem morskim. Ta święta jaskinia zamieszkała jest przez tysiące nietoperzy – wiszą one tak ciasno jeden obok drugiego, że sklepienie wygląda jak oblepione drgającym błotem. Nie mówiąc już o totalnym pisku, który dobiega ze świątyni wydawanym przez taką ilość nietoperzy. Nie powiem już nawet w jakich tonach odchodów tona święte wieżyczki. Czasami zakrada się tu na ucztę pyton. Świątynia odgrywa ważną rolę w rytuałach pokremacyjnych: na plaży po drugiej stronie drogi napełnia się naczynia wodą morską, przynosi się ją tutaj, a następnie do Besakih, aby oddać cześć przodkom.

Do Ubud wracamy około 17. Chwila odpoczynku i idziemy z Pawłem do centrum. Kręcimy się jeszcze po sklepikach, bo chcemy kupić kawę z żeńszenu. W końcu się udaje.

Na koniec dnia wybieramy się do restauracji Nomad – najbardziej ekskluzywne miejsce w mieście. Na schodach restauracji wita nas kelner za ucho wkłada nam pięknie pachnące kwiatki i prowadzi do stolika. Mieszanka ludzi dziwna. Jedni ubrani po

„turystycznemu”, inny podjeżdżają samochodami z ekskluzywnych hoteli, ubrani w wieczorowe suknie. Mimo tego, że jest to najlepsza restauracja, to ceny nawet dla nas Polaków są niskie. W sumie w przeliczeniu na złotówki płacimy około 50 zł. W tej cenie jemy szaszłyka z wołowiny, kurczaka, budyń ryżowy, 2 drinki mojito. W między czasie ładują na talerzach miniprzystawki. Kelner dwoi się i troi. Przy którymś razie przychodzi do nas i pyta, skoro jesteśmy z Polki, to dlaczego Borat z amerykańskiego filmu, który jest Kazachem mówi po polsku „dziękuję”... ciekawe czy ma ten tekst już przygotowany specjalnie dla gości z Polski, czy może jest takim fanem filmów.

Po takim dniu padamy na łóżko spać...

26.07.2008 (sobota)

Dzisiaj 26 lipiec, czyli razem z Anią mamy – IMIENINY. Przed nami ostatnie godziny w Ubud. o 13 mamy zamówiony samochód, który zawiezie nas do hotelu Swiss Grand Bali w Nusa Dua. Na koniec trochę luksusu w czterogwiazdkowym hotelu.

Rano przed wyjazdem płaczemy się po mieście, kupując ostatnie pamiątki z hebanowego drewna. Spotykamy mieszkańca miasta opartego o słup, który już nie pyta nas o transport tylko pokazuje kartkę z napisem: „Do you need transport?” my się śmiejemy i pokazujemy, że nie. Na to on odwraca kartkę, a z drugiej strony napis: „Maybe tomorrow?”. Ot i cała mentalność ludzi Azji.

Po wykwaterowaniu z hotelu zostawiamy na recepcji nasze bagaże i pędzimy jeszcze na obiad. Wybieramy knajpkę na naszej uliczce – zjadamy kologu, czyli wołowinę w sosie słodko-kwaśnym, w restauracji na ścianach wiszą różne kolorowe sarongi. Mnie spodobała się strasznie chusta w kolorze butelkowej zieleni, którą udaje mi się kupić za całkiem nieduże pieniądze.

O 13 ruszamy do Nusa Dua. Najpierw trafiamy do bardzo drogiego parku z hotelami, gdzie przy wjeździe nasze auto sprawdza ochrona. To chyba nie tutaj jednak jest nasz hotel, aż na taki luksus nas nie stać. Jedziemy w inne miejsce, gdzie znajduje nasz docelowy hotel. Tutaj też zostajemy na wszelki wypadek skontrolowani.

W hotelu bagażowy na wózek zabiera nasze plecaki. Trochę chyba my i bagaż nie pasujemy do tego miejsca. Po załatwieniu formalności w recepcji dostajemy pokoje. Recepcja to przepiękny holl w hinduskim wystroju. A nasze pokoje to szczyt marzeń, po naszych miejscach noclegowych na Flores i Lembacie. Pokój jest ogromny, a łóżko tak duże, że nie wiadomo czy jest szersze czy dłuższe. Łazienka ogromna, większa od tej w naszym mieszkaniu.

Idziemy zwiedzać hotel. Dość cicho i pusto. W recepcji dostaliśmy talony na darmowy drink powitalny oraz 15 minutowy masaż w SPA. Korzystamy z jednego z dwóch basenów, które okalają kwiaty. Przy okazji sprawdzamy ceny w karcie dań. Nie są najwyższe damy radę.

Wieczorem idziemy zobaczyć okolicę poza hotelem. Na szczęście nie mieści się na odludziu. 100 metrów od hotelu znajduje się mała restauracyjka. Za 24 000 Rp, czyli 2,5 dolara jemy makaron zwany jumbo (czyli mega porcja) z warzywami i do tego napój. Najadamy się do syta. Restauracja w 4* hotelu będzie zbędna.

Z kolei niespełna 1 km od hotelu znajduje się centrum pamiątkowe i wiele restauracji. W sklepie spożywczym kupujemy arak. Znajdujemy tutaj również polską wódkę wyborową. Wieczór spędzamy przy drinkach araku z coca – colą. Tak więc spać idziemy w bardzo, ale to bardzo dobrych humorach.

W wannie można sobie zrobić prawdziwe SPA. Jest dużo większa od tej, którą mamy w krakowskim mieszkaniu...

27.07.2008 (niedziela)

Pobudka około 8:30. O 9 idziemy na śniadanie. Dopiero teraz widać, że jednak nie jest to całkiem wymarły hotel i trochę ludzi tutaj mieszka. Śniadanie w takim hotelu do wyboru do koloru. Można zjeść tradycyjne indonezyjskie, czyli uraczyć makaronem ryżowym z cap cay (sałatka warzywna), ale może być po europejsku czyli można spróbować tostów i zjeść jajecznicę. Na deser oczywiście owoce: arbuz, papaja, ananas czy melon oraz ciasteczka.. Najadamy się do syta.

O 10 zaczynamy plażowanie nad hotelowym basenem. Można jechać nad morze, bo hotel ma tam swoją prywatną plażę, ale nam jednak wystarcza basen. W czasie dnia kilka razy wchodzimy do wody i dalej prażymy się na słońku. Korzystamy również z naszego 15 minutowego darmowego masażu w SPA. Mała Indonezyjka ma niezłą moc w dłoniach, po masażu wychodzę jak nowo narodzona. Jeszcze dłużej by się przydało. Szkoda, że ceny w SPA są bardzo wysokie. Szkoda, że nie skorzystaliśmy w UBUD, gdzie proponowano kąpiele w mleczku itp. Tam ceny były niskie.

Koniec plażowania o godzinie 16:30. Ania jest tak spalona, że szkoda gadać. Większość kremu zużywa na to aby się uratować. Udaje się ją jednak wyciągnąć na położenie po sklepikach w okolicy hotelu. Dzięki temu odkrywamy świetną restaurację z owocami morza- przy wejściu w łodzie ułożone są różne kraby, krewetki i inne skarby morza.. Stąd postanawiamy, że wrócimy po Pawła i Bartka i przyjdziemy tutaj na kolację. W sklepikach zakupujemy ostatnie pamiątki – wisiorki, bransoletki itp. Większość sprzedających zaczepia nas w języku rosyjskim, z tego wynika, że hotele dookoła są zasiedlane głównie przez turystów z Rosji.

Wieczorem wracamy do restauracji. Menu można dostać w języku angielskim lub rosyjskim. Ja zamawiam danie składające się z trzech rodzajów mięsa – kurczak, wieprzowe, wołowina. Paweł z Bartkiem reflektują na steka, a Ania na rybę. Jak na dobra restaurację przystało pojawia się darmowy drink araku z sokiem owocowym. Zamawiamy do tego butelkę wina – to taka kolacja kończąca nasz wyjazd.

Siedzimy w tym miejscu ponad 3 godziny i wychodzimy po 22. wracamy do hotelu. Trzeba się dzisiaj wyspać, bo już jutro w nocy odlatujemy do domu.

28.07.2008 (poniedziałek)

O 5:30 budzę się z potwornym bólem gardła i szukam tabletek. Potem próbuję dalej spać. O 9 rano idziemy do restauracji na śniadanie. Podobne do wczorajszego. Zaczynam się czuć niewyraźnie – słabo mi i kręci mi się w głowie. Ania mówi, że to przez to, iż zażyłam aspirynę rano. Ten lek bierze się na noc.

O 12 opuszczamy hotel i jedziemy taksówką do Kutuy do hotelu Bendesa, w którym już mieliśmy okazję spać wcześniej. Zostanie w nim Bartek, który jeszcze przez miesiąc będzie kontynuował swoją podróż. Składamy nasze bagaże w jego pokoju, po czym dobieramy z depozytu rzeczy, które zostawiliśmy tu ponad 3 tygodnie temu. Wszystko jest, nic nie zginęło. Czas na szybkie przepakowanie i ruszamy jeszcze na miasto.

Czuję się fatalnie. Paweł kupuje mi w aptece leki i idziemy na słynną Kuta Beach. Czyli jedna z najbardziej znanych na świecie plaż, gdzie bawią się turyści z całego świata. O dziwo na plaży nie można się kąpać, tak informują rozstawione znaki. Natomiast można surfingować, bo jest duża fala. Jak okiem sięgnąć widać w wodzie ze swoimi deskami tych

początkujących jak i tych wytrawnych surferów. Większość to jednak początkujący, którzy poubierani w kolorowe kamizelki próbują swoich sił na fali z różnym rezultatem.

Wśród plażowiczów krążą sprzedawcy bransoletek, zegarków, dmuchawek z trutką, a także robiący manicure, czy też proponujący masaż albo nawet tatuaż. Odczepić się nie można. Co chwil ktoś podchodzi i coś proponuje. W oddali widać lądujące samoloty na pasie lotnisk, który wychodzi w morze.

Siedząc tak na plaży dostajemy smsa z Polski od Agaty, która myśli, że już wróciliśmy... Po półtorej godzinie siedzenia na plaży, jest już mi na tyle dobrze, że możemy wracać do centrum klucząc wśród uliczek, których każda jest pełna stoisk z pamiątkami, i całym sprzętem dla surferów.

Czas coś zjeść. Idziemy spałaszować ostatni indonezyjski obiad. Kierujemy się do restauracji brazylijskiej, w której byliśmy z Pawłem 3 tygodnie temu. Mój obiad to zupa fasolowa, indonezyjska sałatka warzywna, a także wołowinę z ryżem, frytki. Można pęknąć od ilości jedzenia, jak i umrzeć na rozstrój żołądka od takiej mieszanki. Na dodatek popijane świeżym sokiem z ananasów.

Wracamy do hotelu Bartka. Tutaj szybka kąpiel, dopakowanie plecaków oraz zabranie od Bartka rzeczy, które nie są mu potrzebne, a nie chce wozić ich przez kolejny miesiąc.

O 20 jedziemy samochodem wynajętym w hotelu na lotnisko. Kiedy wchodzimy na halę odpraw, właśnie Qatar Airways zaczyna odprawę. Nadajemy bagaż i okazuje się, że nasze trzy plecaki waga dokładnie 60kg z małymi gramami. Tak jakbyśmy ważyli, aby każdy z nas miał równo po 20 kg. Potem jeszcze na chwilę wracamy pożegnać się z Bartkiem.

Następnie wracamy i przechodzimy przez odprawę bezpieczeństwa, paszportową, płacimy po 150 000 Rp opłaty wylotowej (zdzierstwo to praktycznie 15 dolarów za osobę). W pewnym momencie okazuje się. Że ani ja ani Paweł nie mamy zegarków. Zostały przy odprawie bezpieczeństwa. Paweł szybko tam wraca, ale na szczęście nie zdażyły jeszcze zniknąć.

Koło 23:00 zostajemy zapakowani do samolotu. Znowu jest to ogromny Airbus na 250 osób. Wylatujemy 23:35. Tuż po starcie mimo późnej pory obsługa samolotu serwuje na jedzenie. Nie ma to jak kurczak o północy.

29.07.2008 (wtorek)

Po 2,5 godzinach lotu następuje międzylądowanie w Kuala Lumpur w Malezji. Przed wylądowaniem próbujemy przez okno samolotu zobaczyć słynny budynek stolicy Malezji – Petronas Tower, jednak nie udaje się nam, gdyż całe miasto tonie w wielkich wieżowcach. W Kuala Lumpur część osób wysiada, są to przede wszystkim mieszkańcy Azji. Dosiadają się za to Europejczycy.

Samolot na płycie lotniska stoi aż 1,5 godziny. Startujemy po raz drugi. Po czym skoro wystartowaliśmy musi być jedzenie. Toteż koło 4:30 zjadam kolejny posiłek – dobrze, że są to kanapeczki, a nie kolejny raz mięso, ryż i inne dodatki. Po czym dalej idę spać. Tym razem jest jakoś cieplej w samolocie i nie trzeba nakrywać się kocem, ale magiczna torebka z linii lotniczych jest przydatne – skarpetki i „naoczники”, aby lepiej się spało i nie raziło światło, a na rano szczoteczka z pasta do umycia zębów. W samolocie słychać kilkoro Polaków, którzy wracają z Bali z wczasów.

Budzę się dobrze koło 8 rano czasu indonezyjskiego, za oknem głęboka noc. Lecimy gdzieś nad Oceanem Indyjskim. Kiedy dolecimy do Dohy w Katarze, będzie trzeba przesunąć czas o 5 godzin wstecz. Ale doba dzisiaj będzie długa. Jeszcze sporo czasu do lądowania więc oglądam sobie film latynoski w oryginale.

W między czasie przynoszą śniadanie, ale po nocnym jedzeniu nie mam teraz żadnej ochoty aby coś zjeść. Wypijam tylko herbatę. Wpadamy w dość spore turbulencje, aż rozdawanie śniadania zostaje na pewien czas przerwane.

O 11:00 lądujemy w Doha. Nad całą stolicą unosi się żółta smuga piasku z pustyni. Z jednej strony pasa miasto z wieżowcami, z drugiej bezkresna pustynia. A skoro jesteśmy w Doha, to trzeba odjąć czas no i z 11 robi nam się 6 rano!!! Masakra.

Wysiadamy z samolotu. Mimo wczesnej pory uderza nas żar 35 stopni!!! I to o 6 rano!!! Szybko wpadamy do klimatyzowanego autobusu, który podwozi nas do głównego budynku. Znowu zostajemy skierowani do odpowiedniej hali, gdzie jest tranzyt. Mamy tylko 2 godziny na lotnisku do kolejnego wylotu. Zaczynamy więc od łazienki, w której spotykamy Polaków z samolotu. Mają zaraz odlot do Paryża, a stamtąd samolot do Polski. My niestety będziemy musieli pomęczyc się w Wiedniu i poczekać na autobus.

Idziemy do sklepu wolnocłowego, gdzie za połowę ceny kupujemy duże 3 butelki alkoholi. Ania natomiast dokonuje zakupów w sklepie z perfumami.

Przed 8 wsiadamy do autobusu i jedziemy do samolotu. Widzimy jak po taśmie do luku bagażowego samolotu jadą bagaże. Jednak ktoś kto odbiera te bagaże nie nadaża i u wylotu robi się zator, po czym raz po raz któryś z bagaży ląduje na płycie lotniska. Pracownik z powrotem wrzuca bagaż na taśmę.

Samolot mniejszy niż ten z Indonezji. Większość pasażerów, to Katarczycy. Wręcza całe rodziny, albo też grupy młodych dziewcząt najczęściej w towarzystwie jakiegoś Araba. Wszystkie kobiety ubrane w czarne stroje i chusty. Wyglądają w tym praktycznie nie do odróżnienia.

Lot do Wiednia trwa pięć godzin. Startujemy z Dohy i możemy podziwiać panoramę stolicy na tle pustyni i morza. Nie ma tu praktycznie nic zielonego, za wyjątkiem kilku trawników. Główne kolory to żółty i szary. W stolicy wysoko ciągną się drapacze chmur. Jeden jest charakterystyczny bo nazywa się tornado i ma coś w sobie z tego.

Lecimy nad Bahrajnem, na morzu gigantyczny most łączący to państwo z lądem. Gdzieś pośrodku tego mostu dwie sztuczne wyspy. A dalej ciągnie się bezkres pustyni na terenie Arabii Saudyjskiej. Cały czas tylko pustynia i pustynia, która od czasu do czasu urozmaicona jest zagubioną osadą czy miasteczkiem. Z samolotu widzimy też miejsca, gdzie znajdują się okrągłe pola uprawne. Ich kształt jest wynikiem tego, że takie są urządzenia nawadniające, które działają po kole. Przez dłuższy czas lecimy wzdłuż drogi biegnącej przez Arabię Saudyjską. Lecimy również nad Syrią i Jordanią. Potem czas na Morze Śródziemne, Turcję i Morze Czarne, dalej Rumunia, i kilka razy przelatujemy nad Dunajem. W końcu widać Węgry z Jeziolem Balaton i wlatujemy nad Austrię.

W Wiedniu lądujemy o 14 czasu katarskiego, czyli 13 czasu europejskiego. Doba wydłużyła się nam o 6 godzin, normalnie mielibyśmy w Indonezji już godzinę 19!!!

Na lotnisku zabieramy swoje rzeczy. Plecaki wyjeżdżają na taśmę całe więc chyba nie miały okazji spadać z taśmy w Katarze. Wsiadamy do metra i jedziemy do centrum, potem inną linią na dworzec autobusowy, skąd o 21 ma jechać autobus do Polski.

Siadamy na ławce w pobliżu dworca i zakładamy obóz do wieczora. W barze w pobliżu kupujemy kebaby, a potem w sklepie zaopatrujemy się w napoje i jedzenie na drogę do Polski.

Część czasu na ławce przesypiam. Na szczęście o 19:30 idziemy na dworzec. Już o 20 pojawiają się autobusy do Polski. Nasz Eurolines również. W autobusie tylko połowa miejsc zajętych, więc będzie można dalej spać. W autobusie mieszanka Polaków, głównie tych co wracają do Polski z jakiejś dorywczej pracy w Austrii. Poza tym do autobusu wsiadają dwie Meksykanki.

Nie mija dużo czasu a zasypiamy.

30.07.2008 (środa)

Całą drogę właściwie smacznie przesypiamy. Długa, bo 30-godzinna doba zrobiła swoje. Budzimy się na rogatkach Krakowa. Na dworcu jesteśmy dobrą godzinę przed planowanym czasem. Tego nie wzięliśmy pod uwagę. Jeszcze nie jeździ komunikacja miejska, a złotówek to mamy jak na lekarstwo. Paweł zagaduje taksówkarza, aby zawiózł nas do domu, bez licznika. Praktyka w Azji odnosi sukces. Za cenę 30 złotych zostajemy odwiezieni do domu. 4:10 jesteśmy w naszym mieszkaniu...